



*Anna Gniewkowska*

***EPIZODY***

*Anna Gniewkowska*

***EPIZODY***

© Copyright by Anna Gniewkowska, 2000

*Wydano dzięki pomocy finansowej  
Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego w Białymstoku*

Redaktor  
**Jan Leończuk**

Korekta  
**Bożena Kłosowska**

Zdjęcie na okładce  
**Zenon Blicharski**

ISBN 83-88248-06-5

*Skład i druk*  
Wydawnictwo PRYMAT  
15-879 Białystok, ul. Św. Rocha 10, lok. 105  
tel. (085) 744 59 60

KP Białystok-EO-2001 12804/1

*Anna Gniewkowska*

# ***EPIZODY***

biei. W, F1-17

KSIĄŻNICA PODLASKA  
*im. Łukasza Górnickiego*  
BIAŁYSTOK 2000



821.162.1-311.2

## STRYCH

Strych miał własne, niezależne od reszty domu życie. Pełno tam było szeleatów, popiskiwań i pajęczyn, które spadały nagle na twarz wchodzącego, nie wiadomo skąd, dławiąc i wypychając z powrotem do gardła okrzyk strachu. Na niemalowanych ścianach wisiały odrzucone i niepotrzebne obrazy, - na wbitym byle jak gwoździu, ze szkłem ośleplonym od kurzu. Pod nogami piętrzyły się stopy czasopism, dalej stała skrzynia z niepotrzebną odzieżą zwijającą się z cichym szelestem we własnej zaprawie kwaskowatego zapomnienia. Zgorzkniała i pożółkła od wspomnień. Czasem przeżywała chwile wzlotów, kiedy brakowało nam jakiegoś paska, falbanki czy też koronki do sukienki. Wtedy przewracało się te sterty, niechętnie i oburzone... U sufitu pobrzękiwał zgryźliwie szkiełkami odrzucony, niemodny zyrandol, osowiały i omotany mrokiem. Zewsząd czuło się niechęć do intruza. Odrzucone przedmioty stworzyły sobie własną egzystencję pełną wspomnień, tęsknot i jałowej nudy. Uczepiony swojej nici pająk, widoczny w smudze światła bronił dostępu do najdalszych kątów. Pożarta pleśnią komoda patrzyła z niemym wyrzutem, trwając we wrogim milczeniu. Otwierałyśmy jej szuflady jak złodziej, ... zanurzając ręce w zapomniane zwoje koralu, broszek, kołnierzyków wykwitłych po brzegach liszajem wilgoci. Przykładałyśmy je do siebie przed lustrem, które tolerowało nas bez słów. Latem przez nieszczelne ściany wpadały kłujące promienie słońca, rozsypując się po strychu, świdrując oczy i szamocząc się po ścianach, mrugając i pobudzając muchy do wściekłego bzyczenia. Goniły kokieterystycznie umykające cienie myszy, zatrzymując się na chwilę, na starczej twarzy zwierciadła, które ongiś było ozdobą sypialni matki, teraz trwało we własnym półrealnym śnie na krawędzi rzeczywistości, z roku na rok mając z nią coraz mniej wspólnego.

Każdy nieopatrzny ruch powodował deszcz trocin sypiących się z przestrzeni pomiędzy belkami sufitu. Strząsałyśmy je niecierpliwie... Tyle jeszcze było do obejrzenia. Choćby pożółkłe kalendarze, pęczniejące bezustannie od wilgoci i własnych majaczeń. Kąty strychu kryły w fałdach cieni kolorowe, zapomniane drobiazgi z dzieciństwa - połamane zabawki, tandetną pstrokaciznę, z której dawno wyrosłyśmy. Ustawione pod ściana-

mi, pobrzękiwały niepotrzebne słoiki na przetwory, zakrywając pajęczyną bezpłodne, puste brzuchy. – Trzeba będzie to kiedyś uprzątać – mówiła matka, rozglądając się bezradnie po całym tym królestwie, trwającym w zacieklej, ponurej dumie, dalekiej od przebaczenia...

## POWROTY

Trzymając w rękę filiżankę kawy, spojrzała przez kuchenne okno i jej wzrok potknął się jak zwykle o sąsiednie okna kamienicy, która zniszczonym murem okalała przygniebiające, ciemne podwórze, zalewając je nieustannym cieniem, niezależnym od pory dnia. To dziwne, że jednak codziennie jej ciało budziło się, zawierając w sobie nadzieję. Pobłaźliwie rozglądała się po starej kuchni, uśmierzając umysł...

Sobota miała swoje odgłosy – trzepanie dywanów, pokrzykiwania starej Janusikowej na rozbrykane wnuki, które miały wolny od szkoły dzień, sylwetki innych lokatorów, których kroki rozpoznawała na klatce schodowej, jękliwe popiskiwanie Teodora, psa sąsiadki, który wreszcie wypuszczony na poranny spacer zbiegał hałaśliwie po piętach, uradowany do szaleństwa wolnością.

Nadchodzący dzień rozkładał się wygodnie, mościł się w ścianach mieszkań, a jej przypominał pustą skorupę naczynia... Znała to przepychanie porannych godzin, do mozolnie wlokącego się popołudnia.

– Księżniczka z bajki umierająca na melancholię – pomyślała ironicznie, przechodząc przed przedpokój i zerkając w lustro. Trzeba było coś z tym zrobić, gdzieś pójść, coś przedsięwziąć. Ale już w tym samym momencie postanowienie ginęło w zarodku, jak zwarzona mrozem roślina. Wołała przysłuchiwać się dźwiękom budzącej się do życia kamienicy. To było najprostsze, wystarczyło trwać i pozwolić wydarzeniom swobodnie przepływać wokół niej, a mózg bezwiednie układał je w logiczne fakty. Znajomą układankę. Videoklip...

\* \* \*

– Dlaczego to właśnie kobiety zostają zawsze samotne – pytała matka swoją najbliższą przyjaciółkę Lale. Przyglądałam się im z poziomu podłogi, gdzie leżałam na brzuchu czytając książkę. Nie lubiłam owej Lali, począwszy od tego pretensjonalnego imienia, po czubki tapirowanych włosów. A już szczególnym obrzydzeniem darzyłam jej duże murzyńskie usta pomalowane jaskraworóżową pomadką, której pewna część przenosiła się jakimś nie znanym mi sposobem na jej niezbyt równe, żółtawe zęby.



Patrzyłam z niechęcią, jak ściskając usta w tak zwaną „kurzą dupkę” – jak mówiła matka – przygotowuje się do wygłoszenia przemowy na temat mężczyzn. Po wypiciu kieliszka nalewki jej przywiedle rysy pokrywał rumieniec. Czasami zniżała głos, albo nachylała się do ucha rozmówczyni, wtedy rozumiałam, że nie jest to przeznaczone dla moich uszu. Wzruszyłam ramionami – i tak nie byłam zainteresowana. Wołałam czytać o pięknych dziewczynach oddających rękę przystojnym, szlachetnym młodzieńcom. Było to czyste i właściwe. Dalekie od lepkiego świata Lali, do którego usiłowała wciągnąć moją biedną matkę. Nienawidziłam tych jej wizyt... Starannie później ścierałam stolik przy którym siedziała, i dokładnie myłam filiżankę. Nawet fotel przecierałam wilgotną ściereczką, starając się usunąć wszystkie ślady.

– Dlaczego ją zapraszasz – pytałam matkę, pełna urazy.

\* \* \*

Dzielnica była mała i wiodła na uboczu miasta swoją własną egzystencję połączona z jego centrum tylko jedną, małą arterią, jaką była droga prowadząca obok starej fabryki i rachitycznych zarośli, które całą swoją złowieszczość objawiały wiosną i latem. Pęczniały wtedy i obrastały zielenią, stając się nieprzejryste i tajemnicze. Kryły w swoim ciele owo Zło, które objawiało się a to w postaci zdziczałego psa wypadającego na nas, dzieci idące ze szkoły, a to w postaci jakiegoś zataczającego się osobnika. Coś się tam w tych zielonych wnętrzościach ciągle kotłowało i żyło. Przyprawiało mnie o codzienne, poranne bóle brzucha powodowane strachem, nie rozumiane przez innych... Nawet zapach świeżo obłożonych zeszytów i książek, ukochany ponad wszystko, i nowy tornister nie umiały zabić tego podszytego mdłościami uczucia, które przekreślało wszystko inne. Byłam nieszczęśliwa.

\* \* \*

Dzielnica pełna była ślepych zaułków, uliczek podstępnie zwężających się w wąskie dróżki, które urywały się nagle z niewiadomych powodów lub kończyły zdradziecko za rogiem jakiegoś domu, wywodząc przechodnia dosłownie w pole. Znałam te chwytły, a także wszystkie dziury i garby zniszczonych chodników. Wiedziałam jak wyglądają w dzień i w nocy, kiedy padał deszcz i kiedy leżały przykryte dla niepoznaki podartą gdzieniegdzie kołdrą śniegu. Wiele lat później przechodziłam obok tamtych budzących lęk i koszmary nocne zarośli, obojętnie, ledwie je zauważając. Ich zła moc skurczyła się, zmalala. Ba, wydawały się nawet nieco

śmieszne jak postarzała Królowa śniegu... Spięły one niejako klamrą moja podróż w stronę miasta z późniejszym powrotem.

Wróciłam. Już nie do rodzinnego domu, który zapadł się, zgiął, przestał walczyć uduszony niejako postępującą roślinnością, która początkowo, udając litość, wspierała go w jego dawnym kształcie, maskując ubytki w murach, zapadające się rogi domu, murszejące okiennice, stwarzając pozory istnienia, żeby później, wczesną wiosną czy zimą, z całą bezwzględnością obnażyć chaos i dewastację, wzruszając nonszalancko ramionami, a właściwie mackami winorośli, jak gdyby mówiły – przecież to nie nasza wina, robiłyśmy, co było w naszej mocy...

Wprowadzałam się do mieszkania w starej kamienicy, odziedziczonego po ciotce Lusi, z którą moja matka nie utrzymywała prawie żadnych kontaktów na co dzień, ale bywała u niej raz do roku z okazji rocznicy jej ślubu. Lusia była osobą zbyt dziwną, żeby można było ją lubić, ale też nie należało z pewnych powodów jej ignorować. Matka wdychała przed lustrem przed każdą z takich wizyt, wkładając na tę okazję perły na szyję. Miało to oznaczać, że poświęca się. Nie wiedziałam właściwie, kogo to poświęcenie miało dotyczyć; ja zwykle zadowolona byłam z tych wypraw. Dzielnica – chociaż niewielka – miała kilka odrębnych enklaw, które oddychały innym powietrzem, posiadały swoje przestrzenie do poruszania się i swoiste słownictwo, owe dziwolagi słowne, hybrydy tworzone poprzez stałe przebywanie w jednym klanie – jak chore, czy ułomne dzieci – owoce zbyt bliskich związków.

Do kamienicy ciotki Lusi wchodziło się przez kamienny tunel, który odgradzał ją od ulicy, a który zawierał na samym początku żelazną bramę, a po prawej stronie mieszkanie dozorczyńni.

Lubiłam ten moment, kiedy z rozpalonego i dyszącego upałem bruku wpadałam jak w studnię w kojący, ciemny chłód, który wysał mnie wilgotnym pocałunkiem dalej, na ciemne wysokie podwórze otoczone ramionami ścian z odpadającymi tynkami, które jednak nie budziły litości. Bo oto spod marnej jakości powierzchni ukazywała się zdrowa, czerwona cegła, która zdawała się przeczyć niszczącemu działaniu czasu, wyraźnie dając do zrozumienia, że przetrwa i zwycięży. Lusia zresztą zawsze powtarzała, że jej kamienica przeżyje ją i nie tylko... Moja matka kwitowała te słowa nieznacznym, choć ironicznym wzruszeniem ramion.

Z podwórza wchodziło się do sieni, w której kondensowały się zapachy wszystkich pięter, tak soczyste i jędrne, że aż prawie namacalne. Zupełnie inaczej niż w mieszkaniu na piętrze. Nie tylko ja potykałam się o wysoki próg, czas również. Potem zatrzymywał się tak jak ja w przedpoкою i od razu wszystko stawało się mgliste, niejasne, pełne poszeptywań po kątach, woni, które zanim dopłynęły do nozdrzy – umykały, kuliły się

gdzieś pod wysokim sufitem, – dając zaledwie posmak czegoś, co się być może wydarzyło.

\* \* \*

Stara Janusikowa, która wychowuje teraz trójkę wnuków, pracowała kiedyś w cyrku. Darmo w jej zreumatyzowanym ciele dopatrywać się wdzięku i urody niegdyśniejszej woltyżerki. – Gdzie się to wszystko podziało – chlipała czasem żałośnie, przysiadując na niskim stołeczku przy piecu. – Wszystkich nas to czeka – odpowiadałam uspokajająco i fałszywie, gdzieś tam w środku trzewi wyczuwając załazek złej radości, że oto ja jeszcze zdołałam uniknąć losu powykręcanych artretyzmem dłoni tamtej kobiety.

Pożyczona sól czy cukier – niewyszukany pretekst odwiedzin – stawała się nagle bezużyteczna. Patrzyłam jak przechyla szklanekę i wycieka z niej biały strumień kryształków na wierzch dłoni – stara wróżka przesypująca czas.

– Kiedy człowiek daje za wygraną, zaczyna niknąć – mówi nagle Janusikowa i patrzy na mnie badawczo, jej wszędobylskie oczy nurkują po moim cieie szukając czegoś. Czegoś o czym być może nie wiem.

\* \* \*

– Niebo należy do wron moja Felu – mówi tamta Lala, unosząc wysoko wyskubane brwi. Miało to przydać doniosłości wygłoszonej przed chwilą uwadze, a czyni ją tym bardziej śmieszna, kiedy ma się przed oczami rozmazaną na zębach szminkę i nienaturalnie jasny kolor włosów, jaskrawą emalię na przeraźliwie długich paznokciach. – Nie można wierzyć komuś takiemu – myślałam leżąc na dywanie z książką przed nosem. Zdziwiający, że nawet gdyby wygłosiła teorię bijącą na głowę wszystkie znane mi do tej pory myśli filozofów, nikt nie wzięby tego poważnie. Lala ma już o dziesięć lat więcej i wygląda dokładnie jak kopia swojej matki. Niechlujnej, nadmiernie wymalowanej staruchy, która szpera po okolicznych śmietnikach. To temat wstydlivy, nikt go nie porusza... W końcu wszyscy się przyzwyczaili, stanowi niejako lokalny koloryt. Zdziwiający jak później Lala powtórzyła los swojej matki, no może z wyjątkiem tragicznego końca.

\* \* \*

Oddaliłam się od domu bez żalu i tęsknoty. Dzięki temu czułam, że przestają mnie ścigać koszmary dzieciństwa – stara fabryka, zarośla obok, bezpańskie psy, wieczne niezadowolenie, które panoszyło się w domu. Miał swój niepowtarzalny, cierpki zapach, którego nie zdołały zabić nawet wonie jaśminu i bzu, nachalnie wdzierające się wiosną do pokoi. Zamieszkałam w mieście z koleżanką. Ona wkuwała do egzaminów wstępnych na medycynę – ja na dziennikarstwo. Nie miałam większych szans, ale było mi to obojętne. Matka udawała, że wszystko jest w porządku, chociaż wiedziałam, że nie jest zachwycona. Jedynym momentem, który nas łączył były święta i coroczne wizyty u ciotki Lusi.

Niewiele się tam zmieniło – ten sam chłód bramy, potem podwórka. Zapach gotowanego niedzielnego obiadu... Luscia witała nas w przedpokoju. Nie wiem dlaczego, ale zawsze miałam wrażenie, że coś tu się dzieje nie tak, nie do końca, urwane w pół słowa, nie wypowiedziane. Pochrapywanie wuja Artura w sypialni, to wieczne przewracanie oczami mojej matki, wzdychania ciotki... Nie mogłam tego znieść, zostawiałam je przy wystygłej herbacie, mającej smak rozmoczonego korka i wychodziłam na balkon.

\* \* \*

Jan porzucił mnie z dnia na dzień, rzec by można bez przejścia... Jeszcze wczoraj całował mnie do utraty tchu (pewnie tylko mojego). Ona miała na imię Aleksandra. Tak się to odbywa – dziś ja, jutro tamta. Hela, moja przyjaciółka, nie miała złudzeń, ja owszem, ale na nic się one nie zdały. – Nie będziesz skomleć – powiedziała stanowczo – idziemy do dyskoteki. Zostałam w domu i umyłam podłogi. To proste zajęcia podtrzymywało mnie na duchu zawsze. Przynajmniej było wiadomo, że robię coś dobrego i pożytecznego.

\* \* \*

– Wiesz, coś niedobrego dzieje się z Lalą – mówiła ze wzburzeniem moja matka. Miałam na głowie sesję, nie chciałam, żeby cokolwiek innego wytrąciło mnie z równowagi. Zwłaszcza że wokół kłębiły się problemy mojej przyjaciółki, która była w kolejnej urojonej ciąży. – Ale co się stało – pytałam przeglądając skrypt. – Nie uwierzysz, jak ci powiem – głos ze słuchawki zniżył się do szeptu. – O Boże mamo, mów jaśniej, zachorowała czy co? – Gorzej, znacznie gorzej. Musisz przyjechać. Sama

nie podejmę tej decyzji – odłożyła słuchawkę. Następnego dnia miałam wolne. Postanowiłam pojechać. Właściwie pójść. Przecież nie było to tak daleko. Wystarczyło zaliczyć wszystkie koszmary tamtych lat – zaledwie pół godziny drogi, żeby znaleźć wybrukowaną dróżkę prowadzącą do tamtego domku ściśniętego w morderczym uścisku zieleni. Tylko tyle... Pojechałam jednak autobusem, który okrążał wielką pętlą całą dzielnicę, żeby zatrzymać się przy małym skwerku. Stamtąd trzeba było przejść aż do sklepiku, gdzie kupowało się kiedyś papier do okładania książek i dalej za aptekę...

Matka wyczekiwała mnie na ulicy, tak, jak się czeka na przybycie pogotowia. – Lala zwariowała – powiedziała urywanym głosem.

\* \* \*

– Pamiętasz Pułkownika – zapytała mnie, kiedy już usiadłyśmy przy herbacie. – Tak, to był ten facet, którego poznała w sanatorium – coś mi się obito o uszy. – Nie przywiązywałam do tego większej wagi. Lala ciągle kogoś poznawała w sanatorium, czy gdzie indziej. Byli to zawsze mężczyźni z przeszłością, co najmniej dramatyczną, w jej oczywiście pojęciu. Pułkownika zapamiętałam, bo był najbardziej normalny ze wszystkich jej zdobyczy. Przyszedł parę razy na kawę – siwy, starszy pan, mało-mówny, dystygowany i nawet byłam zdziwiona, że widzi cokolwiek w Lali, oprócz kolorów, którymi wypełniony był pokój. To znaczy kolorów Lali – sukienki, paznokci, włosów i ust. – To mężczyźnie wystarczy – komentowała sucho moja matka. – Faktem jest, że wyszła za niego za mąż. Wyjechała do stolicy – tu matka zrobiła przerwę, co uznałam za przytyk do własnej nieudolności w tych sprawach – i tam się to wszystko zaczęło...

– Ale co, na miłość boską, mam... – nie obchodziły mnie losy jej przyjaciółki, cokolwiek miało się z nią dzieć. Moje własne były dostatecznie pogmatwane. Patrzyłam na zegarek, wyobrażając, że właśnie w tej chwili dzwoni telefon...

– Jaka zrobiłaś się nieczuła, jak obca – powiedziała nagle moja matka. Zrobiło mi się wstyd. – Wiesz, że nigdy jej nie lubiłam – burknęłam.

– A ty wiesz, jaka ona była piękna i ile miała w sobie radości życia? Dzięki niej przetrwałam niejedną złą chwilę – matka spojrzała na mnie z niechęcią.

\* \* \*

– Zostawię mieszkanie tobie – powiedziała Lusja. Wzruszyłam ramionami, nie było mi potrzebne, nie chciałam tu wracać. – Wszystko kończy się w tym miejscu, w którym się zaczęło, a my jesteśmy z tego, co było – powiedziała dosyć patetycznie nalewając herbatę. – Ciociu, odeszłam, chcę mieć własne życie. Patrzyła na mnie zza okularów z litością. – Głupia jesteś i tyle. Nie przeskoczysz pewnych spraw...

Piłyśmy nalewkę z porzeczki. – Wezwałam cię, bo to jest ważny moment dla mnie i Artura. Twoja matka nigdy mnie nie lubiła. Usiłowałam zaprzeczyć, ale było to zbyt oczywiste. – Jak wiesz, nie mamy własnych dzieci, nie z mojej winy zresztą. Wuj Artur niebawem umrze, co będzie dla niego, Boże wybaczy, wybawieniem. Zatem postanowiliśmy, że ty, jako najbliższa krewna, odziedziczysz to mieszkanie i wszystko, co w nim zostawiam. Nie musisz opiekować się mną do śmierci. Poradzę sobie, całe życie jakoś sobie radziłam... – głos ciotki zawisł pod kryształowym żyrandolem. Czulałam się głupio. Dobrze, że Genowefa wniosła wagę z zupą.

\* \* \*

Prześladowały mnie później tamte słowa – jesteśmy z tego, co było. Zataczamy koło, żeby wrócić do punktu wyjścia. Nie życzyłam sobie tego. O nie.

\* \* \*

Lala wkraczała w moje życie niepodzielnie. To nie była jej wina, że zaczęła grzebać po śmietnikach przysparzając swemu mężowi trosk i nieprzyjemności. Sam nie wiedział, co z tym zrobić, zanim przyszło mu do głowy odesłać ją do rodzinnego miasta i poprosić o pomoc przyjaciółkę z lat młodości, czyli moją matkę. Przesyłka bez adresu zwrotnego. Tak można było to nazwać. Ktoś przywiózł ją pięknego poranka pod nasz dom i wysadził z walizką ciuchów. – Odjechał bez słowa, a Lala zapukała do drzwi, jak gdyby wpadła na popołudniową herbatę – mówiła matka. Mogłam to sobie wyobrazić. – Chyba nie zatrzymała się u nas – zapytałam z przerażeniem. – No nie, oczywiście – odpowiedziała z godnością moja matka – przecież ona ma dom i matkę. To prawda, zupełnie zapomniałam, że ona ma miejsce, które może nazwać swoim. Ten mały domek za wysokim wznesieniem trwał przez lata jak wyrzut sumienia. Przetrwał nawałnice opieki społecznej, komitetów dzielnicowych, ba, nawet władz miasta.

Matka Lali za każdym razem barykadowała się od środka miotając wizytujących wiązankami najgorszych przekleństw, jakie kiedykolwiek wymyślono. W końcu dano jej spokój, zwłaszcza że jej córka zgłosiła do odpowiednich czynników, że zapewni jej wikt i opierunek, a także stosowną opiekę medyczną w razie potrzeby. – Mam jej dosyć – mówiła o starej pani na niedzielnej herbacie – psuje mi cały wizerunek. Jak mogę zaprosić do siebie kogokolwiek, kiedy ona wraca z tych swoich łowów po śmietnikach, obławowana nie wiadomo czym i cuchnie na kilometr? Pozwól mi przyprowadzić tu mojego znajomego, ostatni raz, to moja życiowa szansa, dobrze? – patrzyła na swoją matkę błagalnie. – Tylko ten jeden raz... Było mi jej żal. Przypominała sponiewieraną lalkę z gałganków, która nadludzką siłą woli prostuje się, przywdziewa swoje najładniejsze szatki, żeby wydać łabędzi śpiew podszyty zapachem tanich perfum, trzepotem sztucznych rzęs i nieodłącznym śladem szminki na zębach. Ale widocznie byli mężczyźni, którym to wystarczyło.

\* \* \*

Mój romans z Janem, a może był to już czas Krzysztofa, nie pamiętam, przebiegał według następującego scenariusza: nie wszyscy znali swoje figury w tańcu, ale każdy ustawiał się tak, żeby być najbardziej widoczny w świetle jupiterów. Powtarzaliśmy te same gesty, zdania, które mówiliśmy innym w innych mieszkaniach. Jednym słowem zmieniała się tylko sceneria. Gra była po to, żeby wygrać, tyle, że nikt nie pamiętał, o jaką stawkę chodziło. Zmęczenie, egzaminy i pośpieszne pocałunki, plotki w kawiarni, czekanie na telefon, wreszcie obrzydzenie do drobnych kłamstw, kolejnych podchodów...

\* \* \*

Nikt nie mówił, że jestem nadzwyczajna, jedyna w swoim rodzaju... Wręcz odwrotnie. Zawsze byłam nie taka – za mała, za chuda, za brzydka, za głupia. Nie tak siedziałam przy stole, miałam płowe włosy bez wyrazu, żadnych zdolności – „na pewno poszła w rodzinę dziadka”. Nie tak, nie tak... Ciągle to samo zniecierpliwienie, gniewny ruch ramion. Boże, jak trudno zadowolić dorosłych...

\* \* \*

Tylko ciotka Lusja przypominała mi, że świat istnieje we właściwych wymiarach – jest jakieś od – do. Czas karmienia wuja Artura, czas zbierania porzeczek w ogrodzie położonym za kamienicą, czas robienia przetworów, odwiedziny raz do roku, kłótnie z moją matką. Sprawy, które istniały odwiecznie, nadając porządek raz na zawsze. Wysłuchiwałam nieustających wiadomości o narodzinach, śmierci, ożenkach tych, którzy zapelniali cztery piętra owej społeczności, a której obce były moje zapasy z rzeczywistością. Hamowałam swoje frustracje przy herbacie z malinami, a fiasko reportażu o bezdomnych skutecznie wysłał odór moczu, płynący z pokoju wuja. Zakurzone perskie dywany wysyłały nieme błaganie do pokrytego kurzem sufitu...

\* \* \*

Matka postarzała się prawie z dnia na dzień. Nagle, podczas którejś niedzielnej wizyty, wyłoniła się zza drzwi przestraszona, zmieszana, stara kobieta. Właściwie nie powinnam być zdziwiona, ale gdzieś podświadomie miałam jej za złe, że tak łatwo uciekła w starość... Siedziała naprzeciwko z filiżanką herbaty w ręce, jak przybrudzone, ciemne ptaszysko, otoczona nie swoimi zmartwieniami. Wyciągałam ją wtedy do ogrodu, który rósł po swojemu, nieskładnie, ale bujnie. chciałam poczekać, aż Czas się uspokoi, posłuchać jego równego oddechu... Ale nie było mi dane. Matka opowiadała dużo i chaotycznie. Czulałam, że obsesje Lali rozlewają się brudną plamą na nasze, a właściwie jej życie. Pogodne milczenie drzew stanowiło przeciwwagę do bezładnie wyrzucanych słów. Przypominała sobie ostatnią rozmowę z Krzysztofem... – Nie rozumiem Cię, wszystko co robisz wydaje się nieustanną grą, czymś, co zajmuje ci czas, który spędzasz dryfując swobodnie i czekając na początek prawdziwego życia. Pociągnąłem się za sobą, a ty przystałaś na to, tyle że przez cały czas miałem wrażenie, że odpływasz w całkiem innym kierunku, w poszukiwaniu Bóg wie czego. Nie dziw się, że potrzebowałem czegoś rzeczywistego... Byłam przerażona tym, co mówił. Przecież do cholery poświęciłam mu rok życia, czekając, kiedy wróci, podskakując nerwowo na każdy dźwięk telefonu i oto jaka się w końcu okazałam: nierzeczywista, dryfująca po życiu, nie całkiem normalna prawie. Niech to szlag...



\* \* \*

– No więc dobrze, odwiedzę ją jutro – obiecałam matce z niechęcią. Już wiedziałam, co mnie czeka. Nie opowiedziałam jej o tej historii z Lalą. Jechałam autobusem z redakcji. Wszystkie miejsca były zajęte oprócz tych na przedzie, ale tam nikt nie usiadł. Z ulgą zajęłam wolne siedzenie, ale za minutę stwierdziłam, że był to duży błąd. Obok mnie siedziała ona – Lala. W przedziwnym kapelusiku przywołującym mgliste skojarzenia z latami dwudziestymi; blond loczki, które się wymykały spod ronda były tłuste i zlepione. A jej twarz – cóż, nie warto mówić – karmin ust, puder nałożony grubą warstwą krótkowidza, żałośnie zakreślone łuki brwi – jednym słowem maska, która może nie budziłaby takiej odrazy, gdyby nie smród rozprzestrzeniający się w promieniu kilku metrów. Nic dziwnego, że miejsce obok było wolne. Wysiadając na następnym przystanku spojrzałam w jej kierunku, ale nie sądzę, żeby mnie poznała. Lala przebywała już tylko we własnym świetle...

\* \* \*

Drzwi domu były zamknięte. Postukałam w okno przysłonięte brudną firanką, ale bez skutku. Wokół walały się puste butelki i śmieci. Wróciłam. Spełniłam obietnicę daną matce.

\* \* \*

Pułkownika spotkałam przypadkowo w księgarni. W stolicy bywałam rzadko i przeważnie przypadkiem. To jednak nie była pomyłka, ten sam orli profil, schludne ubranie, wypiełgnowane ręce, które już wtedy przed laty wzbudziły moją sympatię. Spojrzał na mnie wyblakłymi, niebieskimi oczami... Tak, tak, przypomina sobie. – Ma pani uroczą matkę, ta jej herbata z malinami... ten ogród.

– Chodzi mi o Lalę – ucięłam krótko. Zasepił się momentalnie. – Mieszkam dwa kroki stąd – powiedział. Przy trzecim kieliszku domowej nalewki na jego policzkach pojawił się niezdrowy rumieniec. – Nie jest prosto o tym mówić – zaczął wreszcie. Rozglądałam się po pięknym mieszkaniu, pełnym starych bibelotów, gromadzonych zapewne przez dziesiątki lat, ba, całe pokolenia. Nie bardzo widziałam w tym otoczeniu Lalę, była zbyt namacalna można by rzec, a nawet zbyt wulgarna. Chociaż wiedziałam z doświadczenia, że akurat tego mężczyźni po kobiecie oczekują. – Mimo wszystko potrafiła się tu znaleźć – powiedział cicho Pułkownik, odczytując moje myśli. – Przynajmniej na początku – dodał po

chwili namysłu.

\* \* \*

Zawsze bała się czuć szczęśliwa. Zbyt wiele szczęścia powodowało, że czuła się niepewna i zagrożona. Mogło to skusić Boga, tego, który uznał, że Hiobowi należy się lekcja pokory. Dlatego częściej hołubiła w sobie przygnębienie, które, chociaż bardziej dotkliwe i nieprzyjemne – było pewniejsze.

Wydawało się jej, że opatrność odczytała jej pragnienia w krzywym zwierciadle. Czuła się jak w supermarkecie, chodząc między półkami, jak robot zaprogramowany na przypadkowość – wybierała to tu, to tam, zawsze nie ten towar, jaki naprawdę był jej potrzebny. Zaczynała sobie zdawać z tego sprawę w najmniej odpowiednich momentach, tak jak wtedy, w tamtej kawiarni. Starła się, żeby jej głos brzmiał szczerze, ale nieustanne udawanie było zbyt nużące. To, co mówiła dalej, było całkowicie pozbawione błyskotliwości, jak tania biżuteria, z której odpadła błyszcząca wierzchnia warstwa, ukazując matową imitację od spodem. Wróciła do domu pełna obrzydzenia do siebie i całego świata.

\* \* \*

– Początkowo były to drobiazgi, prawie nic nie znaczące, nawet śmieszne, jakieś stare, nikomu niepotrzebne rzeczy, które jakoby kupiła na bazarze. Składała je w komórcze za schodami, a później o nich zapominała, dlatego głównie, że przynosiła inne. Rozmowy na ten temat zbywała śmiechem i machaniem lekceważąco ręką – komu przeszkadza parę starych rzeczy, ona to lubi, przypominają jej miasteczko, w którym się wychowała... – Pułkownik zwiesił głowę i zamyślił się. – Ulegałem jej zawsze. Nie była kleptomanką, to były stare, zużyte, niepotrzebne nikomu rzeczy. Bóg raczy wiedzieć, gdzie je wynajdowała... Umiała opowiadać o nich zabawne historie. Miała niesłychanie wybujałą wyobraźnię. Nie znałam Lali od tej strony, zawsze robiła na mnie wrażenie harpii polującej na mężczyznę, z lekким uśmiechem na ustach.

\* \* \*

Naprawdę miała na imię Eulalia z matki Klementyny, ojca Jana Zbrodzkiego. Odwiedziłam ją ponownie, tym razem na prośbę pułkownika. Drzwi były uchylone, ale mimo to zapukałam. – Wejdz, wejdz – usłyszałam, jak zaproszenie dobrotliwego pajaka mamiącego w swoje sieć. Ciem-



ność i smród w przedpokoju – to było pierwsze wrażenie. Pokój wyglądał lepiej, no i Lala rozsiewała wokół siebie szatański zapach perfum. Wyglądała, jak gdyby przekroczyła granice ludzkiej rasy – nieobecne oczy, maska makijażu, a jednocześnie serdeczny, zapraszający uśmiech dobrej gospodyni, jedynie trochę zażenowanej niesprzyjającymi warunkami zewnętrznymi.

\* \* \*

– Najgorsze zdarzył się podczas przyjęcia u prezesostwa. Wiesz przecież, że on był związany z kołami rządowymi i bywało u nich mnóstwo osób znanych w kraju, po dwóch spotkaniach Pułkownik postanowił mówić mi po imieniu. Nie przeszkadzało mi to zupełnie. – Znali Lalę już wcześniej i wyobraź sobie uważali za niesamowitą osobowość – dodał z uznaniem. – Czują się u nich jak u siebie w domu. Może nawet za bardzo. Tamtego popołudnia nagle zniknęła. Myślałem, że poszła do toalety. Przeszukałem z jakimś niedobrym przeczuciem wszystkie pomieszczenie. Znalazłem ją w końcu na tyłach ogrodu, gdzie grzebała w śmietniku. Nie to, żeby się zmieszała, raczej była zniecierpliwiona, jakbym przeszkadzał jej w czymś ważnym. Następnego dnia zaprowadziłem ją do zaprzyjaźnionego lekarza. Sama rozumiesz, że w mojej sytuacji należało działać w wielkiej dyskrekcji. Nie potrafił nic poradzić, oprócz leczenia w oddziale psychiatrycznym, a to – jak wiesz – byłaby dla mnie katastrofa. Załatwiłem jej psychoanalitka, to teraz takie modne i nie nasuwa podejrzeń. Ale, niestety, od tamtego czasu, pomimo, że chodziła na seanse i wydałem na to krocie, wracała do dawnego kształtu swojej osobowości jak wyrobiony kawałek gumy; nie było dla niej ratunku. Pomyślałem, że może powrót w rodzinne strony... To dla mnie było najlepsze rozwiązanie, zrozum. Nie odstawiłem jej jak zepsutej zabawki. Przynajmniej nie od razu... Biedna Lala – pomyślałam, zaprzepaściła to, co było jej ostatnią szansą na miłość i zyskanie towarzysza życia, cóż za marnotrawstwo...

\* \* \*

– Zostaw jej życie własnemu biegowi – powiedziała ciotka Lusia. Na podwórzu jej kamienicy panowała nieustanna jesień latem czy wiosną. Suche liście szurały wokół nieczynnej fontanny, pędzone wiatrem, który wpadał z ulicy jak plaga kolorowych szczerów. – O ile wiem, Pułkownik prowadził ją do najlepszych lekarzy, ale trudno, żeby stał się współwzięciem jej obsesji. Nie każdy to wytrzyma – dodała, a ja czułam, że ma to związek z wujem Arturem. – Jej ojciec był woźnym w sądzie i zmarł jak

każdy porządny człowiek, na serce – kontynuowała – nie każdego na to stać. Teraz wyraźnie było to skierowane w stronę pokoju obok.

– Pozwól żyć Lali w świecie jej własnych urojeń czy fantazji. Na to nie ma lekarstwa ani lekarzy. Zresztą, czy my wszyscy tak nie żyjemy?

\* \* \*

– Nie masz nawet własnej osobowości – wykrzykiwał w czasie tamtej rozmowy. – Jesteś zlepkiem wszystkich postaci o których piszesz, twoje nastroje i charakter zmieniają się, przy każdym nowym reportażu. Dlatego fascynacja tobą nigdy nie trwa dłużej niż dwa tygodnie. Potem każdy wraca do swojego życia, do kobiet, które są realne, prawdziwe... Nie powinien był tego mówić. To nieuczciwe, niesprawiedliwe – myślałam wtedy.

\* \* \*

W pokoju Artura, zagęszczonym do niemożliwości zapachami starości i powolnego umierania, czas płynął własnym odrębnym rytmem. Leżał w cieniu swego losu i nie bronił się, nie czynił przynajmniej żadnych wysiłków w tym kierunku.

Było tam zawsze dosyć ciemno za sprawą wielkiej gruszy rosnącej przed oknem, którą – jak mawiała Lusia należało, – dawno pozbawić życia. Mówiła to z jakąś cichą mściwością i zajadłością. Protesty wuja na temat drzewa zamarły z latami, a grusza rosła dalej niepohamowana w swoim zdziczeniu, z płodnością pozbawioną wszelkich hamulców, chorobliwie wybujała. Najwięcej uciechy miały z jej jadowniczymi kwaśnymi owocami dzieciaki starej Janusikowej, a potem jej wnuki. Niechęć ciotki do wuja Artura, rosnąca latami, jak owa grusza równie dużo rzucała cienia na ich życie i wydawała jedynie spotworniałe w wyglądzie i smaku owoce. Myślała, że Lusia z czasem utożsamiała się z tym drzewem i nawet przestała mówić o jego ścięciu.

Przysiadalam na brzegu jego łóżka, w którym leżał mały i skurczony, o twarzy wyjąłowionej z płci, w cieniu nieustannej pogardy, która odrzucała jakiegokolwiek zastrzeżenia, z wiekiem coraz cichsze i zalewała szerokim strumieniem całe jego doczesne trwanie. Rozmawialiśmy niewiele, gdyż wszystko, o czym zaczynał opowiadać, w pewnym momencie urywało się nagle, rozprzęgało i rozwiewało w nicość. Patrzyliśmy oboje przez okno, na którym tlił się rozpięty żar.

\* \* \*

– Artur nie był bez winy – powiedziała matka przy kolacji.

\* \* \*

Nie miałam czasu przebrać się przed koncertem. Wpadłam jak zwykle w ostatniej chwili. Siedząc już na miejscu myślałam, jak to byłoby cudownie móc powoli wziąć ciepłą kąpiel, włożyć tamtą ciemną sukienkę, którą tak lubiłam i niespiesznie przyjść do Filharmonii, plotkując po drodze ze znajomymi. Niestety, chyba nie będzie mi to dane. Chociaż z drugiej strony błogosławiłam ten brak czasu i ustawiczną pogoń – skutecznie wymazywała ona z mojego mózgu wszelkie inne myśli i kombinacje. Może to było moje szczęście...

\* \* \*

Głos matki w słuchawce był niewyraźny i wystraszony... – Nie wiem co robić, w dodatku kozy są pewnie głodne, bo nieustannie beczą – jej głos załamał się prawdopodobnie w zduszonym szlochu. – Jakie kozy – zapytałam w popłochu – nic o tym nie wiedziałam, skąd się tam wzięły? – Matka Lali miała ich kilka i trzymała w ogródku za domem. Odłożyłam słuchawkę po zapewnieniu, że przyjadę jak tylko będę mogła najszybciej... Jeszcze tego brakowało, żebym musiała zajmować się kozami tej wariatki. Cała historia zaczynała przypominać jakiś horror.

\* \* \*

Już w przedpokoju wyczułam nieznany zapach, a właściwie zapaszek – mdląco słodki, przypominający woń rozkładu. Jasne, w stołowym siedziała Lala i paliła papierosa. Na stole stały nie sprząnięte naczynia. – Może herbaty – powiedziała matka, krzątając się nerwowo przy filiżankach. Na twarzy gościa malował się błogi spokój. Wyczytałam kiedyś, że na świecie jedynymi szczęśliwymi istotami są wariaci. Dzieci od urodzenia upośledzone umysłowo aż kipią radością i zadowoleniem z życia. Zachwycają się wszystkim: robakiem, drzewem, obłokami – tak twierdzą statystycy i psychologowie. Lala na pewno nie była upośledzona od urodzenia, ale teraz wyraźnie coś się z nią porobiło, co ze zwykłą beztroską zwała na innych. Patrzyłam na nią z obrzydzeniem, jak zwykle. W oczach mojej matki widziałam niemy zarzut.

\* \* \*

– Mam dosyć własnych kłopotów, dosyć mam Lali, jej matki i tych nieszczęsnych kóz. Poza tym przyznaj, że sama napytałaś sobie biedy. Usiłujesz teraz wciągnąć w to resztę rodziny. Wybacz, ale ja się wypisuję. Zawiadam opiekę społeczną czy coś innego. Mnie to nie obchodzi. Cześć – odłożyłam słuchawkę. Tego już naprawdę było za wiele.

„Marta zamyśliła się nad kartką papieru. Właściwie nie miała prawa o tym pisać. Był to bezsprzecznie świetny materiał na reportaż, ale mężczyźni ją wyrzuty sumienia. Zostawiła wtedy historię Lali, zwalając ją matce na głowę. Uciekła w swoje sprawy i tak przegrane... A tamto z kozami i cudzym życiem w końcu jakoś się ułożyło. I może tylko ona, Marta przegrała. Zatoczyła koło, wedle przepowiedni Lusi i wróciła, ale nie czuła się ani mądrzejsza, ani bardziej silna. Najszczęśliwsza w tym wszystkim była prawdopodobnie Lala, przemierzająca ulice dziwacznie wystrojona w żałosne atrybuty kobiecości, których nie potrafiła się wyrzec do końca.

## AKTORKA

Aleksandra wyłączyła telewizor i zamyśliła się... Jakże inaczej wyglądała śmierć Elwiry na szklanym ekranie, jaka była ładna i estetyczna, cicha i spokojna. Natrętnie wróciły przeżycia tamtych dni – ostatnich dni ze szpitala, a zwłaszcza z długiego szpitalnego korytarza, który przemierzala nocami w nieskończoność. Zapach środków dezynfekcyjnych przylgnął do jej ciała na długo; obawiała się, że zostanie na zawsze. Nawet później, kiedy już było po wszystkim, ciągle czuła wokół siebie ich woń – duszącą i nieprzyjemną, a przede wszystkim brzemienne w wspomnienia, które nie pozwalały uwolnić się od przeszłości. Śmierć Elwiry zaczęła się już dużo wcześniej. Może już wtedy, kiedy dopadały ją takie nastroje zniechęcenia, depresji, osłabienia – tak niepodobne do niej. Zanurzała się wówczas w sobie, robiła jakby mniejsza, nawet jej zielone oczy uciekały gdzieś w głąb, przestawały błyszczeć. Kiedy po raz pierwszy poczuła to ukłucie bólu przy oddechu? Chyba tamtego lata, które spędziły razem w starym domu rodziców, kłócąc się i śmiejąc na przemian. Teraz, gdy Aleksandra przypomina sobie wszystko dokładnie, dochodzi do wniosku, że Elwira tego lata była inna – mniej hałaśliwa, uciekająca w ponure zamyślenia. Tak, wtedy zaczęła się poddawać. Nie tylko chorobie, o której przecież jeszcze nic nie wiedziała, ale tak w ogóle życiu. Później był ten nieudany film. Rzuciła się w nie pasującą do niej rolę, jak w głęboką wodę, jak samobójca z wyrazem determinacji na twarzy. Aleksandra od razu wiedziała, że to będzie niewypał. Oczywiście miała rację. Jak napisała bezlitosna krytyka, Elwira „położyła” całą postać, a tym samym i film. Sama później przyznała, że od początku nie potrafiła się odnaleźć w tamtej kobiecie, nie rozumiały się, mijały na każdym kroku. Obdarzyła ją własną, pustą twarzą, a słowa, które wypowiadała, tworzyły dysonans z zagubionym i wystraszonego wyrazem oczu. Do końca nie mogła zapanować nad swoją mimiką, do tej pory przecież posłuszną jej każdemu wezwaniu. – Nie powinnaś była brać tej roli – powiedziała sucho Aleksandra po premierze filmu i były to jedyne słowa, które od niej na ten temat usłyszała Elwira. Nigdy do tego tematu już nie wróciły, zresztą nie było na to czasu.

Wyglądało na to, że choroba tylko czekała na odpowiedni moment. Wdarła się w Elwirę dosłownie z dnia na dzień, gdy jeszcze nie umilkły nieprzychylny głosy krytyków filmowych.

– Nie lekceważ siebie – mówiła Aleksandra – jeden nieudany film to jeszcze nie koniec świata. Zajmij się swoim ciałem, wyglądasz jak upiór. Elwira wstała właśnie po długim zapaleniu płuc z łóżka i przyglądała się w lustrze. Przerazenie podплыnęło jej do gardła wielką duszącą falą, gdy zobaczyła swoją twarz. Zaciskając powieki pomyślała jeszcze – to już nie ja. Wtedy umarła naprawdę.

Przecież nic się nie działo – ot, nieokreślone bóle klatki piersiowej przy głębokim oddechu, czy w okolicy kręgosłupa. Tysiące kobiet cierpi na takie objawy. Najgorszy był kaszel, który zarywał całe noce. Ale i na to było usprawiedliwienie – papierosy i stres. Trochę wypoczynku dobrze mi zrobi – mówiła sobie i wracała do siostry, do Elwiry, wiecznie kwaśnej i niezadowolonej. Cisza małego miasteczka działała na nią łagodząco przez kilka pierwszych dni, potem zaczynał się niepokój, kłótnie... Znowu miała ochotę uciekać, pędzić przed siebie. Wynajdywała tysiące spraw, byle tylko nie iść do lekarza. Przecież było wiadomo, że jak się pójdzie, wynajdą chorobę. – Jestem zdrowa, nic mi nie jest – usiłowała nastawić pozytywnie swoje myśli. Czas popychał dni przed siebie – raz z dolegliwościami, raz bez. Zawsze były pod ręką jakieś tabletki...

– Nowotwór płuc z przerzutami do kręgosłupa – powiedział młody lekarz studiując wyniki i nie patrząc na nią. – Postąpiła pani głupio ignorując pierwsze objawy – dodał. Zacisnęła dłonie w odruchu samoobrony już niepotrzebnym w tym momencie. – Co za kiczowaty scenariusz – pomyślała - Teraz powinnam zacząć płakać. – Ile mi zostało - spytała sucho. Spojrzał na nią. Żadnych płaczów i pytanie – co ze mną teraz będzie? – No cóż, myślę, że jakieś cztery miesiące, góra rok. Zawiesił głos. Wysłała na zalaną słońcem ulicę. To i tak sporo. Trzeba coś zrobić z resztą życia, na które nie miała pomysłu. Wiatr przegnał przed nią stertę liści, przygotowując miejsce na śnieg. Dojmujący i zimny. Otuliła się szczelniej płaszczem mrużąc oczy w słońcu, które już nie grało.

\* \* \*

Aleksandra wniosła siatki z zakupami i postawiła je na stole w kuchni. - Mam warzywa i mięso, ugotuję rosół, żebyś w ciągu dnia miała coś ciepłego do zjedzenia. W tamtej czerwonej reklamówce są owoce i soki. Musisz w końcu stanąć na nogi. – mówiła to monotennie i jednym tchem, starając się jak najszybciej z siebie wyrzucić. Nie chciała, żeby to tak zabrzmiało, ale Elwira niczego jej nie ułatwiała. Leżała obojętna i ci-



cha, prawie nic nie mówiąc całymi dniami. Po naświetlaniach było dobrze, ale teraz znowu duszności dały znać o sobie i widocznie nastąpił nawrót choroby. W popielniczce piętrzyły się pety. Aleksandra wyrzucała je ze wstrętem. – Daj spokój – słyszała za każdym razem z kąta pokoju – mnie już nic nie zaszkodzi. Wróciła do kuchni i mechanicznie zaczęła czyścić jarzyny. Zaległa cisza. Wyładowywała swój gniew na marchewce. Usta zacisnęła w wąską, niechętną kreskę. Prawdą jest, że zawsze żyła w cieniu Elwiry, a nawet – jak mówili znajomi – była jej cieniem, tą drobniejszą, bardziej anemiczną i mniej atrakcyjną bliźniaczką. Po tym je rozpoznawało. Snuła się za hałaśliwą, rozgadaną siostrą. Zawsze była milcząca, jakby na przekór owemu ptasiemu szczebiotowi Elwiry... Z wiekiem kostniała coraz bardziej z trudem wykrzesując resztki energii. Z czasem jej drobne pąsowe usta przekształciły się w wąskie kreski – blade i niedokrweste. Usiłowała przywrócić ich dawny kształt przy pomocy szminki, ale w końcu dała spokój. Nigdy nie ukrywała zazdrości i niechęci do siostry. – Jak się miewa twoja sławna bliźniaczka – pytali znajomi, kiedy ukazały się pierwsze filmy z Elwirą. Dopóki były dziećmi, mogła lekceważyć śmieszne i dziecinne przekonanie tamtej o swojej niezwykłości, które kwitowała wzruszeniem ramion – przecież nikt nie mógł traktować tego poważnie? Później jednak, gdy kształty Elwiry zaokrągliły się obiecująco, kiedy ona pierwsza odeszła z tamtego dziecinnego, bezpiecznego świata, gdzie jeszcze pewne sprawy były dozwolone i dopuszczalne, Aleksandra nie chcąc zostać sama powlokła się za nią niechętnie. Czują podświadomie, że to co ją do tej pory spotykało, – było lepszą częścią czasu, który przyszło jej dzielić z Elwirą.

Gorsza nadeszła później, kiedy ich losy rozdzieliły się jak dwie połowy rozłupanego orzecha. Aleksandra została urzędniczką w małym miasteczku. Miała swoje marzenia, ale trzymała je krótko na smyczy, bo wiedziała, że oprócz niej nikogo one nie interesowały, a nade wszystko bała się śmieszności... Czasem tylko pozwalała sobie poddawać się ze tym marzeniom słodką bezwolnością... Poruszając się początkowo ostrożnie, niepewnie po obszarach chaosu, macając na oślep jak pijak, przeczuwając za ledwie smak tych kolorowych orgii, które już jutro, może wieczorem, miały ułożyć się na kształt obrazu. Tyle ich przecież wyśniła, wykończyła do ostatniej kreski. Czekala wypełniona nimi jak worek. Ale jeszcze nie mogła, jeszcze nie nadszedł odpowiedni czas. Tak sobie tłumaczyła. Hołubiła więc czule te wizje, wściekając się na nietrwałą pamięć, która pograżała je z czasem w zatracenie. Pozostawał tylko niejasny posmak kipieli błękitu i czerwieni, czy też przyprawiające o dreszcz, wyrafinowane przejście od jasnej żółci do brązów, brunatnej barwy ziemi, która gromadziła się w niej, a właściwie w dole nie istniejącego obrazu. Chodziła nieprzytomna, a

wizja wlokła się za nią jak cień. Początkowo ten stan rzeczy drażnił ją, ale z czasem przyzwyczaiła się do swego drugiego, tajemnego istnienia, a cień przecież nikomu nie mógł zrobić krzywdy. Co innego życie. Ale ono porzuciło Aleksandrę, zapomniało o niej, zajmując się niszczeniem innych swoich ofiar. To w zupełności jej odpowiadało.

## MOJA CIOTKA FELICJA

Moja ciotka Felicja była piękną blondynką. W tym czasie, kiedy pisała do mnie była na pewno starą kobietą, ze śladami dawnej urody nie tak trudnej do odgadnięcia. Zdradzały ją tylko ręce – powykręcane stawy, które odmówiły posłuszeństwa. W powstaniu była łączniczką – jej pszeniczne włosy i brązowe oczy sławili w swoich wierszach poeci, którzy ginęli na barykadach powstańczych. Felicja przywykła do tego jak do bólu, który da się znieść. Jak gdyby w przekonaniu, że najgorsze jeszcze ma nastąpić... Czują przez skórę – to czające się zło. Nie trzeba było długo czekać. Dziewczyny z powstania „później wywożono daleko, do kolebki” komunizmu, czyli krainy wiecznej szczęśliwości – jak mawiała przed wojną zwiariowana kuzynka Felicji – Irena. Miała ona zamiar przekraść się do Związku Radzieckiego i wziąć tam udział w specjalnych komunistycznych szkoleniach, jakie były przewidziane dla członków Partii. Oczywiście, że ostrzegano ją przed tym. Naocznym świadkom wracającym stamtąd mówili o licznych znajomych Irki, komunistach, których Stalin wtrącił do więzienia, oskarżając o szpiegostwo, sabotaż, albo „odchylenie trockistowskie”. - Niewinnych ludzi nie wsadzają do więzienia w Związku Radzieckim – odpowiadała – Wszędzie, tylko nie tam. Nikt i nic nie mogło jej przekonać. Dopiero po latach ktoś przywiózł stamtąd wiadomość, że Irka została rozstrzelana w obozie na dalekiej północy. Ale to było dużo później. Przedtem musiała Felicja w trudzie przebyć etapami podróż do małej kazachskiej wioski, wraz z towarzyszkami wybudować lepiankę. Trzeba było przygotować się do przetrwania zimy. Potem pozostało walczyć ze szkorbutem, wrzodami, wszami i odwiecznym głodem. Wróciła, kiedy miałam już pięć lat. Przyszła do nas prosto z dworca. Patrzyłam szeroko otwartymi oczami na tę dziwną postać ubraną w za duży męski płaszcz. Obrzuciła mnie bystrym wzrokiem ciemnych oczu. – Cześć mała – powiedziała lekko schrypniętym głosem. Zacerwieniłam się wpatrując jak urzeczona w splełany byle jak warkocz, który przecinał jej postać na dwie części złotą błyskawicą. – Jadźka, nie stój jak żona Lota, mam wszy, trzeba coś z tym zrobić, najlepiej od razu spalić wszystko, co mam na sobie. Dopiero teraz moja matka drgnęła nerwowo jak osoba wybudzona ze snu, a

talerz, który miała w ręku spadł na podłogę pękając na kilka części. Felicja wydobyła z siebie coś na kształt śmiechu – Chyba nie wyglądam jak upiór? Spojrzała w moją stronę i mrugnęła jednym okiem.

- Idź do swego pokoju i pobaw się lalką – rzuciła do mnie matka surowym głosem.
- A ty do kuchni, szybko – to było do tamtej spod drzwi
- No nareszcie, poznaję moją starą Jadżkę – usłyszałam jeszcze, zamykając za sobą pokój.

Przy kolacji ciotka wyglądała już zupełnie normalnie. Umyte i wyczesane włosy leżały lśniąca falą na jej plecach, a drobne, niepokorne kosmyki wity się nad ciemnymi brwiami. Twarz mojej matki była skupiona i zamknięta – tak było zawsze, kiedy się nad czymś głęboko zamyślała...

- Zastanawiam się, do kogo ta mała jest podobna – zaczęła ciotka.

Matka drgnęła nerwowo, a jej oczy spojrzały na tamą zimno i niechętnie.

- A ja zastanawiałam się, jak zdołałaś uratować swoje włosy – odparowała. – No, cóż – powiedziała niedbale potrząsając głową Felicja – to raczej one mnie uratowały. Niewiele rozumiałam z tej rozmowy. Ciotka nie była u nas długo, zaledwie kilka dni. Potem na wiele lat zniknęła z naszego życia, a w domu nigdy nie wymieniano jej imienia. Dopiero w jakiś czas później, kiedy byłam już rozsądną dziewczynką i wydawało mi się, że cały świat ułożony jest według prostych zasad, a świeżo obłożone zeszyty szkolne stanowią w nim niesłychanie ważny element, któregoś popołudnia matka powitała mnie w drzwiach, kiedy wracałam ze szkoły. Uklękła przede mną w korytarzu i przytuliła mocno. – Tata wraca – powiedziała załamującym się ze wzruszenia głosem. Potem spojrzała na mnie, a jej wzrok był taki... taki porażająco jasny. Jak złota błyskawica. Przypomniałam sobie tamto skojarzenie z dzieciństwa. – Masz oczy błyszczące jak warkocz cioci Feli, pamiętasz? Matka spojrzała na mnie zimno. Wstała, otrzepała spódnicę i odchodząc do kuchni rzuciła mi przez ramię – Idź do lekcji.

Ojciec nie wrócił do nas po wyjściu z więzienia. Przyszedł pół roku później i stanął w drzwiach. – Cześć mała – powiedział do mnie, spoglądając spod krzaczastych brwi zupełnie jak Felicja. Milczałam. – Jadziu, co tak stoisz jak żona Lota – zażartował, a matce znowu wypadł z ręki talerz. Długo zbierałam skorupy z podłogi, a zza ściany słyszałam płacz i odgłosy kłótni. Po jego wyjściu zapanowało milczenie. Wszystko potoczyło się dawnym rytmem... nowa spódnica, w której na kłęczkach przytulała mnie do siebie z tą jasnością w oczach, zaginęła bezpowrotnie w czeluściach szafy.

Minęło wiele lat od tamtego czasu. Moja matka była schorowaną, zgorzkniałą kobietą. Skończyłam studia i pracowałam w redakcji znanego

pisma kobiecego, kiedy otrzymałam list. – Droga Basiu – pisała Felicja – pamiętam ten moment, kiedy stanęłam w drzwiach waszego domu. Nie uczyniłabym tego, gdybym mogła pójść gdzie indziej, ale wierz mi, nie miałam wyboru. Jadzia była zawsze moim wrogiem. Możesz zatem zrozumieć...

Wychowywałyśmy się razem i kochałyśmy tego samego mężczyznę. Od kiedy pamiętam, zawsze tak było. Gdy dorosłyśmy, Andrzej podzielił nas jeszcze bardziej. Nie masz pojęcia, do czego zdolna jest kobieta która kocha i ta, która nie jest kochana. Nie będę o tym szczegółowo pisać, bo nie ma to już większego znaczenia, zwłaszcza od kiedy Andrzej nie żyje. Tak, kochanie, od pół roku nie ma już go wśród żywych, a moje życie przestało być zajmujące. Wegetuję czekając końca.

Odszedł w przekonaniu, że jesteś jego córką. Jego częścią, którą zostawił po sobie. Jedyłą, jaką miał. Listy twojej matki sprawiły, że stracił również mnie. Dziś już nie potępiam nikogo, za późno na to i mam nadzieję, że Bóg wybaczy Jadwidze. Ona w końcu była najbardziej nieszczęśliwa, bo dodatkowo zatruta jadem własnej nienawiści. Droga Basiu, niebawem napiszę więcej, ale dzisiaj już nie mogę, nie potrafię... zresztą zaraz przyjdzie lekarz. Moje ciało odmawia mi posłuszeństwa – może to i lepiej. Do zobaczenia dziecko.

Przez kilka dni myśli kotłowały się w mojej głowie jak stado rozścieszonych robaków. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca, ani w redakcji, ani tym bardziej w domu. Z matką nie rozmawiałam o liście. Przy kolacji patrzyłam na nią innym wzrokiem, przypominałam sobie te lata i niechęć narastającą między nami... Naturalnie kochałam ją, chociaż zatruchiwała mi każdy przejaw radości życia cierpkimi uwagami, a lekceważącym wzruszeniem ramion kwitowała moje dziewczynskie uniesienia. Potem zapadła w chorobę i starość.

Trwałyśmy jednak obok siebie, bo nikogo innego nie było... Każde odwiedziny ojca, które zresztą były coraz rzadsze, kończyły się wielką awanturą, walerianą, tabletkami, lekarzem, długimi dniami milczenia. W końcu przestał przychodzić. Tak było lepiej. Nigdy o nim nie mówiła. A więc nie byłam jego dzieckiem, to dlatego Felicja zapytała o moje podobieństwo, co tak zirytowało matkę. A może byłam córką Felicji? Może oddała mnie na wychowanie Jadwidze? Ale kto był ojcem? Pytania nie dawały mi spokoju. Wystarczyło przecież zapytać... Nie miałam odwagi, było mi wygodnie w dotychczasowej tożsamości, miałam dobrą pracę, poznałam fantastycznego faceta. Nie, zdecydowanie nie miałam ochoty na zmiany. Minęło kilka miesięcy. Otrzymałam kolejny list od Felicji.

Potem jeszcze jeden. Nosiłam je w torebce. Wiedziałam, że zawierają tajemnicę mojego pochodzenia, obiecywałam sobie, że jutro, najdalej

pojutrze je przeczytam...

Nie zdążyłam. Moje życie właśnie zachwiało się. Najpierw opuścił mnie mężczyzna, a zaraz potem zmarła matka. Czułam się zdruzgotana i rozbita. Całymi dniami nie wychodziłam z mieszkania, nie miałam nawet ochoty nastawić wody na herbatę. Po kilku tygodniach dopiero powlokłam się do pokoju matki, żeby przejrzeć jej rzeczy i uporządkować papiery.

List, który wpadł mi w ręce należał do tych nigdy nie wysłanych – pożółkły papier i ledwie widoczny atrament. – Sara rośnie zdrowo. Z dnia na dzień ładniejsza, teraz ma na imię Basia i jest coraz bardziej podobna do Andrzeja. Oszukiwał cię od samego początku, tylko ja wiedziałam prawdę. Mnie zaufał... reszta była nieczytelna i rozmazana, bez podpisu.

Gorączkowo rzuciłam się do torebki, gdzie leżały zapomniane listy Felicji. Nigdzie nie mogłam ich znaleźć, przeszukałam kieszenie płaszczy, szafę, inne zakamarki. Nie było. Wpadły jak kamień w wodę...

## SZKLANA KULA

Szklana kula stała na stole ozdobionym ręcznie robioną serwetą. W ciągu dnia niema i pozbawiona życia, ożywała się wieczorem, kiedy ostatnie promienie słońca sączyły się przez gęstą firankę z niejakim trudem dopełzając do stołu, żeby w ostatnim geście ucześcić się jej ciała. Pozostawały tam przez chwilę, ale i to wystarczyło, żeby obudzić zamknięte w niej życie, co dla Heleny było czymś nieprawdopodobnie pięknym i magicznym. Jak całe mieszkanie Wiktorii...

Nazywanie Wiktorii wróżką było przesadą. Chociaż taką właśnie miała opinię w dzielnicy. Ba, złośliwi posuwali się nawet dalej, mówiąc: ta stara czarownica. Było w tym coś strasznego i wyzywającego zarazem. Dlatego tamtego dnia, kiedy matka wezwała ją do kuchni i wręczając garnuszek zupy powiedziała: – Zaniesiesz to po siódemkę. Helenę zamurowało. – Jak to mamo, przecież tam mieszka ona – no wiesz, ta... – Zaniesiesz jej zupę – powiedziała zdecydowanie matka. Koniec, kropka. Nie było odwołania. Trzymając przed sobą garnuszek wchodziła po schodach znanej przecież od dzieciństwa kamienicy. Ale nikt z nich, dzieci, nie ośmielał się wchodzić tak wysoko... Czula się, jak gdyby wkraczała w inny świat – było tu ciszej, czystiej, ściany były mniej odrapane... Przed drzwiami poprawiła kołnierzyk u fartuszka. Serce łomotało jej bardzo, a kiedy nacisnęła jedną ręką przycisk dzwonka, o mały włos nie upuściła garnuszka. Czekala długo. Czekala na szuranie kapci, starcze przekleństwa, twarz starą, pewnie z brodawką na nosie, albo czymś takim... Drzwi uchyliły się ostrożnie... – Przyniosłam zupę – wyjąkała. – Wejdz kochanie – usłyszała melodyjny głos i w tym samym momencie ujrzała najpiękniejszą twarz na świecie. Twarz Wiktorii, w której zakochała się od pierwszego wejrzenia. Dopiero później pokochała jej suknie, ręce i to wszystko, czym była otoczona. – Trochę niedomagam, a gotowanie nigdy nie było moją mocną stroną – tłumaczyła się Wiktorii płynąc z wdziękiem w głąb mieszkania. Helena, jak w transie posuwała się za nią. – Zjemy w salonie – powiedziała gospodyni i oczom Heli ukazał się duży, mroczny pokój z oknami przysłoniętymi gęstą, ręcznie robioną firaną. – Tylko nie wyglądaj przez nie doszedł ją głos Wiktorii. Nie musiała tego mówić. Wiadomo było, co ist-

niało w dole - zdziczały, stary ogród, nie koszona bujna trawa, tylne ściany szop i przybudówek, czyli najdalszy zaułek podwórza, głucha zatoka bez wyjścia. Helena była tam częstym gościem. Lubiła to miejsce, odosobnione pomimo smrodu unoszącego się z wychodka i tylnej ściany kurnika. Ale oprócz tego były tam soczyste liście dzikiego szczawiu, marchwi, babki, którą przykładła sobie na skaleczone kolana, wszystko to – splecione i napuszone powietrzem – trwało niezależnie od reszty świata. Lubiła tę pochmurność, opryskliwość i niedbałość, z jaką objawiał się całemu światu ten niezależny skrawek.

Stamtąd, patrząc w górę i zadzierając wysoko głowę widać było okna Wiktorii, które przysłonięte firanką budziły sensację u wszystkich dzieci – tam mieszka ta czarownica – mówiła z wypiekami ruda Ceśka. Helenka spoglądała w tamte okna z nabożną ciekawością i strachem, wyobrażała sobie świat zgoła inny od tego spod piątki czy dwójki, takiego znanego, przetrawionego na wszystkie możliwe sposoby, zapachy, kolory i nieciekawego.

A teraz stała w samym jądrze tajemnicy, trzymając garnuszek z zupą, przerażona i jednocześnie zachwycona, rozglądając się dookoła. – Nie stój tak, usiądź przy stole – powiedziała Wiktoria. Posłusznie odsunęła krzesło od stołu, duże, ciężkie i przysiadła na skrawku. – Usiądź wygodniej, nie zjem cię przecież, zupa twojej matki dużo lepiej mi smakuje – zażartowała gospodyni, nalewając sobie do ozdobnego talerza jarzynową. Milczały przez chwilę.

Helena obserwowała grę jej rąk. Drobnych, arystokratycznych, ozdobionych pierścionkami. Paznokcie miała pokryte przejrzystą emalią, zaokrąglone i wypiełgnowane. Takich nie widziała u swojej matki nigdy. Wpatrywała się jak urzeczona w rękawy czarnej sukni, otulającej dłonie jak kielichy przedziwnego kwiatu i dalej na ramiona nakryte szalem aż po srebrzystość włosów upiętych grzebieniem. Wiktoria racząc się zupą, przenikała wzrokiem Helenę, która poczuła się dziwnie naga przed tą nieznaną starszą panią... – Jesteś nieszczęśliwa, dziecko. Ale to minie. Przyjdzie i wielkie szczęście, i wielka miłość. Tylko bądź cierpliwa... Zresztą, po co ja ci to mówię, jesteś jeszcze dzieckiem, nie rozumiesz tych spraw. Twarz Wiktorii nachyliła się nad nią twarda i nieprzenikniona, brzemienne w doświadczenia, niezrozumiała. Ale przecież Helena czuła, wiedziała, że tamta chce jej przekazać coś, co ma się stać zaczątkiem jej przyszłego życia, prezentem na dni, które mają nadejść.

Od tamtej pory była częstym gościem, z wyjątkiem czwartków i piątków, kiedy Wiktoria wróżyła z kart. Ci, którym przepowiadała przyszłość, przemykali pod siódmkę wstydliwie, chyłkiem, rozglądając się na boki, dzięki temu jeszcze bardziej zwracając na siebie uwagę. Helena dzi-



wiła się, że dorośli zachowują się jak dzieci. Następnego dnia Wiktorcia była zmęczona i ręce jej lekko drżały przy jedzeniu zupy. Dziecko – mówiła swoim melodyjnym głosem – przepowiadanie ludziom przyszłości to naprawdę ciężka praca. Zapalała potem papierosa w długiej lufce, co było sprawą zupełnie niezwykłą we wszystkich numerach poniżej siódemki i Helena patrzyła jak urzeczona na niebieskie kłęby dymu, które wydobywały się z ust „czarownicy” wytwornie i elegancko, nie tak jak z ust jej ojca – chaotycznie i byle jak. Wszystko tu było niepokojące i niezwykłe.

– Wiesz – wyznaje Wiktorcia – nieważne, czy mówię im prawdę, czy też sprzedaję im własne myśli zaległe w mojej głowie jak robactwo, oni przyjmą każdą fikcję i z niej uczynią swoją prawdę. Ludzie są śmiesznie łatwowierni, zwłaszcza kiedy cierpią. Zrozumiesz to kiedyś, moją małą... Potem starsza pani upija łyk nalewki na wiśniach i rysy jej łagodnieją, jest wtedy dużo młodsza, tak młoda jak dziewczyna, gdyby nie siwe włosy – myśli Helena. Niechętnie zamyka za sobą drzwi i schodzi poniżej siódemki, w rejony, gdzie nic się nie dzieje oprócz kłótni, zapachu prania i kapusty, wrzasków dzieci, poszturchiwań matki.

Nie było w jej świecie ani jednej rzeczy ładnej, pachnącej i czystej. Dlatego później, dużo później Helena rujnowała się na kupowanie rzeczy pięknych – sukien pantofli, bibelotów. Była w tym żarłoczność i desperacja. Nie musiała ich używać, one po prostu były, żeby być... Ale od tamtej pory minęło ćwierć wieku. Teraz czuła niedosyt, fizyczny prawie ból, kiedy dotykała porcelany w pokoju Wiktorii, starej przedziwnie rzeźbionej komody. – Przyjechała ze mną z Paryża – mawiała z rozmarzeniem w oczach Wiktorcia i Helena już czuła pod skórą te nieznanne światy, pełne barw, migoczących gdzieś daleko, nie dla niej... Pokorniała i kuliła się w sobie. Potem biegła na lekcje muzyki z plikiem nut pod pachą. Nudziły ją te wprawki i gamy, ale przynajmniej wprowadzały jakiś porządek i przez chwilę zabraniały myśleć o tych niepokojąco pięknych sprawach. Ta dziewczyna znowu myśli o niebieskich migdałach – sarknęła gniewnie matka.

Ćwierć wieku później Helena stojąc pod czerwonym skrzydłami Moulin Rouge, przypomniała sobie tamte słowa i talerz w niebieskie kwiatki, który potłukł się na drobne kawałki. – Paryż, przecież jestem w Paryżu - pomyślała bez entuzjazmu. Ale wryte w zakamarki mózgu wspomnienia przeniosły ją bez wysiłku w ciemne korytarze pamięci. Przypomniała sobie powyginane linoleum w kuchni, upatrzone plamami spaleniźny wokół popielnika, z którego wyskakiwały iskry. Mrugający czajnik pełen wody, jak żywe stworzenie w chłodne dni wierząc się pod płomieniami z drewna, latem stał chmurny i nadąsany na zimnym piecu, rozpalanym tylko w soboty. Tamta ciemna sień żyjąca własnym mrocznym ży-

ciem i zapachami wyskakiwała na powierzchnię pamięci jak brodawka na nosie czarownicy. A przecież twarz Wiktorii była piękna...

Wiktorię ktoś potrafił na przejściu. Umarła w parę dni później. Krewni rozszarpali resztę, która po niej została. Helena zdołała uratować tylko zdjęcie, które zawierunyło się pod szafą i szklaną kulę, leżącą pod oknem, jak chore zwierzę i postawiła ją na półce przy łóżku. Helka – czarownica wołały dzieciaki z podwórka.

Pochlebiali jej to przezwisko. Przestała być bezimienną, rudą dziewczynką. Myślała z wdzięcznością o Wiktorii, która sprawiła, że stała się inna, dostrzegalna. Odnosiła się z wyższością do swoich rówieśnic, które dotąd ledwo ją tolerowały. – Nie rozumiecie pewnych spraw – mówiła i odchodziła zostawiając je ogłupiałe ze zdziwienia, z rozbująłą wyobraźnią...

Były ciekawe tych spraw, dziejących się pod siódemką, w których ona uczestniczyła. Bo później i ona zaczęła brać udział w owych przedziwnych seansach Wiktorii. Widziała rozgorączkowane twarze mężczyzn i kobiet.

Jakże daleko była teraz od tamtego podwórka. Samotna na paryskiej ulicy. Osaczyły ją inne wspomnienia. Mężczyzna, któremu swoimi chimerami zmarnowała życie, nie wytrzymał tych koszmarów. Nawet nie miała mu za złe, że odszedł... Kochała go, tyle że to uczucie było jej obce, przerastało ją, nie potrafiła sobie z nim poradzić. Przerazało ją. Nie umiała zaufać innemu człowiekowi. Zaufanie zdobywa się latami, tak mówiła matka, a on wymagał tego od zaraz, prawie natychmiast...

– Ludzie są śmiesznie łatwowierni – przypomniała sobie słowa Wiktorii. Ona Helena też taka była. Później już nie.. Uładziła swój świat na tyle, że mogła bez lęku wynurzać się ze snu w przestrzeń pokoju, gdzie nagromadziła trochę przyjaznych jej sprzętów. Kokon milczenia zamknął się wokół niej jak bezpieczna sieć, z której nie ma wyjścia, ale tak naprawdę wcale nie chciała z niej wychodzić. Skryła się ze wstydu przed własną niedojrzałością. Ostatnie tygodnie z tamtym mężczyzną były nie do wytrzymania. Spotykali się rozmawiając o byle czym, bez żadnych aluzji do tego co było, jakby się nic nie stało i nie miało stać się nadal. W ich stosunkach zapanował chłód, ironia uraza, a czasem nienawiść. Jakże w takich momentach bezpieczne wydawało się być jej poprzednie życie... W końcu przecież rozstali się, ale wtedy zaczęły dręczyć ją myśli: – dlaczego, po co? Kto popełnił błąd? Męczyła się nocami wspominając zapach jego ciała. Liczyła, że jeśli istnieje przejście między zapomnieniem i pamięcią, to jest ono nieświadome. Przyjdzie. Kiedyś przyjdzie...

Wracała pamięcią do początków, kiedy po pierwszym zauroczeniu odsuwała się od niego, odnajdując w nim niewiele wspólnego z własnym

wyobrażeniem. Dodawało mu uroku jedynie pragnienie, jakie budził w innych. Wtedy zaczynała na nowo cierpieć. Kiedy cierpienie ustępowało na moment – czuła nicość jaką on był dla niej i jaką pewnie ona dla niego była... Chwilami pragnęła dowiedzieć się o nim czegoś okropnego, czegoś, co mogło by ich poróżnić... Zatapiała się we własnych koszmarach do tego stopnia, że cel sam w sobie stawał się mało ważny, spychany na inne płaszczyzny świadomości. – Gdzie to szczęście które mi obiecałaś – myślała o Wiktorii. Na chwilę rozświetliły ją światła Pól Elizejskich. Znowu miała w sobie ten cierpki niepokój, gotowy w każdej chwili zerwać się jak wichur, który towarzyszył od początku ich znajomości. Z każdą chwilą czuła się bardziej zagrożona, zazdrosna. A im bardziej ową zazdrość ukrywała, tym bardziej stawała się ona widoczna. Podejrzywał, że mu nie ufa i jednocześnie oszukiwał. Nie było już miejsca na nic innego. - Przecież to, na co czekała, to tylko skojarzenie obrazu ukochanej osoby z biciem serca nieodłącznym od daremnego oczekiwania - podpowiadała jej ta druga, mająca pełne kieszenie teorii.

A później usłyszała głos Wiktorii ciągnący się za nią po paryskiej ulicy – Widzisz rękę, która głaszcze psa, czyjaś sylwetkę przed oknem, słyszysz wieczorem o zmierzchu głos, który woła jakieś imię i myślisz, że to miłość... A w końcu okazuje się, że ręka należy do sąsiadki z przeciwka, sylwetka do starego mężczyzny przeszukującego śmietniki, a głos do sprzedawcy z przeciwka, który przywołuje swojego psa. Rozumiesz? – Nie! – krzyknęła za głośno. Ktoś obejrzał się za nią. – Nie ma obawy – popłynął łagodny głos wróżki – przyjdzie właściwy czas, kiedy dłoń będzie pasowała do głosu, a głos do sylwetki... Daj sobie trochę czasu. Nikt przecież nie powiedział, że będzie łatwo.

## KOSTKA CUKRU

Nazywał się Ares. Tyle pamiętał z lepszych czasów, czyli takich, gdy podtykano mu pod pysk kawałki cukru i był ważny. Przynajmniej tak się czuł. Jego grzbietu dosiadała lekka istota, pachnąca czymś podobnym do świeżo skoszonej trawy... Wtedy widział, że musi pędzić, gonić, być najlepszy. Nawet lubił ten wiatr w uszach, gwizd powietrza, pulsującego w tym samym rytmie co jego krew. Z upływem czasu jednak czuł coraz większe zmęczenie, co gorsza, Oni też to zauważyli... Cierpiał nad tym faktem co noc, pojadając wonne siano. Aż nadszedł ten niedobry dzień, kiedy zmieniło się jego życie. Teraz ciągnął wozy, pługi, przeorując tysiące brył czarnej ziemi, niemilosiernie lepiacej się do kopyt. Wieczorem, utrudzony do granic niemożliwości, popijał tylko wodę, rojąc sny o niedawnej świetności. Inne konie nie rozumiały go, przyzwyczajone do znoju, a jemu po nocach śnił się wielki bieg i to pulsowanie krwi w uszach – dawne czasy.

Mijały lata, a może miesiące... – nie wiedział. Dni były tak do siebie podobne. Jego piękną kasztanową sierść pokryły pierwsze nitki siwizny. Cóż, starzał się. Wiedział o tym i w jakiś sposób przystawał na te zmiany.

Monotonia życia pozbawiła go resztek złudzeń. Jedyną pociechą były sny o wielkim biegu... Zawsze będzie o tym pamiętał, aż do owego straszego dnia, którego w najśmielszych, najbardziej upiornych wyobrażeniach nie mógł przewidzieć. Kiedy zaprowadzono go do tamtego miejsca... Na początku poraziła go cisza. Trwoga. Zapach krwi. Zapach śmierci. Przeczuiwał ją już od dawna. Dopiero teraz była bardziej wyrazista... Zaczął dygotać na całym ciele. Przed nieuchronnością, przed przeznaczeniem, które tego dnia dało znać o sobie. Gospodarz klepnął go uspokajająco, ale to nie było szczere, o czym oboje wiedzieli aż nazbyt dobrze. Jego oczy rejestrowały wszystko, co działo się wokół, spychając niejako na drugą płaszczyznę świadomości los, który miał się stać jego udziałem – Wyciągane z platformy zwierzęta, kwilące rozpaczliwie, bez poczucia jakiegokolwiek godności, do owego straszliwego tunelu, gdzie miały zakończyć swój żywot. Patrzył na to wszystko na pozór spokojnie, usiłując zapano-

wać nad zimnymi mackami niehumanitarnego strachu, znajdującymi się tuż – tuż, na granicy wielkiego krzyku...

Przypominał ostatkiem siły woli smak tamtej kostki cukru – słodczy zwycięstwa – zanim przyłożone do skroni zimne przedmioty eksplodowały boleśnie, wywołując biały obłok w jego mózgu, rozrywający się w tysiące pomieszanych ze sobą obrazów, w końcu zlewających się w jedno wielkie wrażenie ciszy... Ciało Aresa zwiotczało i było już niczym innym, jak tylko zwiłkiem mięśni, po które sięgnęły łapczywie dłonie oprawców. Jego dusza, z kostką cukru, szybowała ponad murami rzeźni lekka i wolna od wszelkiego cierpienia.

## PENSJONAT „POD RÓŻĄ”

Pensjonat mojej kuzynki Walerii prowadził się właściwie sam. Nie było przesadą powiedzenie, że ona, w końcu właścicielka, nie przywiązywała do niego większej wagi. Wszystko toczyło się jak gdyby samo z siebie, popychane siłą bezwładności. Kucharka, która od lat groziła odejściem, pokojówka sarkająca od sezonu do sezonu, kelnerki, a nawet dozorca i okresowo przychodzący Marcin – ogrodnik – wszyscy oni grozili, narzekali, jednak na początku sezonu zjawiali się, całując i ściskając jak ludzie, którzy odnaleźli się po latach. Waleria patrzyła na nich pobłażliwie – w jej oczach byli jak duże dzieci, które same nie wiedzą czego chcą. W końcu gdzie mogłoby być im lepiej? To prawda, że płaciła niewiele, że po zimie było sporo pracy, gdyż wszystko chyliło się ku ruinie, ale przecież przy odrobinie dobrej woli można było zabłysnąć jeszcze raz, może ostatni – jak mówiła do personelu mrużąc filuternie oko... Pomimo to uwielbiała ją. Zresztą nie było się czemu dziwić. Była niezwykle urokliwą, piękną kobietą – Oczywiście jak na swoje lata – mawiał zwykle jeden z kelnerów. Towarzystwo, jakie zjawiało się na początku sezonu było również niezwykle. Widziałeś, kto przyjechał – pytał podekscytowany młodszy kelner Marcina – to ten znany projektant mody. O rany żeby tak mnie wzięła na modela – jęczał układając talerze w równe stosy. Marcin jadł śniadanie i filozoficznie wpatrywała się w okno, w które wkradał się wczesny majowy upał.

Uwielbiałam tu przyjeżdżać. Moja matka – będąca w ustawicznej uczuciowej huśtawce, z pewną ulgą pozbywała się mnie na dwa letnie miesiące. Miałam jej to za złe, dopóki nie stałam się kobietą. Wtedy rozumiałam co musiała przeżywać...

Tego akurat lata jej mąż, a mój ojczym zdradzał ją z modną w kręgach poetessą, która oprócz młodzieńczych pryszczy na twarzy i mniemania o własnej genialności nie przedstawiała sobą nic ciekawego. Matka, będąc kobietą z klasą, wszystko mogła zrozumieć, ale nie taki brak poczucia dobrego smaku... Wygląda na to, że spędzimy ze sobą dwa miesiące – mruknęła Waleria przytulając mnie w taksówce. Nie miałam nic przeciwko temu. Uwielbiałam te pokoje pełne wielkich szaf, głębokich kanap, bla-

dych luster i zaniedbanych kwiatów, które żyły własnym, niezgodnym z rytmem biologicznym życiem, – zakwitając jak i gdzie popadło, w najmniej odpowiednich momentach, zdumiewając zwłaszcza Marcina, który w końcu uważał się za ogrodnika.

Z odrobiną dreszczyku zanurzałam się w długie korytarze pokryte dywanikami, których wzory zdeptane tysiącem nóg zgasły i rozpełzły się. Z roku na rok odkrywałam jakieś nowe drzwi, których nie było, schody wylaniające się niespodziewanie za rogiem i prowadzące nie wiadomo dokąd. Robiłam długie samotne wycieczki, które kończyły się nieoczekiwanie w jakiejś zapomnianej mansardzie spowitej welonem kurzu, przerażającej piskiem myszy, uciekających przed intruzem. W dolnych rejonach pensjonatu wrzało życie, zwłaszcza w wielkim salonie, który miał wyjście do ogrodu. Tu nigdy nie było pusto, tu królowała moja ciotka hojnie częstując nalewkami własnej roboty, wydobytymi z czeluści piwnicy tak ciemnej i mrocznej, tak porośniętej liszajem pleśni, że nawet ja bałam się tam zagłębiać. Gwar rozmów rozprzestrzeniał się jak wielka ośmiornica, sięgając swymi mackami do najdalszych pomieszczeń. Turlał się po tarasie pełzając po wystrzyżonym trawniku, zagłębiając się w jego przedpołudniową, miękką wilgoć. – Teatr Walerii – prychała pogardliwie matka. Nie przerywało tego najdłuższego na świecie przedstawienia nawet wniesienie przez Józefinę wazy z zupą, którą goście jedli od niechcenia i mimochodem... – Zjedliby nawet barszcz z muchomorów – sarknęła Józefina w kuchni. – Takim to nie warto się wysilać. – Ciocia prosiła przekazać, że zupa była nadzwyczajna – przekazywałam uwagi z salonu i Józefina natychmiast usuwała z twarzy wyraz zatroskania i niechęci do całej tej artystycznej bandy – jak nazywała kuracjuszy w przypływie złości i mówiła w rozmarzeniu – No, no... po czym zabierała się rażno do przygotowania deseru.

Czasami z Olimpu spływała wielka majestatyczna Waleria i pytała słodko. - Józefinko, nie masz kochana jeszcze kropelki tej wspaniałej zupy? Pan Mieczysław no wiesz ten od obrazu w mojej sypialni, przekazuje ci gratulacje i prosi o jeszcze... – Może na kuchni to on się zna – mamrotała nad garnkiem Józia, wyraźnie zadowolona – ale, z przeproszeniem, na sztuce to raczej nie. Ma pani na tym bohomazie trzy pary uszu i sześć rąk. Nie mówiąc o innych częściach ciała. Nie będę bluźnić przy dziecku... – Nie marudź Józefinko, pan Miecio jest wybitnym artystą, więc pośpiesz się z tą zupą – ciotka wychodziła z kuchni jak wielki trójmasztowy okręt, dryfując w stronę salonu.

Często wsuwałam się za nią i cichutko przysiadłam w wielkim fotelu, osłonięta włochatym pniem palmy. Całe towarzystwo osnute dymem z fajki, którą palił któryś z gości, stawało się coraz mniej realne... Budzi-

łam się w środku opowieści o nowym, fascynującym scenariusze filmowym. O ile sobie przypominam, bohaterem miał być terrorysta – elegancki i pyszny. Zjawiał się wyprostowany, porażając męską urodą, ubezpieczony z tyłu przez kobiecą ochronę – smukłe kobiety w długich butach i obcisłych kombinezonach, każda z paszczą karabinu maszynowego w ręce, po czym znikał zostawiając za sobą trupy wrogów i jeziora niewinnie przelanej krwi... O ile też pamiętam, nigdy nie powstał taki film. Na szczęście. Zdumiała mnie wtedy twarz mówiącego – zwykle bezbarwna, z której rzeczywistość zmyła wszelki wyraz. – Spacerował tam i z powrotem po salonie Walerii, z rękami w kieszeniach spodni. Kiedy mówił, jego oblicze przestawało być białą ścianą z siecią bladych żyłek, pod którą płątały się tylko wspomnienia życia. Uśmiezek unosił opuszczone wąsy, przeradzając się w coś nieopisanie krwiożerczego w okolicach oczu... Przechodziły mnie ciarki na widok tego natężenia, które trzymało jego rysy w pewnych ryzach. Za chwilę znowu twarz przybierała wyraz maski, o której się zapomniało. – Nasz Edward jak zwykle genialny – kwitowała dobrodusznie Waleria, proponując spacer po ogrodzie.

Okna salonu falowały firankami. Słońce spływało złocistymi witrażami na dywan. Dzień, chyłąc się ku wieczorowi stawał się miękki i świetlisty upajający zamglony słodyczą, oferujący pełen obietnic wieczór...

Słyszałam jeszcze przez chwilę głos ciotki na tarasie coraz bardziej cichy, znikający w gąszczu ogrodu podbitego balsamem pierwszego o tej porze chłodu nocy, która miała dopiero nadejść. Ogarniał mnie niewymowny smutek, ciemność wypęzła z kątów salonu fermentując jakiś zapach niewysłowiony i gorzki... Czułam się włączona w obcy czas, nie swoich przeżyć, zapomniana i odrzucona. Zdecydowanie lepiej było mi w kuchni pomiędzy swojskimi zapachami jedzenia, które przynajmniej można było nazwać po imieniu... – A, zgłodniała nam dziewczynka – mówiła wesoło Józefina. Stawiała przede mną talerz moich ulubionych naleśników i patrzyła dobrodusznie. Marcin – ogrodnik poruszał miarowo szczękami. Jego tatuaże poruszały się razem z nim, żyjąc własną nieokreśloną dramaturgią, chociażby ta kobieta na przedramieniu... Nie odrywałam od niej wzroku. To było ciekawsze od opowieści o przystojnych terrorystach i morzu krwi, które ciągnęło się za nimi jak welon jakiejś upiornej panny młodej.

– Skąd to masz – pytałam. A on snuł opowieści o spelunkach w Szanghaju, portach w bliżej nieokreślonych miejscach, które ja przyjmowałam z entuzjazmem bez żadnych zastrzeżeń, nie widząc porozumiewawczych spojrzeń, które rzucał Józ. Dopiero wiele lat później dowiedziałam się, że był recydywistą karany za wielokrotne napady i paserstwo. Tatuaże zrobiono mu w więzieniu, rzecz jasna, a nie w spelunce tak



barwnie przez niego opisanej. – Waleria miała sporo odwagi zatrudniając taki element – krzywiła się moja wytworna matka. – To cud, że jej nie zabili, nie ograbili z reszty tego, co miała.

Najdziwniejsze jednak było to, że Pensjonat „Po Różą” nie mieścił się w żadnym znanym kurorcie, tylko na obrzeżach przemysłowego miasta, a właściwie w bocznej, niewielkiej uliczce zapomnianej przez wszystkich, niedaleko rynku.

Wystarczyło skręcić w lewo, żeby znaleźć się w alejce akacji ukazujących przy byle powiewie wiatru swoje srebrzyste podbrzusza, puszące się w teatralnych przebiegach. Stare domy ginące w zieleni podmiejskich ogrodów stawały się coraz rzadsze. Kwadraty bruku, zdeptane do nicości zmieniały się niepostrzeżenie w zwykłą wiejską drogę, która w końcu też ginęła w pogmatwanym chaosie chwastów i polnych kwiatów. Wówczas przed zamyślonym przechodniem wykwitał jak wielki słonecznik radosny napis - Pensjonat „Pod Różą”.

Z niejakim trudem w splątanych gąszczu traw i zielska można było znaleźć wyżwirowaną ścieżkę, prowadzącą do żelaznej, wiecznie otwartej bramy, za którą kłębił się ogród z czarną gałęziastą siecią drzew. Dopiero dalej, w prześwitach, widać było ściany domu, prezentujące pozornie białą i radosną twarz w okolicy pierwszego piętra... Im niżej, tym bardziej była ponura, żeby w okolicy okien parteru przejść w niepokojącą szarość tu i ówdzie zaprawioną domieszką wilgoci. Niezliczone gatunki kwiatów latem przykrywały ją litościwie bujnym kwitnieniem. Potem był ganek trwający od lat w morderczym uścisku bluszczu i wejście do holu, w którym pachniało starym drzewem i jeszcze czymś dziwnie prostym, ale tak trudnym do nazwania. Ja swoim dziecięcym umysłem nie mogłam jeszcze tego określić, a pozostawione za progiem życie mojej matki wydawało mi się śmieszne i pełne niepotrzebnej szarpaniny.

## MADAME KRZESIŃSKA

Zabiłam żonę cara Mikołaja II. W moim śnie była straszną jęzdą i sekutnicą. Jej szczątki leżały w worku, daleko, na tyłach ogrodu. Zamierzałam je zakopać na miedzy, tam gdzie mało kto zaglądał – pod lasem. Powody tego morderstwa były mi nieznane – po prostu stało się.

Analizowałam ten sen przy porannej kawie, dochodząc do wniosku, że był jednym z najbardziej krwiożerczych, jakie miałam okazję przeżyć.

Kolega Freud kłania się nisko. To pewnie przez spektakl, który przygotowowałyśmy z koleżanką od dłuższego czasu. Dotyczył właśnie wyżej wymienionych bohaterów. Wynajdywałam coraz to nowe źródła, które przeczyły jedne drugim. Usiłowałam znaleźć jakiś złoty środek i pogodzić całe to towarzystwo, ale nie było chyba sposobu. Czułam, że Madame Krześcińska nawiedzi mnie jeszcze i nie myliłam się. – „Jak śmiesz twierdzić, że Mikołaj był mną zainteresowany?! On mnie kochał, kochał - rozumiesz?! O mały włos nie zmieniałam biegu historii... – Krześcińska rozmarzyła się na moment, a potem spojrzała na mnie z pogardą. Potem zniknęła, rozwiła się w sennych oparach. Obudziłam się z bólem głowy.

Sprawdziłam w senniku, że sen o morderstwie zapowiada trudną sytuację, w jakiej można się znaleźć. Tego mi tylko brakowało. Scenariusz w proszku, bohaterowie osaczają mnie, wykrzykując swoje racje, a ja, jakby było mi mało, prowadzę z nimi urojone monologi. Tymczasem w kasie pustka, a przecież mam wyskoczyć z koleżanką na Mazury na parę dni. Po raz pierwszy od siedmiu lat!

Zamiast się cieszyć przeżywam stare problemy, w tym finansowe. – Ty miałaś lepiej ode mnie, przynajmniej pod tym względem – mruczę do Krześcińskiej, ale cichutko. Tak, żeby mnie nie usłyszała i nie zjawiła się. A jednak... Rozpiera się na moim najlepszym fotelu, na stosie nie uprasowanej bielizny. – Uważaj – mówię – pognieciesz mi bieliznę. – Chyba już bardziej nie może być pognieciona – odparowuje mi natychmiast – lepiej każ pokojówce, żeby to zabrała i zrobiła porządek. Uśmiecham się pod nosem. Jaka ona niedzisiejsza. – Myślisz pewnie, że jestem niedzisiejsza – zauważa. – Mylisz się złociutka, inne mają pokojówki, czy też pomoce domowe, czy jak wy to dzisiaj nazywacie. Tyle, że nie ty...

Tobie gołąbeczko jakoś nie wyszło, co? Postanawiam milczeć. Rzec by można: nie potwierdzę i nie zaprzeczę. – Cóż – mówię – każdy ma swój sposób na życie.

– Tyle, że twój nie jest najlepszy – mówi z wyniosłą pogardą Matylda, sięgając po kolejną czekoladkę. Patrę na jej klasyczny profil, na zaczesane gładko do tyłu włosy i pytam – A ty nic byś nie zmieniła w swoim życiu? Zamyśliła się na chwilę, a potem odpowiada na swój enigmatyczny sposób – Może to i owo...

Niewiele, jak zwykle. Lepiej niech znika, bo nie mogę pracować. Swoją drogą, dlaczego nie wybrałam sobie innej postaci, innej epoki. Ot, chociażby Wallys Simpson – nieskomplikowana historia prosta jak w bajce – żyli długo i kochali się do samej śmierci...

– Takie historie nikogo nie interesują, są po prostu nudne – to znówu ona. – Zjesz mi wszystkie czekoladki – zauważam przytomnie. Postanawiam pozbyć się jej za wszelką cenę. – Wybacz kochana, ale postanowiła rozbudować w moim scenariuszu postać Alix, pamiętasz na pewno, że Mikołaj tak ją nazywał, była wzorową żoną i matką. Matylda wrusza ramionami, ale widać, że czuje się dotknięta. – To polityka – mówi nie dbale. – Pamiętaj, że były kobiety z którymi zawierano małżeństwa i kobiety które kochano. Ja należałam do tych drugich.

– A ty, do którego gatunku należysz – rzuca mi spojrzenie spod rzęs. Mam ochotę cisnąć w nią czymś ciężkim. – Jeśli myślisz, że twoja Alix była taka kryształowa, to jesteś w błędzie – kontynuuje. A hrabia Orłów chociażby. Różnie też mówiono o niej i Rasputinie... – Nie pleć – przerywam jej gwałtownie. – Rasputina trzymała przy sobie ze względu na syna. To akurat wiem na pewno. – Nigdy w życiu nic nie wie się na pewno – rzuca kąśliwie mój gość. W tym momencie zgadzamy się, ale nie dam jej satysfakcji...

Nie powiem, że ma cholerną rację. Spoglądam na fotel, teraz już pusty i wiem, że nie skończę tego scenariusza przez to jedno stwierdzenie. Nie mam prawa mieszać się w ich życie, bo tak naprawdę nic nie wiem na pewno. Pociuszające jest tylko to, że oni też nie wiedzieli. Bo czymże byli Aleksander i Mikołaj? – Tylko parą zalęknionych, nieśmiałych i wiecznie zaambarasowanych ludzi, o ile nie przebywali w swoim „magicznym kręgu”, nie wychodzącym zbyt daleko poza ściany dzieciennego pokoju, a i tam, gdzieś za zabawkami carewicza, czaiła się śmierć gotowa w każdej chwili porwać dziecko. Ich jedyne go. Sielanka w Carskim Siole była tylko sposobem na lekceważenie nieuchronnego losu... Zewsząd czyhało nieme i tajemnicze fatum, które Mikołaj przyjmował z pewną obojętnością jako „boskie zrządzenie”. Biedna Alix też potrafiła godzinami leżeć na kamiennych płytach krypty podziemnej kaplicy, popadając w mistyczne uro-

jenia. Ona – heska księżniczka wychowana w surowym duchu protestantyzmu, kiedy przyjęła prawosławie, stała się fanatyczną zwolenniczką jej wiary. Jej mąż nie sprzeciwiał się jej fantazjom, sam lgnąc do religijnego mistycyzmu. Zwłaszcza kiedy na rodzinę zaczęły spadać nieszczęścia. Ani kazania, ani msze nadwornego popa, ani modlitwy, na które Bóg nie raczył odpowiadać... Nic nie przynosiło spokoju i nie odbierało trosk. Słaba i zrozpaczona Alix chciała bezpośrednio zjednoczyć się z Bogiem. Ktoś jej podpowiedział, że są ludzie, którzy to potrafią... Już przedtem wokół Carskiego Siola kręciła się masa tak zwanych „cudotwórców” i „nawiedzonych”. Jednym z bardziej osobliwych zjawisk był doktor Badmajew, który zdołał wyleczyć Mikołaja z choroby żołądkowej i równocześnie rozwiązać kilka problemów administracyjnych. Z biegiem czasu pomieszał medycynę z polityką tworząc jakiś dziwaczny polityczno-czarnoksiężski koktajl, a raczej nawet organizację, która wychodząc ze słynnego sanatorium Badmajewa decydowała o losach Rosji... Mieszanka szaleju z haszyszem, którą łagodził dolegliwości cara, przynosiła doskonałe rezultaty. Tylko nie w odniesieniu do carewicza – tam jego metody zawodziły. Aleksandra całymi dniami siedziała przy jego łóżku. Nieuczesa-na, z zapadniętymi policzkami – przypominała starą kobietę... aż do dnia, kiedy po raz pierwszy pojawił się ten dziwny muzyk z Syberii – sam Grzegorz Jefimowicz Rasputin.

– Wszyscy powariowaliście z tym Rasputinem, ty też – słyszę z fotela. A jakże, zjawiła się znowu, wyciągając w moim kierunku oskarżycielsko palec.

– Daj mi spokój, odpowiadam – jestem zmęczona. Dopiero coś mi wychodzi, coś się klaruje. A ty jesteś po prostu zazdrosna. Widzę jak twarz Matyldy czerwienieje ze złości. – Ja miałabym być zazdrosna? O takie coś, takie monstrum w baraním kożuchu i wysmarowanych łojem butach!? To jego rozwiązało życie – upodobania do pijaństwa i kobiet. Okropność – Krzezińska krzywi się z odrazą.

– A mnie nawet podobają się teorie, które głosił – „człowiek musi grzeszyć, by miał czego żałować...” – mówię w jej kierunku przekornie.

Wzrusza ramionami i patrzy na mnie z ironią.

Niech cię diabli, Madame Krzezińska.

– No dobrze, masz rację, byłam zazdrosna nawet o tego chłopa Rasputina, ale tylko dlatego, że był blisko niego, wtedy, kiedy ja już nie mogłam. Zauważam z satysfakcją, że twarz Matyldy powleka cień tamtej miłości, tamtego cierpienia. Więc ona też... Łagodnieję na moment. Skłonna jestem spojrzeć na nią z sympatią, kiedy unosi lewą brew i mówi z przekąsem: – „Ale przyznasz, że ja grałam o większą stawkę. Ten twój ostatni pisarzyna, żonaty zresztą i nie mający dla ciebie zupełnie czasu... – Skąd

wiesz – zaperzam się likwidując w sobie resztki przychylności dla Madam. – My tam – mówi, – wznosząc palec ku górze – wiemy wszystko. Niech cię piekło pochłonie, myślę w duchu. Musisz nawet moje ostatnie nadzieje na szczęście sprowadzić do parteru. Po cichu przyznaję jej jednak rację. Musiałam zupełnie zwariować. Ona została w końcu księżną Romanowską, a tamten nie dzwoni od dwóch tygodni.

– Miałaś szczęście do mężczyzn – przyznaję niechętnie. – Nie dość, że wielki książę Sergiusz Michajłowicz trwał przy tobie całe wieki, odgadzając każde życzenie najpierw po stracie Nikiego, później, kiedy uganiałaś się po całej Europie za księciem Andrzejem. Biedaczek telegrafował, kiedy car miał wracać z Krasnego Siola do Peterhofu, żebyś mogła wyjść na wzgórek przy moście i popatrzeć na niego. Nie rozumiem tego zupełnie... Krześcińska wrusza ramionami. – Byłam największą tancerką Rosji. Nie zapominaj o tym moja mała. Mężczyźni szaleli za mną.

– Och, nie przesadzaj – mówię – była jeszcze Karsawina, młodsza i ładniejsza, Pawłowa i parę innych. – Byłam najlepsza – powtarza z uporem Matylda, sięgając po kolejną czekoladkę. Dobrze, niech i tak będzie. Nagle wszystko staje się obojętne. Już jej nie słucham, bo nagle poczucie mojego własnego nieszczęścia obezwładnia mnie z porażającą siłą. – Dlaczego ja zawsze wybieram nieodpowiedniego mężczyznę – kołaczę mi po głowie - ja, która nie umiem czekać nawet na autobus? A jednak potem czekam i tęsknię, wbrew całej mojej naturze, zadając jej gwałt, co czyni mnie jeszcze bardziej nieszczęśliwą. Co dziwniejsze, nigdy nie potrafiłam tego obrócić przeciwko sprawcy, – zawsze i tylko przeciw sobie. Prawdę mówiąc tym razem byłam wykończona. Wiedziałam wcześniej, że nie skończę tego artykułu, że gdzieś, w jakimś momencie zanurzę się w całkowitej obojętności dla bohaterów, przytłoczona swoim nieudany istnieniem. Trzeba przestać się oszukiwać. Oczekiwanie na dzwonek telefonu skupiało całą moją uwagę.

Krześcińska zniknęła już dawno, pewnie zdruzona moimi wywodami. Bezmiar straconego czasu... Czulałam się pogrążona, jak jakieś bezwolne stworzenie w stojącej, zatęchłej wodzie, z której nie ma wyjścia. Uroiłam sobie, że jeśli mnie ktoś pokocha, zdobędę siły, by wyjść z niej, że znajdę dość sił...

– Wszyscy cię przecież kochamy – powiedziała kiedyś Ela. – Wszyscy, to tak naprawdę nikt – dorzucił Andrzej nie patrząc na mnie zanurzając się w swój własny świat. Chciało mi się krzyczeć...

## MOJŻESZ, SYN ABRAMKA

Mojżesz, syn Abramka, tego, który dzierżawił dziadkowy sad, kochał się w Lilce i przy każdej okazji, żeby dać wiarę swojemu uczuciu, ciągnął ją za włosy. Parę lat później napisał pod ławką cykl sonetów – „Dla Lilii”. Tylko jeden z nich trafił do adresatki, która z niesmakiem wepchnęła tę bazgraninę głęboko pod książki... Lata całe minęły, zanim oboje spotkali się daleko od kraju dzieciństwa, w innym środowisku, połączeni jednak nicią tamtych wspomnień. Mozes Ibrahim był wziętym poetą o zawikłanej przeszłości, którą tendencyjnie ukrywał tworząc wokół siebie aurę kontrolowanej tajemniczości. Lilka – początkująca aktorka bez sukcesów – błada, jak heroina przedwojennych romansów, z fioletowymi cieniami pod oczami wynikłymi raczej z niedożywienia i braku snu – niż z innych powodów – spotkali się na przyjęciu. Ona zastępowała swoją przyjaciółkę, która pracowała w kuchni właścicielki owego domu.

Lilka nie poznała Mojżesza, syna Abramka, ale on poznał ją po wielkich oczach i pogardliwym wygięciu ust, gdy biegła korytarzem do łazienki z naręczem świeżych ręczników. Pamiętał doskonale ten grymas upokarzający go na oczach wszystkich chłopaków z miasteczka. Nosił go w sercu wiele lat jak świeżą bliznę rozdrapując co jakiś czas z masochistycznym upodobaniem. Może nie dlatego, że przetrwało w nim jakieś uczucie dla tamtej dziewczynki, raczej z tego powodu, że pod wpływem owych wspomnień pisał dobre wiersze. Tutaj, w Nowym Jorku kobiety były łatwe i proste do odgadnięcia. Nie mogły być w żaden sposób inspiracją do czegokolwiek, chyba że do wypicia większej wódki z niesmaku jaki po nich zostawał nazajutrz rano.

Lilka zostawiła ręczniki w łazience dla gości i zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Wzruszyła ramionami i wróciła do kuchni, gdzie przynajmniej mogła się najeść do syta i gdzie nie zaczepiały ją nachalnym wzrokiem jakieś typy z długimi włosami, których pełno snuło się po długich korytarzach rezydencji. – Część z nich jest nieźle naćpana i niezdolna do czegokolwiek – pocieszyła ją Marta, studentka, która dorabiała w ten sposób na czesne. Lilka ponownie wzruszyła ramionami – co ją to właściwie obchodziło, dziś jest tu, jutro tam. Jej droga z wujem, który wywiózł

ją z kraju dawno się rozeszła właściwie w sposób naturalny: wuj zmarł nieoczekiwanie, a jego rodzina wyrzuciła ją z mieszkania, czego właściwie spodziewała się i nikomu nie miała za złe. Była dość niefrasobliwa w tym względzie, cały czas przeczuwała, że jakoś sobie poradzi... Pieniądze za dorywcze prace przeznacziała beztrząsco na fatalaszki i kosmetyki. Żyła w przekonaniu, że wszystko najgorsze ma już za sobą, a to, co jeszcze się zdarzy, może być tylko lepsze. Wspominała czasem bez sentymentu ciotkę Jadwinę z jej gderliwym usposobieniem. Tu było może mniej bezpiecznie, ale ciekawiej... Mojżesz wsunął głowę do kuchni i ujrzał Lilkę siedzącą przy stole nad talerzem pełnym jedzenia. – Lilka, to ja Mojżesz, syn Abramka, pamiętasz? Lilka odwróciła głowę przyglądając się długowłosemu, łysiejącemu na czubku głowy mężczyźnie w nieokreślonym wieku. Wzruszyła ramionami po raz trzeci tego wieczoru. Mimo wszystko przed oczami stanął jej gazon z kwiatami, tamten ciepły wieczór, kiedy zaczęło się mówić o wojnie i kiedy stary Abram patrząc na nią powiedział: - Oj, szkoda takiego ślicznego dziecka – co tak oburzyło ciotkę. Tymczasem ona jest tutaj cała i zdrowa. – Czego pan chce – zapytała. – Pamiętasz Lilka, jak ja się w tobie kochałem? – zapytał Mojżesz marzycielsko. – Pamiętam tylko jak mnie ciągnąłeś za włosy – Lilka spojrzała na niego niechętnie i z pogardą, aż przeszedł go dreszcz rozkoszy, aż poczuł jakieś dziwne łaskotanie w trzewiach... – Lilka pamiętasz te sonety, które ja tobie napisałem – zapytał znowu nie zrażony brakiem sympatii z jej strony. Milczenie. – Lilka, ja poczułem, że ja mógłbym napisać patrząc na ciebie dużo lepsze sonety niż tamte. Czuję, że napiszę najlepsze wiersze w moim życiu. Co ty na to? – Daj mi spokój – odburknęła pochłonięta jedzeniem – i spróbuj tylko tknąć moich włosów – dodała jeszcze na wszelki wypadek. Mojżesz roześmiał się. – Lilka, ja czuję, że my zrobimy dobry interes – zaczął olśniony nagłym pomysłem.

– Nie potrzebuję twoich interesów – odparła – nikogo nie potrzebuję. Jestem na czubku świata. Daj spokój – skrzywił się z niesmakiem – sterty ręczników i jedzenie na chybiczka przy kuchennym stole – Też mi czubek świata. – Nie jesteś już przecież pierwszej młodości – dorzucił perfidnie. Lilka spokojnie ogryzała kurczaka, całkowicie pochłonięta tym, co robi. Zdawać by się mogło, że żadna uwaga Mojżesza nie jest w stanie jej dotknąć. Jednak przyjęła zaproszenie do jego mieszkania. Wiedziała, że na wieczór zaprosił gości – głównie swoich studentów i kilku pracowników z wydziału z żonami. Nie, żeby się go obawiała po prostu nie znosiła niezręcznych sytuacji. Dzielnica, w której mieszkała była elegancka, dom też, a mieszkanie spore i dobrze urządzone, chociaż pełne bałaganu. – Nieżle żyjesz Mojżesz – rzuciła. Machnął w odpowiedzi ręką. – Tyle, że już nie potrafię pisać. Wypaliłem się w tym piekielnym mieście. Najlepsze teksty

mam za sobą i to były właśnie te, związane z dzieciństwem. Stąd Lilusiu mój pomysł. – Na pewno sporo pamiętasz, będziesz mi o tym mówić, wspominać, a ja ci zapłacę od godziny, zgoda? Lilka rozważyła propozycję, czasu miała pod dostatkiem, gorzej było ze wspomnieniami. Pamiętała tylko gazon ciotki Jadwini, gdzie nie było można wchodzić, ani chować się na nim przed pejsatym handlarzem starzyzną, o którym mówiono, że handluje również małymi dziewczynkami... Pamiętała zapach spiżarni, chłodnej komórki za kuchnią w której na dębowych, zbitych przez dziadka półkach stały konfitury w słojach, u sufitu wisiała świecąc w mroku białym ciałem solona słonina, a nitki światła przedostające się spoza nieszczelnych okiennic ukazywały mnóstwo wirujących cząstek kurzu – mikroskopijnych drobinek miotających się w sobie tylko znanym tańcu od rana do wieczora. Lilka zastygała czasem w bezruchu przypatrując się im aż do bólu oczu... Dopiero słysząc szuranie kapci grubej Maryny wyrwała się z tej swoistej hipnozy, wracając niechętnie do świata pełnego narzekania kucharki, że znowu „ktoś nie zamknął drzwi do spiżarni, gdzie wtargnie ciepło i wszystko zmaruże na amen.”

– Niewiele pamiętam Mojżesz – powiedziała niechętnie – ale jeśli cię to zadowoli taka okruszyna, niech będzie. Napij się wina, ja tobie będę wdzięczny za każdy kawałek, ba ja powiem, że za najmniejszą okruszynę... Zaraz przyjadą goście będziesz moją kuzynką z Polski – Mojżesz trajkotał uradowany.

Przyjęcie trwało w najlepsze, kiedy rozległ się dzwonek. Lilka przechodząc do kuchni była najbliżej drzwi, otworzyła je i ujrzała najpiękniejszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziały. Mojżesz pojawił się u jej boku jak zjawa. – Możesz obejrzeć sobie autentycznego Indianina – powiedział do niej po polsku – mówię ci autentyk. Uśmiechał się przy tym szeroko do gościa.

– Poznaj moją kuzyneczkę Lilkę – popchnął ją przed siebie – przyjechała z Polski. Aktorka. Mówię ci Fred, odnosiła tam spore sukcesy, ale przewróciło się jej w głowie i zapragnęła obejrzeć trochę świata. Gość patrzył na Lilkę uważnie. – Niezły z niego facet, trochę sztywny, ale wdo-wiec i to nadziany, Liluniu – szeptał po polsku do jej ucha Mojżesz. A Lilunia pąsowała pod spojrzeniem tamtych ciemnych oczu, kurcząc się ze strachu przed magnesem, który nieuchronnie przyciągał ich ku sobie. Mojżesz stał obok bezużyteczny, zepchnięty za margines dnia, który dla nich dwójga był początkiem nowej ery. Początkiem ich świata...



## NIKT NIE KOCHA JULII

Julia była prześliczna, ale stwierdzenie tego nie wyczerpywało całej sprawy. Posiadała niezwykły wdzięk, który może nawet z dziewczyny nieładnej stworzyłby zjawisko przyciągające tłumy mężczyzn. – Ta dziewczyna nie będzie miała szczęścia w życiu – przepowiadała na popołudniowej herbacie wdowa po adwokacie Prankowskim, korzystając z okazji, że Amelia, matka Julii wyszła zaparzyć herbatę. – Wierźcie mi, ja się na tym znam – kontynuowała dalej, sugerując własną, nieszczęśliwą, omotaną tajemnicą przeszłość. Żadna z obecnych kobiet nie przytaknęła; – czy to przez solidarność z gospodynią, czy też przez powątpiewanie w stosunku do wdowy, która ani teraz, ani prawdopodobnie w przeszłości nie mogła się poszczycić nawet skrawkiem tego, co posiadała Julia. Milczały więc taktownie poprawiając apaszki na szyjach zwiedłych, pokrytych zwałami za luźnej i niepotrzebnej skóry, oglądając paznokcie, przebiegając wzrokiem po ścianach dawno nie odnawianych, ale za to pokrytych wielką ilością rodzinnych pamiątek...

Amelia wracała z kuchni wnosząc tacę z popołudniową herbatą i wszystkie panie zapominały na chwilę o całym świecie, w którym zresztą było niewiele miejsca dla nich samych. Julia zaś obnosiła swoją siedemnastoletnią urodę niedbale i zupełnie bez szacunku, zupełnie tak jak się nosi domową sukienkę. Mrużyła oczy patrząc w słońce i nie bacząc, że nabawia się zmarszczek, myła twarz byle jak i naprędce szarym, ordynarnym mydłem, nosiła po matce za małe i niemodne buty. Jedzenie przełykała szybko, całymi kęsami, wiecznie śpiesząc się na jakieś zajęcia dźwigając stos nut pod pachą. – Jest jeszcze młoda, niedojrzała - pocieszała się Amelia, kiedy Julia, omotana w przestarzałe chusty i jakieś bure szmaty przemierzała miasto. – W końcu przecież pozna jakiegoś poczciwego, młodego mężczyznę... Ale myślała o tym niechętnie, kategoriami dalekiej mglistej przeszłości, albowiem sama, po stracie męża którego nigdy nie kochała, a który był przyczyną wielu jej zmartwień z racji swojego beztroskiego podejścia do życia ,odetchnęła nabrała sił, postanawiając jednocześnie uchronić córkę przed podobnym losem. – Nigdy więcej – myślała patrząc z urazą na rozkwitającą urodę córki – żadnego mężczyzny w tym domu.

Życie Julii zaczynało się i kończyło na pielęgnowaniu chorej matki; innego nie znała i nie pamiętała. Nawet kiedy była pięcioletnią, chudą dziewczynką musiała ustawicznie wysłuchiwać jej narzekań związanych ze zdrowiem, które miało podłoże gdzieś głębiej, tam, gdzie dziewczynka w jej wieku jeszcze nie wszystko rozumiała. W jakiś sposób było to związane z późnymi powrotami ojca, zawsze zresztą wesołego, opalonego i zadowolonego z życia. Rano brał ją na kolana pochłaniając olbrzymie ilości bułeczek na śniadanie, a ona, Julia uszczęśliwiona szukała w kieszeni jego flanelowej koszuli małego wytartego misia. To był ich znak umowny. Jeśli go znalazła, to znaczyło, że ojciec myślał o niej przez cały ten czas.

Jego czerstwy wygląd kontrastował z twarzą matki – bladej, wiecznie chorej i wymęczonej już z samego rana dolegliwościami nocy. – I co znowu ci dolega Niusiu? – pytał wesoło ojciec, patrząc na Julię. – Mama miała bóle głowy i bicie serca – odpowiedziała poważnie dziewczynka, zatając, że matka płakała całą noc i skarżyła się na nieczułość mężczyzn, ale jakich, nie wyszczególniała. Zatem Julia przejęła, że jest to wataha obcych, złych ludzi, którzy kiedyś, w jakichś nie znanych jej okolicznościach matkę skrzywdzili matkę i należy się ich bać, zamykając przed wieczorem szczelnie drzwi do sieni. Całe mieszkanie przesiąknięte było wonią kropli walerianowych i ziół. Taki pamiętała aromat z dzieciństwa...

Zrezygnowała z muzyki – W knajpie nie będziesz grała - marudziła matka. Zdała na medycynę. Myślała, że nie da rady, ale powiodło się za pierwszym podejściem.

### (Z notatnika Julii)

W południe ptaki milkną. Wszystko zamiera, tylko droga wijąca się pośród pokrytych trawą rowów jest wieczna. Czuję się jak utrudzony wędrowiec, pokryty pyłem. Słońce przypala mi włosy, pot cieknie strużką po plecach. Siatki w obu rękach zawierają kamienie zamiast zakupów. Idę w nadziei cienia, chłodu, czułości zimnego nosa mojego psa, leżącego na ulubionym miejscu, czyli na kwietniku, z którego jest najlepszy widok na okolicę, powarkującego ze złością i zniecierpliwieniem – dlaczego tak długo, dlaczego tak późno? Obwąchuje moje ręce, ale zerka natrętnie w kieszeni torby, z której wydobywa się nęcący zapach – przecie kupiony dla niego w formie podzięką za to, że jest, że trwa na zrzuwanym kwietniku.

Julia ze znużeniem oparła głowę na rękach. Dosyć miała tych codziennych utarczek, nadmiaru pacjentów, braku zrozumienia ze strony kogokolwiek. Jasne, że nie była to wina ani jej, ani nikogo innego. Wina systemu, a więc niczyja. Jesteś biedna, czyli głupia – skwitował jej biadolenie

brat. – Inni sobie radzą – kontynuował – ale już go nie słuchała, znała tą śpiewkę na pamięć. Ale też znała „swoją” prawdę. Była taka jak była i nic nie można było poradzić. Nie jeździła samochodem znanej marki, a pensja z trudem wystarczała jej do 10.

### (Z notatnika Julii)

Pies łąsi się i zabiega drogę. Siada przede mną i nieproszony podaje łapę. Jakby przeczuwał, że wkrótce zostanie jedynym stróżem w ogłupiałym z samotności ogrodzie... Patrzę w jego ufny pysk i zastanawiam się – jakże ty piesku obejdziesz się bez porannej pieszczoty i kawałka chleba. Pamiętam jak ten chleb, on, nie głodny przecież, nosi po podwórzu, a potem oglądając się na kuchenne okno, z poczuciem winy zakupuje w kącie ogrodu, na później... Podchodzę do opustoszałej po Czarnym budy. I znowu natłok wspomnień: – tamta słoneczna sobota – kiedy już nie było wyjścia. Wzięłam go na ręce, nagle wielkiego i ciężkiego na skutek choroby. Ostatnia droga przez zatłoczone ulice... byle szybciej do lecznicy. Nagle zaczynam wrzeszczeć do brata, że przecież umiera, dusi się... Przyśpieszamy. Czarny patrzy jeszcze na mnie przez ramię, a potem osuwa się na dno tekturowego pudełka, zastygając w niewygodnej, nienaturalnej pozycji... Oczy ma otwarte. Biegiem przez podwórze, weterynarz w pobrudzonym fartuchu bada odruch rogówkowy – Nie żyje – mówi. I jeszcze: – „Zostawiacie państwo ciało?” Tak. Zostawiamy. Zrobiło się pusto w samochodzie. Niedzielny obiad nie chce przejść przez gardło. Nieunikniona refleksja, że zaczynamy odchodzić po kolei, powoli zachowując swoją hierarchię ważności, w której Czarny był na ostatnim miejscu.

Julia brodzi po łące pogrążonej w przedwieczornej mgle. Czuje przenikanie jej w głąb własnego ciała – to magiczne działanie zapamiętane z dzieciństwa, kiedy razem z siostrą, przyodziane w stare prześcieradła, krążyły po łące strasząc na wpół oślepego Antoniego, przesiadującego zmierzch swego życia ławeczce przed domem. W połowie zabawy ogarniało ją właśnie to przemożne uczucie przenikania mgły, kiedy zatracala kontury własnego ciała po utratę myśli – do tajemnej więzi która później kazała jej krążyć po łące, do bólu zdrętwiałych z zimna stóp. Wracała do domu prosto w połajanki matki, kpinki siostry o nawiedzonych wariatkach, psujących każdą zabawę. W nocy miała duszne i męczące sny o mgle, wciągającej ją w siebie początkowo miękko i przyjemnie, a później podstępnie, do nieokreślonego bólu w okolicy serca. Budziła się z krzykiem. – Trzeba ją zaprowadzić do lekarza, to nie jest normalne u dziecka – mówiła niechętnie Amelia. – Przejdzie jej z wiekiem – uspokajał ojciec,

przykładając jej chłodną rękę do czoła.

– Nic nie rozumiesz, nigdy nie ma cię w domu – wtrąciła napastliwie matka. I kiedy ona zasypiała wreszcie, śniąc snem, którego nie pamiętała, tamci kłócili się długo w noc. Ranek był zwyczajny, prosty, z radosnym pyskiem psa warującego przy łóżku. Tyle że to było tak dawno...

Dzisiaj czuje tak samo – wzajemne przenikanie jest jak modlitwa, która pozostała z tamtego czasu istniejąca poza przestrzenią – ignorująca jego nieuchronny jednostronny przepływ.

## CAFÉ „KAPLICA”

Nie można było nie ulec urokowi Café „Kaplica”. Turysta otumaniony, obrzęknięty i senny od upału, zmęczony błędzeniem po ulicach skądinąd uroczego, małego miasta położonego ślicznie i malowniczo nad jeziorem, niewiele sobie obiecywał przekraczając próg wielkiego, starego domu vis – a – vis cmentarza. A jednak chłód i przyjazny mrok sali pogrążał go w miłym półśnie czy też rozmarzeniu. Dalej, oślepiłymi od słońca oczami, zaczynał dostrzegać rzeźbione szafy pod ścianami, królujący na środku stół przykryty szydełkową serwetą, bukiety suchych kwiatów i książki założone zaschniętym rumiankiem – jak gdyby ktoś właśnie przestał je czytać i na chwilę odłożył. Wchodząc głębiej zanurzało się w ową magiczną i nieuchwytną, ale wszechobecną woń starego drewna, wosku, poszeptywań dochodzących zza drzwi prowadzących nie wiadomo dokąd... Dobrze było złożyć umęczone ciało w zagłębienie pastelowo obitego fotela, czy też w stare, wygodne krzesło i czekać. Za barem, na tle bogato rzeźbionego kredensu z szybkami, królował Marszan do twarzy ascetycznej i bladej, w której ciemniały oczy i granatowy zarost.

Nic dziwnego, że nie oparła się temu urokowi Klara, która przed laty przyjechała tu z grupą kolegów - malarzy na plener. Senne miasteczko ożywiły śmiechy i hałas, który wszczynali. A długie biesiady na dziedzińcu zamkowym przeciągały się do rana. Ale Klara potrzebowała innych wrażeń. I to obiecywało jej granatowe spojrzenie Marszanda. Kiedy tamtego wieczoru zbliżyła się do jej stolika podając odręcznie napisaną kartę win. Wzruszyła się dopiskiem u dołu „ceny zmienne”, a nie banalnie jak wszędzie – „umowne”. Charakter pisma był niepewny i drżący, tyle że ona nie miała do tego głowy. Siedząc blisko rozległego kominka wyobrażała sobie, jakie przyjemne ciepło daje on w zimowe noce. Wyobrażała sobie też daleko więcej, ale po pierwsze nie należy uprzedzać faktów, a po drugie głowa Marszanda pochylająca się nad nią niebezpiecznie blisko żądała jasnego wypowiedzenia się co do gatunku wina. Czas gramolił się niezgrabnie i powoli, a przepastne oczy właściciela niezwyklej kafejki oblekały smukłe ciało Klary, snując wokół niej lepką pajęczynę zauroczenia. Robiło się coraz ciemniej i ciaśniej w Café „Kaplica”. Coraz więcej gości

pojawiało się w progu i zaraz znikало gdzieś w zakamarkach przytulnych kącików, za oparciami sof obitych błękitno i różowo. Muzyka wydobywająca się jakby z wysiłkiem, odbijała się raz głośniejsz, ciszej od wysokich ścian jak mucha szukająca wyjścia. W końcu milkła uczepliwszy się przytulnych fałd szydełkowej serwety. Około drugiej w nocy goście wychodzili, a może tak tylko zdawało się wszystkim. Może zostawali, wchłonięci w puszystość kanap, nieskończone fałdy zasłon. Przyczajali się za stygnięci w bezruchu, uzyskując ową nieuchwytną dla oka przejrzystość, jakiej nabierały wszystkie przedmioty przed świtem – postanawiali przeczekać do następnej nocy...

Im więcej wieczorów spędziła Klara w Café „Kaplica”, tym bardziej czuła, że jest to jedyne miejsce na świecie, w którym chciałaby pozostać na dłużej. Jej zmęczone bezsennością oczy nie dostrzegały drżących rąk Marszanda ani łupieżu na granatowej marynarce ze złotymi guzikami ani oczu, które oprócz niezaprzeczalnej głębi były podbiegnięte czerwoną siateczką naczyń. Wszystkie te niepokojące szczegóły ominęła Klara z beztroską przysługującą jej wiekowi. Decyzje podjęła spontanicznie, nikogo o tym nie informując. Tylko w dniu wyjazdu, na dworcu PKS, powiedziała tajemniczo odprowadzającemu ją Marszandowi, że wkrótce znowu się zobaczą. Ten spojrział na nią z lekkim zdumieniem, przygarnął do siebie, wycisnął na jej czole roztargniony i nieco wilgotny pocałunek, myślami będąc już zupełnie gdzie indziej. Nawet nie czekał na odjazd autobusu, czym nieco Klarę uraził, ale nie na długo. Hałaśliwa gromada kolegów wessała ją do swego wnętrza. W kilka dni zdołała Klara załatwić swoje ziemskie sprawy w stolicy: mieszkanie wynajęła przyjaciółce, zostawiła w dziekanacie podanie o urlop dziekański i spakowawszy niezliczone ilości dziwacznych ciuchów w dwie pękate walizy wyruszyła w drogę powrotną.

Marszand tymczasem, zgoła nie cierpiąc z powodu braku jej osoby oddał się zwykłemu bytowaniu i leniwemu przepływowi czasu. Do południa przesiadywał na zamkowym dziedzińcu, gdzie jak zwykle kręcili się miejscowi artyści, sprzątając po wernisazu, albo też sposobiąc się do nowego. Wypijali przy tym niezliczone ilości wina, które według nich miało rozjaśnić od środka i usunąć ze świadomości przykrą rzeczywistość. Kiedy słońce chowało się za narożnym murem, wszyscy na czele z Marszandem udawali się do Café „Kaplica”, gdzie długo w nocy wzmacniani szatańską kawą spierali się o prądy w sztuce. Dochody z tego były niewielkie, ale rodzice Marszanda – którzy odkupili za grosze tę prawie zrujnowaną ewangelicką kaplicę i przekształcili ją w kawiarnię, zostawiając sobie tylko dwa małe pokoiki na mansardzie – i tak byli zadowoleni. Przynajmniej ich syn miał jakieś zajęcie. Do tej pory spędzał bowiem czas – jak sam to mówił – na kontemplowaniu przemijania, zwykle w pozycji leżącej, z książką pod

nosem, paląc duże ilości papierosów i wypijając równie duże ilości wina. Wszelkie próby skłaniające go do podjęcia jakiegokolwiek pracy spełzały na niczym. Café „Kaplica” była strzałem w dziesiątkę. Stojąc za barem snuł rozważania na temat sztuki, czy też, popadając w długotrwałe zamyślenie, jednocześnie mechanicznie prawie parzył kawę i nalewał zamówione trunki. Można było powiedzieć, że praca mu nie przeszkadzała. Powtórne pojawienie się Klary wywołało w nim pewien popłoch, ale wrodzone lenistwo wzięło górę... Przyjął ją jak zdarzenie, na które nie miał wpływu, a które już i tak się stało. Dziewczyna wzięła to wszystko za dobrą monetę i rozpoczęła nowy etap w swoim życiu. Pozawieszała ściany obrazami, których część przywiozła ze sobą, a część powstała zaraz po jej przyjeździe – malowała z pasją do czwartej nad ranem. Marszand czuł się zmęczony samym patrzaniem na to wszystko, ale nie wyrażał sprzeciwu. Zwłaszcza upodobał sobie jeden z obrazów, który zawisł po lewej stronie kominka, a który przedstawiał siedzącą tyłem do paleniska kobietę. Jej twarzy można się było tylko domyślać pod niedbale upiętymi włosami. Na szyi oraz sukni siedzącej zapalały się refleksy światła pochodzące z nieistniejącego ognia na kominku. Obraz ten jednak znaczył dla obojga z nich zupełnie co innego. Dla Marszanda był tęsknotą za kobietą jego pragnień o zagadkowej, niewidocznej twarzy, a dla Klary ruiną jej marzeń, zwłaszcza tych o ogniu z płonącego kominka w długie zimowe wieczory, w którego ciepłe oni dwoje mieli siedzieć trzymając się za ręce.

Miejsce to nie spełniło jej oczekiwań. Opiekowała się rodzicami Marszanda, których szybko dopadła starość, gotowała oraz szukała pracy, co nie było sprawą zbyt łatwą. Omamiona onegdaj czarem Café „Kaplica” i smolistym spojrzeniem Marszanda musiała zapłacić swoją cenę. Myślała, że znajdzie scenę dla swojej życiowej roli, tymczasem okazało się, że wszystkie role zostały rozdane.

Nie była jedną z tych, które szybko się poddają czy też rezygnują. Przede wszystkim Klara należała do osób, które w każdej sytuacji, nawet skrajnie nieprzychylniej, usiłują ocalić siebie. Można by rzec, że w takich momentach zagrożenia automatycznie włączał się jej wewnętrzny „system obronny”, który sterował jej działanie we właściwym kierunku. Przede wszystkim skupiła się na znalezieniu pracy i otrzymała ją w Domu Kultury, dzięki sprzyjającemu zbiegowi okoliczności. Zaczęła więc uczyć grupkę dzieci podstaw rysunku, co nie satysfakcjonowało jej zupełnie, ale dało stały dochód. Następnie uporządkowała zagraconą komórkę wielkości sporego pokoju na mansardzie i dorobiła klucze. Po czym wyrzuciła z serca i marzeń Marszanda. Dokonawszy tych zmian na górze, zeszła na dół i zabrała się za wystrój Café „Kaplica”, nie zmieniając jego ogólnego kształtu, który tak ją zauroczył. Dorzuciła tylko długie miodowe zastony,

które odebrały nieco surowości gotyckim oknom, zmieniła wyschnięte kwiaty w wazonach na świeże, ustawiła na długim stole lichterze pełne kolorowych świec. Do karty win dorzuciła kulistym pismem u dołu nazwy potraw, brzmiących niecodziennie i smakowicie zarazem, które dla nielicznych gości pichciła błyskawicznie na gazowej kuchence w swojej komórcie. Około północy miała teraz zwyczaj schodzić cicho po schodach, w długiej sukni umazanej farbą, cała owiana zapachem terpentyny, co budziło w gościach zrozumiałe poruszenie. Dochodząc do lady bufetu wspierała się na niej melancholijnie, prosząc o filiżankę kawy. Marszand wybudzał się z letargu i związał się przy ekspresie. Czasem z własnej inicjatywy proponował jej kieliszek wina, lecz Klara odmawiała, po czym ignorowała go przez resztę wieczoru spychając tym samym do roli podrzędnego pracownika. Przypatrywał się z ponurą miną, jak jego kochanka, brylując co wieczór w towarzystwie, chwilami znikająca mu zupełnie z oczu w oparach dymu papierosowego. Wydawało mu się, że wiruje w swoich powłóczyстых szatach wokół stołu, unosi się i rozptywa. Widział ją w objęciach swego najlepszego przyjaciela. Marszand otrząsał się z tych zwidów i czuł, że sprawy wymykają się spod jego kontroli. Żeby się uspokoić upodobał sobie długie spacery nad brzegiem jeziora, które kołysały jego nerwy i pozwalały uwolnić od przykrej rzeczywistości. Wracał z takich wędrówek późnym wieczorem, nieco odprężony, żeby zaparzyć kawę pierwszym gościom.

Sobie zresztą też. Krzątał się wśród znanych sprzętów, przytapijąc się na tym, że zerka w stronę schodów, czy nie nadchodzi Klara. – To ona sprawiła, że czuję się jak złodziej we własnym domu – pomyślał z goryczą. Te smukłe kształty, którymi się zachwycał, teraz kojarzyły mu się wyłącznie z oplatającym węzłem, który coraz częściej dusił go w złych snach.



## ESTERA

Nazywam się Estera Bumenthal. Przez jakiś czas byłam Marią Kowalską. Mogłam sobie na to pozwolić, ponieważ miałam tzw. dobry wygląd, w przeciwieństwie do mojej przyjaciółki, od której pożyczyłam sobie nazwisko, pokój, sukienki i książki. Taka była decyzja Jana.

\* \* \*

Dorastałyśmy z Marysią w miasteczku przyjaznym jak własny pokój, jak codzienne ubranie. Znałyśmy tu wszystkich i wszyscy nas znali. Kiedy przemierzałyśmy uliczki, zza firanki obserwowały nas życzliwe oczy zegarmistrza, a Mosze Kobielnik ciągnący swój wózek ze starymi szmatami posyłał w naszym kierunku wyrozumiały uśmiech, mimo że chichotałyśmy na jego widok. Wydawało się, że cały świat nas kocha i że tak będzie zawsze. Bezsensowność tego stwierdzenia usprawiedliwiał tylko nasz młody wiek.

\* \* \*

Obie z Marysią byłyśmy sierotami i ile w jej wypadku sprawa była zupełnie jednoznaczna o tyle w moim gmatwała się niejasno, nigdy nie wyjaśniona do końca. Jej rodzice zginęli w katastrofie samochodowej – mogła ich zatem oplakiwać do woli i bez skrępowania, czego skrycie jej zazdrościłam.

Moja matka po prostu mnie porzuciła i jeśli jeszcze żyła – tym bardziej miałam jej to za złe. Ze skąpych wiadomości wyciąganych od dziadka zdołałam ustalić, że wraz z równie młodym i nieodpowiedzialnym mężem wplątała się w jakieś polityczne sprawy i oboje wiedzeni szaleńczymi ideami wyjechali w głąb Rosji, po czym ślad o nich zaginął. Z wczesnego dzieciństwa pozostał mi w oczach taki obraz: matka z papierosem w ustach siedzi przed toaletką zarzuconą wielką ilością puzderek, pędzelków i flakoników z perfumami. Czesze swoje złotorude włosy. Jestem tak zafascynowana ich kolorem i ilością, że nie zwracam uwagi na wchodzącego

dziadka, nie widzę jego purpurowej ze złości twarzy i nie słyszę wreszcie jego krzyków. Zdaje się, że matka nic sobie z tego nie robi, bowiem nie przerywa czesania. Po jego wyjściu przybiera przed lustrem różne pozy i stroi miny. Potem pochyla się i gwałtownie mnie przytula do siebie. Pamiętam ten uścisk, zapach, który mnie wtedy otoczył. Nie mogła mnie przecież tak zwyczajnie zostawić! To na pewno była wina tego człowieka, jej męża, a mojego ojca, którego mglistą i niewyraźną postać widywałam czasem w ponurych snach.

\* \* \*

Wracam jednak do rzeczywistości, gdzie jestem ja i Marysia, a to co się nam przydarza wydaje się być pępkiem świata. Pamiętam wieczór na łące. To było po raz pierwszy, kiedy dostrzegłam w mojej przyjaciółce coś innego, obcego, coś, czym do tej pory nie podzieliła się ze mną, a przecież myślałam, że znam ją jak siebie samą. Wtedy po raz pierwszy poczułam owo nieprzyjemne, dotkliwe uklucie w okolicy serca. Zawiść, zazdrość czy podziw? Nie potrafiłam sobie tego wytłumaczyć. Wtedy jeszcze nie, dopiero później... Tamtego wieczoru zabrnęliśmy na łąki, daleko, za dworkiem Marii, pomyłonej siostry dziadka Marysi. Maria grywała o tej porze na pianinie. Krążyły o niej dziwne opowieści: o karierze, nieszczęśliwej miłości i takie tam podobne plotki. – Faktem jest, że po prostu rzucił ją dla innej – skwitowała moja przyjaciółka, po czym bezbłędnie powtórzyła frazę z Mozarta, która dopadła nas w trawie. Spojrzałam na nią jak na istotę z innej planety – takie to było piękne i niezwykle. Od tego wszystko się zaczęło. To ja namówiłam jej dziadka na lekcje śpiewu u panny Weroniki, a później prywatne u tamtej znanej śpiewaczki ze Lwowa. Tyle, że wszystko obróciło się przeciwko mnie. Marysia nie miała już dla mnie zbyt wiele czasu, a ja pozostawiona sobie nie bardzo wiedziałam, jak zagospodarować jego ogromne połacie. Błąkałam się bez celu po pokojach i zamkniętej o tej porze restauracji dziadka. Pusto tu było i cicho. Dopiero po południu schodzili się kupcy, handlarze „byłe czym”, miejscowi ważniacy ze swoimi tłustymi żonami, które raczyły się bez opamiętania ciastkami wypiekаныmi przez prawie ślepą Zośkę. Modliłam się, żeby zapiekła w nich muchę czy jakieś inne paskudztwo. Nudziłam się. Dopiero kiedy około piątej wieczorem przychodził Michał i siadał przy starym pianinie, ożywiałam się trochę. Grywał same znane przeboje, a ja usiłowałam mu wtórować, siedząc blisko. W przerwie popijał wino i opowiadał mi plotki o warszawskich gwiazdach i aktorach. – Masz głos i urodę – mówił przy którymś z kolei kieliszku wina, wywracając bladoniebieskimi oczami i potrząsając zlepiionymi kosmykami włosów. Słuchałam tych słów z przy-

jemnością, ale jednocześnie ich autor wzbudzał we mnie mieszaninę litości i odrazy. Wzruszyłam niedbale ramionami, że niby nie zależy mi na tym, ale wiedziałam, że oddałabym wszystko za jeden dzień takiego życia.

Marysia przyjeżdżała na wakacje regularnie. – Jaka ona jest, ta śpiewaczka – pytałam gorączkowo. – No wiesz, nic nadzwyczajnego – mówiła wolno moja przyjaciółka z jakąś dziwną afektacją w głosie, której przedtem nie znałam. Marysia wzruszała ramionami. Dobre sobie, myślałam. Patrzyłam na Maryśczyzną twarz inną niż przedtem, taką miastową, obcą, i czułam niechęć, która włochatą kulą wyrastała mi gdzieś pod gardłem, żeby zostać tam na stałe. Tymczasem jednak życie toczyło się wartkim nurtem i trzeba było zaśpiewać w niedzielę na mszy, sam proboszcz o to prosił i Marysia. Chociaż niechętnie uległa, rzeczywiście zaśpiewała jak anioł. Wiem, bo stałam w przedsionku i słuchałam. W domu zaśpiewałam tak samo, a może i lepiej. Tylko że mnie nikt nie słuchał. Wiele razy prosiłam później Marysię, żeby śpiewała mi to, czego się nauczyła. Znam wszystko. Kawalek po kawałku. I wtedy nadszedł ten dzień. Właściwie to zrobiłyśmy dowcip księdzu Antoniemu. Zamiast Marysi, której się po prostu nie chciało, zaśpiewałam ja. Początkowo nazbyt niepewnie, bojaźliwie, ale już po kilku chwilach czułam, jak mój głos szybuje pod kopułę kościółka, a moje ciało przesywają dreszcze... Czegoś takiego nigdy nie doświadczyłam w moim krótkim życiu. Z żalem kończyłam frazę. Ułomny organista Józek jeszcze coś tam rzępolił na instrumencie, ale nie słyszałam i nie widziałam nic, schodząc po stromych schodach. Wymknęłam się cicho do domu. Jaka ta Maryśka jest szczęśliwa – pomyślałam wtedy z zawiścią. A ona traktowała fakt mojego zastępstwa nie tylko jako dobrą zabawę, ale i pozbycie się balastu czy też nadprogramowego obowiązku. I tak już zostało, zwłaszcza że moja przyjaciółka coraz rzadziej przyjeżdżała, bo i czasy przecież były coraz bardziej niespokojne. Nikt mnie oficjalnie o to nie prosił, ale co niedziela stawiałam się na mszy i na znak dany przez Józia... Wszyscy po pewnym czasie o tym wiedzieli, ale nikt nie powiedział ani słowa. Tylko kiedyś słyszałam, jak Franciszek, syn aptekarza, przechodząc obok drzwi za którymi stałam powiedział do kogoś: – „Ładny głos ma ta nasza Esterka – prawdziwy słowik”, a ten ktoś, do kogo mówił zaśmiał się jakoś nieprzyjemnie, a może tylko takie odniosłam wrażenie. Wtedy zresztą był już taki czas, że na wszystko należało zwracać uwagę i nie ufać nikomu. Tak mówili dorośli. Ja jeszcze niewiele z tego rozumiałam.

Dziadka Kowalskiego spotkałam nad rzeką. Rzadko można go było widzieć stojącego ot tak, bez żadnego zajęcia. Podeszłam cichutko, chcąc go przestraszyć, ale on nie odwracając się zaczął mówić. Właściwie nie wiedziałam – do mnie czy do rzeki. – „Słuchaj Esterka, Marysia już tu nie przyjedzie, kazała cię pozdrowić i powiedzieć, że nigdy o tobie nie zapomni. Ala na mój rozum powinnaś skończyć z tym śpiewaniem, bo ani tobie, ani jej szczęścia ono nie przyniesie”. Poczulałam przyływ złości do tego starego człowieka, który stał tak spokojnie i decydował o moim życiu. – Ale ja uwielbiam to robić, robię to prawie tak dobrze jak ona, a może jeszcze lepiej – odparłam buńczucznie, czując jak pieką mnie łzy wściekłości gotowe spłynąć po policzkach. Co on może wiedzieć o moich niespełnionych marzeniach i tej nędznej wegetacji w miasteczku. Dobrze mu mówić... To niedzielne śpiewanie to był jedyny jaśniejszy moment. Jak mu to wytłumaczyć? Może jest zwyczajnie zazdrosny? Jeszcze wtedy nie wiedziałam, jak nieważne są te moje rojenia... Patrzyłam na przygarbionego, starego człowieka nad brzegiem rzeki i nie powiedziałam nic. Odwróciłam się na pięcie i pobiegłam dalej, na łąki, zgarniając stopami rosę z traw. Zanim Niemcy wkroczyli jak pomruk niedźwiedzia – złowrogi i ciemny, Jan Kowalski przyszedł do naszego domu i powiedział wprost do mojej babki Racheli: – „Esterka powinna zamieszkać ze mną”. Rachela wzruszyła ramionami: – I tak zrobi jak zechce, uparte dziewczynisko, ale dlaczego chcesz ją pozbawić jedynej rodziny jaką ma? – Bo chcę, żeby żyła – odburknął Jan. Spakowałam kilka sukienek i parę książek. Nie dlatego, że bym wierzyła w prorocтва Jana, ale dlatego, że z babką nie łączyło mnie wiele, nie potrafiła mnie zrozumieć...

Właściwie można powiedzieć, że jej nienawidziłam, a raczej tego, co reprezentuje. Dziadek był inny, ale między nimi od wieków trwała śmiertelna wojna, której nie można było załagodzić. Nie rozmawiali ze sobą od lat, spotykając się tylko w szabas, a i wówczas miałam wrażenie, że całą naszą trójkę oplata gęsta atmosfera niedobrych słów i wzajemnych uraz, które – zatrzymując się na krawędzi ust i dodając goryczy do każdej potrawy krążą nad nami jak niewidzialne, złowieszcze ptaszyska. Rosłam od lat w takiej atmosferze, gdzie porachunki dorosłych mroziły moje serce i w końcu ukształtowały je na ich obraz i podobieństwo. Starłam się być dobra i miła, mieć przyjaciółki, czułam jednak, że przychodzi mi to z jakimś wysiłkiem. – Czy dziadek o tym wie – zapytałam tylko. Jan kiwnął potakująco głową. Nic więcej mnie nie interesowało. W moim życiu zachodziły zmiany niezależne ode mnie samej, zupełnie jak gdyby ktoś obcy pociągał sznurkami, na których zawieszeni byliśmy wszyscy. Przypusz-

czalnie też każda z nowych marionetek miała coś do ukrycia, przy czym niektóre więcej od innych. Gdybym mogła spojrzeć na swoją sytuację z góry, z dystansu jaki mam teraz do wszystkiego, jasnym by było, że wszystkie osoby dramatu pogrążają się powoli w jakimś jądrze ciemności, wilczym dole, z którego nie ma wyjścia. Z drugiej strony już wtedy wiedziałam, że mój światy – pełen braku miłości, nienawiści, osamotnienia musi się w jakiś sposób skończyć. Myślałam o tym coraz częściej, zwłaszcza kiedy Marysia zdradziła mnie i odeszła w sobie tylko wiadomym kierunku, do innego życia...

Może nawet zaczęłam jej skrycie nienawidzić. Nic zresztą dziwnego, to uczucie towarzyszyło mi na co dzień. Nie usprawiedliwiam siebie. Człowiek jest jaki jest, a dobra jest w nim tyle samo, co zła i na to nie ma już rady.

\* \* \*

Czasy były niespokojne, co stanowiło doskonałą pożywkę do zdobywania z ludzkiej istoty najgłębiej skrywanych namietności, które gnieździły się gdzieś na drugiej płaszczyźnie świadomości, ugłaskane monotonią poprzedniego bytowania, sennością miasteczka... Rosjanie, Niemcy, wojna – to wszystko w małym stopniu dotykało mojej rzeczywistości. Owszem, kogoś wywieziono, rozległy się nocą jakieś strzały za lasem, ale okazywało się, że ci co zginęli przysparzali w czasie pokoju niemało kłopotu. Tak przynajmniej mówiono oficjalnie. A może ja zbyt mało wiedziałam? Może nie chciałam wiedzieć. Dzisiaj już jestem pewna, że nie można zbudować wokół siebie szklanego klosza. Prędzej czy później życie wedrze się do środka i każe nam zagrać rolę w tym spektaklu w czasie, który został nam dany. Kiedy weszli Niemcy, mieszkałam już od dłuższego czasu z Kowalskim. Zajęłam pokój Marysi i zawłaszczyłam wszystkie jej rzeczy. Jak prorocze było to posunięcie ze strony Jana, mogę ocenić dopiero teraz. Wtedy nie byłam mu wdzięczna... Najważniejsze było to, że nie zabronił mi śpiewać, chociaż przecież wiedział. Całe miasteczko wiedziało. Wiedziało również o innych sprawach, które jednak chowało przed światem jak brzydką narośl, jak sekretną chorobę. Uświadomiłam sobie to wszystko, powoli, w odcinkach, można by rzec. Głównie słuchając jednym uchem rozmów w wielkiej kuchni Jana Kowalskiego, która nigdy nie była pusta. Wiecznie przychodzili jacyś ludzie – czasem trzeba było ukrywać ich na noc w łaźni za ogrodem. A jednak czułam się bezpieczna. Może dlatego, iż ciągle słyszałam jak Kowalski powtarza, że każdy ma swoją cenę, niezależnie od tego, jaki ma mundur. Potem długo w nocy siedział przy stole z tym okropnym lejtnantem cuchnącym potem i machorką. Póź-

niej widywałam niemieckie mundury i nosiłam jedzenie do łaźni. Zastanawiałam się idąc wydeptaną dróżką, kto będzie tym razem. Dla jednych byłam Marysią, a dla innych Esterką. Było mi wszystko jedno.

Czasem wpadałam do restauracji dziadka. Było tam ciemno od dymu i gwaro. Wódka lała się strumieniami, podawano bliny i śledzie. Z patefonu sączyły się rzewne rosyjskie romanse na zmianę z wiedeńskim walcem, ale w powietrzu wyczuwało się zapowiedź katastrofy. Dziadek siedział w kantorku i palił cygaro. Ledwie na mnie patrzył, oczy miał nieobecne i dalekie. – Idź dziecko stąd – mówił. – Nie masz tu czego szukać. Przeszłam wieczorami chodzić nad rzekę, bo mogłam trafić na pijanego rosyjskiego żołnierza. Całymi dniami czytałam książki na stryszku w pokoju Maryni.

Do miasta też przestałam wychodzić. Po ulicach przewalały się tłumy obcych ludzi, którzy przyjechali nie wiadomo skąd i jechali dalej, nie wiadomo dokąd. Któregoś wieczoru przyszedł do Jana rudy Jankiel, teraz Jasza, z którego Rosjanie zrobili ważną figurę, jak sam twierdził. – „Niech Esterka przestanie śpiewać – powiedział – i zajmie się czymś innym. Dobrze wam radzę Kowalski”. Słyszałam wszystko, porządkując spizarkę. Później, za Niemca, ten sam Jasza przyszedł nocą, poszukując schronienia. Już nie był taki buńczuczny i pewny siebie, ale Jan wyrzucił go. Podobno przez niego wywieziono aptekarza i całą jego rodzinę, nauczycielkę Lusię i parę innych osób. Tak mi powiedział jeszcze tej samej nocy... Obudziłam się słysząc stukanie do drzwi i zesłam na dół. Jan siedział przy stole i palił papierosa. – To wyjątkowa swołocz – rzucił w moim kierunku. Widziałam, jak drżą mu ręce. – Powinam odejść – powiedziałam cicho. – Powinnaś przestać śpiewać w kościele – odburknął Kowalski. Na tym skończyliśmy rozmowę.

Później, jak już mówiłam, widywałam niemieckie mundury w kuchni, ale wtedy wiedziałam, że dzięki temu ktoś będzie żył.

Przychodził w każdą niedzielę. Stawał daleko, za innymi... ale często patrzył w stronę chóru, skąd płynął mój śpiew. – „Zobaczysz, będzie z tego nieszczęście – mamrotał Józek. – Ten Niemiec ma na ciebie oko”.

\* \* \*

Ów sądny dzień, kiedy kazano spędzić wszystkich Żydów z miasteczka na centralny plac, był jak grom z jasnego nieba, ale grom, którego wszyscy przecież się spodziewali... Innym mieszkańcom kazano wyjść i patrzeć, jak pędzą ich ulicami do zbudowanego naprędce getta, na obrzeżach miasta.

Stałam, wypatrując wzrokiem Racheli i dziadka, czując jak na ra-

mieniu zaciska się kurczowo sękata dłoń Jana. – Wszystkich nie mogę uratować – wychrypiał nagle prosto do mojego ucha. – Zresztą oni nie chcieli przyjąć mojej pomocy.

I wtedy ich zobaczyłam. Trzymali się za ręce, chyba pierwszy i ostatni raz w życiu. Byli spokojni, jak gdyby wiedzieli, że ich los się spełnił i nie oczekiwali już niczego więcej. Nagle im pozazdrościłam tej pewności... „– Esterka, a ty nie dołączysz do babuni...” – usłyszałam czyjś drwiący głos. Zrobiłam krok naprzód, potem drugi. Czas włókł się w nieskończoność. – Niech się coś stanie – myślałam gorączkowo. – Niech wreszcie coś się stanie.”

Nagle wypełniła mnie ta fraza – najpierw w samym środku moich trzewi, potem wydostała się na zewnątrz. Śpiewałam. Teraz czas mógł sobie robić co chce... Byłam od niego niezależna. Znowu zrobiłam krok naprzód... Jeszcze jeden...

## OSZUSTKA

Po raz pierwszy oszukałam innego człowieka, kiedy miałam sześć tygodni życia płodowego i byłam niemrawo rozwijającym się embriodem. – To oszustwo – powiedział o mnie ówczesny kochanek mojej matki, który tak jak i ona, był tancerzem dosyć znanej grupy baletowej. Nic więc dziwnego, że ta wiadomość wytrąciła go z równowagi. Odszedł kilka dni później, zabierając walizkę, ze słowami – „Przepraszam i dziękuję za wszystko”. Co mojej matce, zresztą słusznie, wydało się być szczytem obłądki i perfidii. Później – Ty mała oszustko – mówiła do mnie najpierw z niechęcią, a potem z niejaką czułością. Zrozumiałam zatem, że oszustwo zostało wybaczone i zapomniane. Humor poprawiał mi się z dnia na dzień. Z przyjemnością patrzyłam, jak rosną moje rączki i nóżki, coraz większe i większe. Poruszałam nimi, wierząc się niecierpliwie w ciepłej cieczy, która bezpiecznie otaczała mnie ze wszystkich stron. Matka mówiła do mnie bezustannie. Przeważnie były to monologi na tematy bieżące. Opowieści z prób i występów, a potem żałośliwe ubolewania, że zmarnowałam jej karierę, cerę, brzuch i wszystko inne. Przyjmowałam to ze spokojem, kopiąc ją czasami dla otrzeźwienia. Robiła się nudna i mazgajowata. Poród wspominam jako jedno z bardziej ohydnych przeżyć w moim życiu. Wypchnięto mnie prawie na siłę w nagłą jasność, zimną i pełną duszących zapachów. Hałas, który dotknął moich uszu lawiną bezsensownych dźwięków spowodował, skurcz naczyń krwionośnych i zapaść, z której wyprowadzono mnie jednak szybko i tak dokładnie, że przeżyłam. Dostałam nawet sporo punktów w skali Apgar. Tęskniłam za ciepłem i kojącym kołysaniem wód płodowych tak bardzo, że szok poporodowy wywołał we mnie nerwicę. Gryzłam, kopałam, wrzeszczałam, wyrażając tym krzykiem cały swój protest przeciwko istniejącej rzeczywistości, czego oczywiście nikt nie brał pod uwagę. – Co za nieznośny bachor – mówiła moja matka. Wrzeszczałam przez cały czas do zupełnego wyczerpania. Nie sprawiały mi nawet przyjemności momenty karmienia. Połykałam pokarm mechanicznie, byle szybciej, gryząc boleśnie brodawkę matki, która, nie wiedzieć czemu, właśnie w tych chwilach spoglądała na mnie nieco przyjaźniej. Rosłam i rozwijałam się, o dziwo, prawidłowo. Matka szybko doszła do siebie i pozostawiła



stawiała mnie pod opieką salowej Stefanii, która po godzinach pracy przechodziła wieczorem zająć się mną. Potrzebne jej były pieniądze, dużo pieniędzy. Słuchałam o tym do znudzenia: syn, adwokaci, więzienie, widzenia, paczki. To kosztowało. Tarmosiła mnie ze złością, kiedy nie chciałam spać. W końcu udawałam sen, żeby się od niej odczepić, a sama pograżałam się w marzeniach o ciepłe wód płodowych, kołyszających mnie jak bezbrzeżny ocean wieczności, w którym pragnęłam pozostać na stałe. Nad ramię przychodziła matka i w poczuciu źle pojętego obowiązku matczynej czułości budziła mnie, obsypując spóźnionymi pieszczotami. Wytrącona z rojeń wrzeszczałam ze złości. Nikt tego nie rozumiał. Później nauczyłam się uśmiechać wystudiowanym uśmiechem gwiazdy z tanich reklam. – Słodki aniołeczek – rozkliwiła się na moment rodzicielka chwytając moje małe ruchliwe paluszki. Patrzyłam na nią zimno spod rzęs, wiedząc, że za moment zmiana pieluchy doprowadzi ją do szewskiej pasji. Raczkowanie przyniosło mi nowe doświadczenia. Poznawałam inne rzeczy, inne zapachy. Puder, perfumy, walające się bez składu i ładu pończochy, pantofle, w których jak w łodzi wypływałam na dalekie wody marzeń, objijając się co chwila o bezpieczną przystać pociętych żyłakami nóg Stefanii, siedzącej na fotelu z gazetą przed nosem. Zdawała się być zadowolona z moich podróży, które pozwalały jej na chwilę wytchnienia. – Dzieciak jest coraz spokojniejszy – relacjonowała mojej matce wracającej nad ranem, pachnącej alkoholem – tyle, że jakiś cichy i zapadnięty w siebie. Matka wzruszała ramionami: – Co tam Stefania wymyśla. Płaciła i odprowadzała ją do drzwi. Potem brała mnie na kolana i patrząc ze złością mówiła: – Nie wymyślaj smarkulo, zachowuj się normalnie. W tym momencie patrzyłam na nią ją rzęs, co zawsze spod ją rozczulało. Ale chyba obie wiedziałyśmy, co jest grane. Ta cicha nić porozumienia wytworzyła między nami pewien kokietyjny układ, który pozwolił mi przetrwać godziny samotności i oczekiwania. Czułam się jak kobieta, która dużo potrafi zrozumieć... Przynajmniej na razie.

To prawda, że wiele wybaczałam mojej matce, bo miałam do niej słabość. Lubiłam jej zapach, pantofelki, suknie, obłoki różowego pudru, korale, pierścionki. Ona z kolei nie broniła mi do nich dostępu. Otoczona tymi akcesoriami tworzyłam swoje własne spektakle, żyjąc poza czasem i przestrzenią, która wydawała się być wynalazkiem głupich dorosłych. Tymczasem urosłam. Sama już sięgałam toaletki. A moja matka z roku na rok wydawała się być drobniejsza, bardziej zamknięta. Nieraz słyszałam jak płacze w poduszkę. Wiodło się jej coraz gorzej. Nie dlatego, żeby straciła urodę i wdzięk, ale była jak samochód: mimo, że w dobrym stanie, liczył się niestety rocznik. Ubolewałam nad tym faktem, widząc jej rozpacz, ale ponieważ sama żyłam poza czasem, było mi to właściwie obce.

W moim świecie matka była stworem dziwnym, śmiesznym i miotającym się jak zwierzę w klatce. Zwłaszcza że ja jednak nadal oglądałam rzeczywistość od dołu, przebywając na kolanach większość dnia. Tutaj, w dolnych rejonach, życie wyglądało dużo mniej poważnie. Widziałam podarte pończochy, owłosione nogi, zylaki, zdarte do niemożliwości żelówki pantofli... Widziałam, jak Weronika, która zastąpiła Stefanię, będąca w przeszłości garderobianą wielkiej gwiazdy, drapie się w tyłek, kiedy nikt nie widzi, a wobec mojej matki stroi miny damy, cedząc słówka wolno i ostrożnie, jak drogocenne klejnoty. Zdecydowanie ów dolny świat był bardziej oczywisty i mniej zakłamanym. Ten zaczynający się nad stołem, nie podobał mi się zupełnie. Dostrzegałam fałszywie uśmiechnięte twarze, słowa, którym przeczyły ruchy nóg i rąk poniżej stołu, nerwowe ich drgania, niezgodne z tym, co działo się powyżej. Czasami miałam wrażenie, że siedzą przy nim dwie różne osoby, sklejone nieudolną taśmą. Jedynie Stefania była prawdziwa od góry do dołu. Jej zylaki, zmęczenie, które wręcz parowało z każdego kawałka skóry, zlewało się harmonijnie z goryczą słów sączących się nie malowanych, wąskich warg, a cała twarz wymodelowana w stały wyraz smutku nie zmieniała się nigdy. Tylko jej wierzyłam, chociaż nie szczędziła mi kąśliwych uwag i upokarzających klepinięć w tyłek. Weronika była inna. Jej prostackie szerokie dłonie stanowiły jawny kontrast z wystudiowanym wyrazem twarzy. Nie lubiłam, kiedy mnie dotykała...

Mężczyźni, którzy przychodzili na kolację do mojej matki też przeźwiwnie się zachowywali. Doprawdy tego już zupełnie nie potrafiłam zrozumieć, jak mogą się różnić dwie połowy ludzkiego ciała i jak różnie się zachowywać w tym samym czasie. Wystarczyło postawić przed nimi stół, a już zaczynał się teatr. Miałam z tym sporo uciechy, ale moja matka nie, ona traktowała wszystko nazbyt serio, zwłaszcza kiedy na owe kolacyjki zaczęła przychodzić jej niby-przyjaciółka Zula. Relacjonowałam mamie później przebieg spektaklu pod stołem. A ona wpadała w szloch i płacze, wrzeszcząc przy tym okropnie. „Bydlę” i „świnia” – to były słowa najczęściej powtarzające się i dotyczyły zapewne jakiegoś gatunku zwierząt, ale nie bardzo wiedziałam jakich. Nie zaprzętałam sobie zresztą tym głowy. Żal mi było matki, ponieważ cierpiała. Zastanawiałam się, czy słusznie robię opowiadając jej o wszystkim. Przyszło mi do głowy, że ludzie nie chcą wiedzieć albo boją się tego, co mogą usłyszeć. O dziwo, najłatwiej przyjmowali kłamstwa. Nie mogłam tego pojąć. Ale w końcu, czemu nie?

Ostatni ze znajomych był mi wyjątkowo wstrętny. Pachniał mdląco-słodkim zapachem i miał ulizane włosy. Jego nadmierna uprzejmość wobec mnie nafaszerowana była z daleka fałszem. Podskakiwał nerwowo na każdy dźwięk dzwonka u drzwi i cały czas przyglądał resztki fryzu-

ry. – Czemu się z nim zadajesz – zapytałam kiedyś matkę. Wzruszyła ramionami. – Nie mam już wielkiego wyboru – powiedziała. Nie pojęłam tego. Jest tylu innych ludzi. Chociażby Lutek, sąsiad – miły i ładny. – Bez grosza – prychnęła jak kotka. – Dam mu swoje oszczędności ze skarbonki – zaoferowałam się natychmiast. – Jesteś głupiutka, ale masz dobre serce – podsumowała i z politowaniem ogarnęła wzrokiem. – Takie zawsze mają do tyłu. Obejrzałam się. Za mną w tyle pętał się mój cień, równie samotny jak ja. Nie miałam nic przeciwko niemu. Ale nie o to widocznie chodziło...

Świat dorosłych przerażał mnie nieustannie, ale już nie było powrotu pod poziom stołu, gdzie wszystko było bardziej dosadne i prawdziwe. Stawałam się dużą dziewczynką, ubierano mnie w mundurki i posyłano do szkoły, z której nie wyносиłam nic oprócz kleksów w zeszytach i powalających atramentem palców.

Nie miałam przyjaciółek. Patrzyłam z niechęcią na te wszystkie grupki, które tworzyły się na przerwach, chichocząc i wymieniając się zakładkami do książek. To było takie dziecinne i niesmaczne. Nie mogłam doczekać się końca lekcji... Wracałam przez las, a właściwie mały podmiejski lasek, z rachitycznymi sosenkami wykwitłymi na poboczach torów i wysypisk śmieci, wbrew wszelkim prawom natury. Ale najbardziej lubiłam moje rzeczy. Martwe i ciche. Witały mnie zawsze tym samym wyrazem twarzy, tak różnym od chimery mojej matki. Na nie mogłam liczyć. To było coś pewnego. Narzucałam im własne prawa, przyjmowały moje nastroje ze stoickim spokojem. Trwałam pogodzona z rzeczywistością. Aż do tamtego momentu... – Nie możesz wrócić do domu – powiedziała mi z przejęciem pani Gienia – twoja matka nie żyje. Zabrali mnie do siebie na kolację i resztę nocy. Nigdy się nie dowiedziałam, co się stało. Szeptano coś o tabletkach nasennych. Gdy wchodziłam do pokoju, zamierały głosy, widziałam tylko, pozbawione współczucia twarze. Wiedziałam, że żałosne życie mojej matki musiało się tak skończyć, ale nie sądziłam, że nastąpi to tak szybko. Wyobrażałam sobie dramatyczny koniec jej życia bardziej efektownie, ale umiejscawiałam go w dalekiej, nieokreślonej przyszłości... Tym razem to ja poczułam się oszukana i porzucona. Nękało mnie ponadto poczucie winy – niejasne, ale dotkliwie uwierające. A może przyczyniłam się do tego? Pamiętam jak płakała, kiedy opowiedziałam jej o tym teatrze pod stołem, który urządził tamten mdląco-pachnący z ciotką Zułą? Były też inne historie, dawno przeze mnie zapomniane, nieważne... Teraz dopiero wdzierają się na powierzchnię pamięci, kłując moje sumienie. Budziłam się po nocach zlaną potem, rozglądając się nieprzytomnie po otoczeniu, które było coraz to inne. Najpierw Pogotowie Opiekuńcze, a później Dom Dziecka. Było mi właściwie wszystko jedno i tak żyłam w spre-

parowanym przez siebie świecie pełnym pięknych kłamstw na użytek moich koleżanek. W nich matka, wielka tancerka, odbywała własne tournée po świecie, a ponieważ ojciec zginął wiele lat temu w wypadku samochodowym, musiałam, oczywiście, przez jakiś czas przebywać tu, gdzie byłam...

Jedyną osobą, która odwiedzała mnie przez te wszystkie lata była ku memu zdumieniu – Weronika; ta, której nie lubiłam. Nie mogłam tego zrozumieć, ale ona często powtarzała wznosząc oczy do nieba – my artyści musimy sobie nawzajem pomagać. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam to stwierdzenie, chciałam wybuchnąć spazmatycznym śmiechem, ale po sekundzie namysłu, siłą woli zamieniłam go w wybuch płaczu... – Tak, tak dziecko – bredziła wzruszona Weronika – twoja matka była wielką artystką, one wszystkie umierają młodo. Szlochałam coraz głośniej. – Tyle że szczęścia do chłopów nie miała za grosz – dodała już zwykłym tonem.

– Czy przez to umarła – zapytałam. – Od tego się nie umiera, tylko schodzi się na psy – odpowiedziała wtedy zagadkowo. – Czy mama zesła na psy? – dopytywałam się gorączkowo, gdyż było to dla mnie coś nowego. – Jeszcze nie zdążyła, ale była na dobrej drodze – zakończyła, podając mi jabłko. Ta rozmowa nie zaspokoila mojej ciekawości, bowiem Weronika miała paskudny zwyczaj niekończenia myśli, przerywała je własnymi wspomnieniami o wielkich sławach teatru, z którymi jakoby miewała kontakty. Żadna siła wtedy nie mogła jej zmusić do powrotu i kontynuacji porzuczonego tematu. Kwestię schodzenia na psy należało zatem odłożyć i rozwinąć w innym momencie.

Odbyłam z Weroniką jeszcze jedną interesującą rozmowę. Tym razem o moim biologicznym ojcu, o człowieku, który po raz pierwszy w życiu nazwał mnie, a raczej to, co zrobił – oszustwem. – Ach, ten – machnęła lekceważąco ręką. – Zdaje się Wacek mu było. Nic ciekawego, moje dziecko. Wżenił się w pieniądze i babę sekutnicę. Słyszałam, że robi jakieś podejrzane biznesy, ale kto tam wie jak jest naprawdę. To nie był prawdziwy artysta – zakończyła z niechęcią. Dojrzało we mnie przeświadczenie, że będąc artystą, zupełnym nietaktem jest żyć długo i bogato. Ale tą myślą nie podzieliłam się już z Weroniką.

Nie dlatego, że jej nie lubiłam. Tamto nielubienie z dzieciństwa zamieniło się powoli w nić sympatii i pewnego porozumienia. A poza tym, tylko ona знаła prawdę, całą moją przeszłość. Drażniły mnie jej udawane maniery, cedzenie słówek, podkreślanie własnej ważności i tamto zdanie: – „robię to dla nieboszczki, bo my artyści...”. Była jedyną w końcu osobą, która po niechlubnej śmierci matki okazała mi jakiegokolwiek zainteresowanie.

Podaję, że byłam też jedyną osobą, która wysłuchiwała jej

historyjek, w przeważającej części zmyślonych, bez słowa skargi czy sprzeciwu. Pozwalałam jej na to, zanurzając się w swoim własnym świecie, zachowując jednak przytomność umysłu na tyle, żeby udać zaciekawienie, czy też przytaknąć we właściwym momencie. – Ty mała oszustko – powiedziała kiedyś z oburzeniem, przytapijąc mnie na bujaniu w obłokach. – Nieprawda – zaprzeczyłam gorliwie – myślałam tylko o tym, jaka musiałas być kiedyś ładna. Grube rysy Weroniki rozpromieniły się natychmiast i przyszło mi do głowy, że może moje kłamstwo nie było dalekie od prawdy.

Mijały lata i nie kto inny, a właśnie Weronika załatwiła mi pierwszą pracę. Odstąpiła też jeden z pokojów jej ciasnego mieszkania w kamienicy przy rynku. Od pierwszego wejrzenia polubiłam osypujące się tynki zabytkowej budowli, która powoli odsłaniała swoją twarz, ratując się resztkami tego co nie odpadło, jak za krótką i podartą suknią przed ciekawskimi, przed całkowitym obnażeniem. Przypominała mnie samą, ukrywającą pod ubraniem i nakładaną codziennie maską moje prawdziwe ja – Mariannę S, nieślubną córkę Anieli, tancerki, która popełniła samobójstwo zazywając środki nasenne.

Przy Weronice nie musiałam niczego ukrywać. To była wielka ulga. To dzięki niej otrzymałam pracę najpierw w szwalni teatru, a później w garderobie, gdzie zastępowałam chorą na reumatyzm Dusię – jej znajomą. W garderobie od razu poczułam się jak u siebie w domu – zapach pudru, znajomy rozgardiasz, porzucone pantofle, szminki, pończochy... Musiałam to wszystko uporządkować, poukładać. Pełzając na kolanach pod toaletką odnajdywałam tamten świat dzieciństwa, oglądany od dołu, z perspektywy trzyletniego dziecka. Momentami cofałam się jeszcze dalej, do szumu i kojącego kołysania wód płodowych, ale to było krótkie mgnienie, bolesne i dojmująco słodkie, kończące się kluciem w okolicy serca i zawrotami głowy.

Kiedy Dusia złożona chorobą odeszła na rentę, przyjęto mnie na pełny etat. Wróciłam do domu z paniką w oczach. – Nie poradzę, nie potrafię – jęczałam przy zupie jarzynowej, specjalności Weroniki. – Jesteś głupsza, niż myślałam – zawyrokowała, dolewając zupy. – Trafia się taka robota, a ty popadasz w depresję. Tyle ludzi jest bezrobotnych, pomyśl o tym, idiotko – jak zwykle nie przebiegała w słowach. W duchu przecież przyznawałam jej rację. Nie miałam wykształcenia, mieszkania; – miałam tylko ją, Weronikę. – Musisz mi pomóc – skamlałam, patrząc na nią spod rzęs... – Ty gówniaro, zawsze tak na mnie patrzyłaś, kiedy narobiłaś w pieluchę – odpowiedziała ze śmiechem – i zawsze mnie tym spojrzeniem ujmowałaś. Tyle to i ja wiedziałam, ale tym razem sprawa była poważna. – Pomóż mi, Weroniko – powiedziałam wtedy po raz pierwszy w życiu

szczerze. Skinęła głową jak aktorka, która zna swoją rolę. Podniosła się majestatycznie od stołu i poszła do kredensu, gdzie zwykle ukrywała nalewkę na wiśniach. Postawiła dwa kieliszki i wtedy po raz pierwszy spróbowałam smaku alkoholu. Nie upiła mnie, na to była za mądra. Dała tylko tyle, żebym mogła poczuć się pewniej. Kochana Weronika. Szkoda, że była już taka stara... Czasem nie potrafiłam się z nią dogadać, tak była opętana przeszłością, swoimi wspomnieniami. Odchodziła daleko, na długie godziny... Na szczęście radziłam sobie coraz lepiej. Mój świat wypełniali inni ludzie, inne wydarzenia – premiery, spektakle. Miotalam się wieczorami w garderobie mając usta pełne szpilek, a w kieszeniach zapalniczki do podpalania papierosów. Policzki paliły mnie jeszcze długo po powrocie do domu. Byłam szczęśliwa i nieszczęśliwa jednocześnie... Gdzieś daleko, w głębi siebie tak bardzo chciałam, żeby to inni znosili moje humory, podawali kawę, pudrowali twarz i szyję. Zapalałam światło w nocy i stawiałam przed lustrem. Przecież byłam nie gorsza, przynajmniej jeśli chodzi o urodę. Umiałam też równie dobrze kłamać jak one – aktorki, których iluzoryczny świat nie kończył się po zejściu ze sceny. W garderobie następował kolejny akt – grały dalej gwiazdy, którymi nie były. Zachłannym wzrokiem, bezlitośnie obserwowałam każdą zmarszczkę, każdą fałdę tłuszczu, które wyłaniały się spod warstwy makijażu. Żółte, niezdrowe cery, zapadnięte małe oczy, sztucznie powiększane, wypadające włosy... – notowałam wszystko w pojemnej pamięci, nastawiając jednocześnie uszy na rozmowy, które piętrzyły się w mojej głowie początkowo jak śmietnik pełen strzępków zdań. Później w nocy układałam je w całe ciągi wydarzeń, budując cudze życie tak inne, ale jakże podobne do mojego. Tyle że moją jedyną widownią był zagrożony pokój starek kamienicy, a okłasków oprócz mnie nikt inny nie słyszał.

Miotaly mną sprzeczne uczucia – od nienawiści, po litość dla tych kobiet, mających się za diwy małego teatryku. Tymczasem musiały nosić siatki z zakupami, chodzić z dziećmi do lekarza, a ich mężczyźni porzucali je lub zdradzali z głupawymi, młodymi panienkami z poczty. Kochałam je i gardziłam nimi – tak bardzo przypominały mi matkę. Patrzyłam na nie z czułością, jak na głupie dziecko, kiedy mnąc chusteczki w spoconych rękach czekały na telefon. Każda przechodziła tę chorobę tak samo. – Nikt o mnie nie pytał? – to były pierwsze słowa po wejściu do garderoby. Kręciłam głową, robiąc przy tym smutną minę. – O Boże – wdychała tamta – ja tego nie wytrzymam. Nerwowo palony papieros w zaniedbanych dłoniach, bo przecież wtedy nic się nie chce, może najwyżej siedzieć bez ruchu i tępym wzrokiem wpatrywać się w telefon. Spoglądały ukradkiem do lustra, żeby stwierdzić, jak fatalnie wpłynęła bezsenna noc na ich urodę... Zaraz potem przychodziła ta, która była aktualną powiernicą, sama po

przejsiach, albo przed. Pytała wzrokiem... Odpowiadało jej wzruszenie ramion i wzrok omotany pajęczyną rezygnacji. Już było wiadomo, co robić. Należało najpierw współczuć, potem wesprzeć lekkim wyrzutem typu, a nie mówić, żebyś odpuściła sobie żonatego? Przecież niedawno, przed dwoma dniami Zośka widziała go w mieście z żoną. I powiem ci, kochana, nie wyglądali na skłóconych. Ręce trzęsą się jeszcze bardziej, bo przecież mają w pamięci dotyk tamtej nocy... Na szczęście trzeba powstrzymać lzy zrobić makijaż, w końcu wszyscy oni są tacy sami. – Mała – to do mnie – posprzątaj później ten puder. Kiwam głową, że tak, zrobi się... Żal mi ich. Czuję się jak starsza siostra – mądrzejsza i silniejsza. Przerabiałam to już tak dawno... Udaję tylko, że nic nie wiem, nie rozumiem. Tak jest lepiej i wygodniej dla wszystkich.

Weronika piła coraz więcej, a jej jawa przeplatała się ze snem tak dokładnie, że nigdy nie było wiadomo, w jakim jest stanie. Początkowo próbowałam uczestniczyć w jej życiu, ale uświadomiłam sobie po jakimś czasie, że nie jestem jej potrzebna, nie dostrzega mnie, nie umiejscawia w żadnej przestrzeni. Było mi z tym lepiej, bo dług wdzięczności został już spleciony. Teraz mogłam pozostawić ją jej własnemu losowi.

Moje życie w tym czasie było pedantyczne, wręcz regularne. Trzymałam się zaciekle takiej egzystencji. Rano sprzątanie całego mieszkania, gotowanie obiadu, później teatr. Nigdzie nie bywałam i nikt do mnie nie przychodził, zresztą wstydziłam się zagraconych pokoiów, gdzie śmierdziało stęchlizną i przemijaniem. Odpowiadało mi bycie osobą anonimową, bez przeszłości, znikającą w ciemnościach ulicy po skończonej pracy. – Dziwna ta mała – podsłuchałam kiedyś – nigdy nic o sobie nie mówi, nie żebym jej nie lubiła, ale nie uważasz, że coś się za tym kryje? Dam głowę, że coś niedobrego – to Joanna eteryczna blondynka, grająca zawsze rolę pierwszej naiwnej. W kącikach jej oczu już zarysowały się zmarszczki, a cera była niezdrowo blada. W życiu nie była taka powiewna jak na scenie. Często kłęła i paliła zbyt dużo. O mężczyznach wypowiadała się autorytatywnie i z reguły źle. Co nie przeszkadzało, że regularnie zakochiwała się w jakimś zupełnie odrażającym typie, który potem snuł się po garderobie, przeszkadzając mi w pracy i usiłując klepnąć mnie ukradkiem po tyłku, albo umówić się na randkę poza jej plecami. Spuszczałam wtedy wzrok i mówiłam z oburzeniem: – Ależ, proszę pana, nie wypada. W myślach wymierzałam mu parę policzków i obrzucałam stekiem wyzwisk. Biedna Joanna. Czasem chodziłam na grób matki i opowiadałam jej o wszystkim, wydawało mi się, że podnoszę ją na duchu tymi plotkami, że nie ona jedna przecież...

Tyle tylko mogłam dla niej uczynić, skoro nie potrafiłyśmy zbliżyć się do siebie za życia. Zresztą, czy można było? Nasze fatum tkwiło w nas

samych i wszystko, co się wydarzyło było nieuchronne, ponieważ nasze wewnętrzne światy rozchodziły się.

Mój los również był przesądzony. Jeszcze go nie znałam, ale poddawałam się biegowi spraw z bierną uległością.

– Mam dzisiaj urodziny – szepnęła mi konspiracyjnie Joanna. – Wszystkiego najlepszego – powiedziałam i dodałam – pięknie pani wygląda. Zaczerwieniła się z radości, chociaż jej podkrążone oczy świadczyły zupełnie o czymś innym. – Zależy mi, żeby przyjęcie wypadło dobrze, wiesz, będzie ten mój nowy narzeczony. To niesamowity facet, mówię ci mała. Ma mnóstwo pieniędzy i jest dla mnie taki miły. Zupełnie stracił głowę. Obiecywał mi... No, nie chcę zapeszyć. Joanna przerwała rozmowę i zapaliła papierosa. Starłam się nie patrzeć na nią. Słyszałam gdzieś w okolicy szafy głos Weroniki: „... zesła na psy przez tego nieudacznika”. – Zostaniesz po premierze, żeby mi pomóc? – Joanna trzepotała rękami, zaglądając mi filuternie w twarz. – Sama sobie nie poradzę, złotko. Znałam to spojrzenie od dziecka, trudno było się oprzeć... – No więc wszystko załatwione prawda – rzuciła mi jeszcze od drzwi i już jej nie było. Znowu wrócić do domu nad ranem, a moje ubranie, skóra i włosy przesiąknięte będą dymem. Wzruszyłam ramionami. Trudno, nie mogę jej odmówić. Po spektaklu wtargnęły wszystkie do garderoby podniecone dodatkowo wizją bankietu z okazji urodzin Joanny. W gruncie rzeczy, oprócz kłamstw na scenie i rutynowych w życiu, niewiele miały rozrywek. Zwłaszcza te młodsze miały nadzieję, że wreszcie coś się wydarzy, coś, co zmieni bieg ich życia. Co chwila ktoś wnosił zamówione potrawy i stawiał na uprzednio przygotowany przeze mnie stół. Kwiaty kupiła sobie sama Joanna, widocznie nie licząc zbytnio na gest narzeczonego. Nie wypadało mi pytać, kto płacił za przysmaki, których z minuty na minutę przybywało. Wkrótce zapełniły całą powierzchnię białego obrusu. Pikantne zapachy buszowały pod sufitem. Aktorki nerwowo przełykały ślinę, czekaliśmy tylko na dyrektora... Wszedł wreszcie, powiewając amarantowym szalem narzuconym niedbale na firmową marynarkę. – Joasiu najdroższa – wręczył jej wydobyty nagle zza pleców malutki bukietik stokrotek, który przy jego potężnej sylwetce był jeszcze mniejszy. Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem... Czekaliśmy na dalszą część dowcipu. Z lewej kieszeni dyrektor z udawaną trudnością wysupłał spory pakuneczek owinięty w złotą folię. Joanna niecierpliwie rozdarła ją długimi, karminowymi paznokciami. Była to ogromna brosza, w kształcie wielkiego pajaka, przepięknie wykonana w srebrze. Zaniemówiliśmy na moment... Znając jednak dobroduszość naszego Edzia, nikomu nie przyszło na myśl posądzić go o złośliwość. Solenizantka z okrzykiem zachwytu zawisła na jego szyi, mnąc przy okazji amarant szalika. – Dobrze, już dobrze, złotko – Edward odsunął ją czule, ale z lek-



kim zniecierpliwieniem. – Wznieśmy lepiej toast – zaproponował. Przyniosłam z lodówki szampany.

Przyjęcie rozwijało się zachęcająco. Joanna tylko zdradzała coraz większą nerwowość, spoglądając obsesyjnie w stronę drzwi, w których już dawno powinien pojawić się narzeczony. Nigdy nie lubiłam następującego po kulminacji momentu, którego nieodłączną scenografią są przesycone alkoholem oddechy resztki sałatek rozmazane na talerzach i pozostawiające wiele do życzenia makijaże pań. Melancholijnie zamyślony Edward mruzczał pod nosem jakiś rosyjski romans, gdy uprzętałam stół. Joanna tkwiła przy toalecie i patrzyła tępo przez swój własny wizerunek w lustrze. Drgnęliśmy wszyscy troje, kiedy drzwi, otworzyły się bardziej niż gwałtownie. W ciemnym wnętrzu korytarza, wykończonego białą listwą drzwi pojawiła się długo oczekiwana postać narzeczonego. Widać było, że nie przyszedł na przyjacielską pogawędkę. – Widzę, że znowu urządziliście bankieciek – stwierdził sarkastycznie. – Nic dziwnego, że potem takie kwiatki wychodzą – dodał ponuro. Jak możesz Waldi - zajęczała Joanna. – Ty oszustko wycedził Waldi – przyszedłem ci powiedzieć, że nie wezmę na głowę całego tego bigosu. Poczułam nagłe klucie w głowie i całym ciele, nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Już to przecież słyszałam. Gdzieś, kiedyś. Ten znajomy głos. Te same słowa. – Ty oszustko huczały mi w głowie, pęczniały pod czaszką jak wielka purchawka... Zdążyłam jeszcze przed nim. Schody zawsze były niebezpieczne, zwłaszcza jeśli się człowiek o coś potknął. A te kilka tomów książek – to była klasyka najwyższego lotu.

## CZTERY PORANKI

### - Poranek pierwszy -

Z niechęcią pozwalała strumieniowi świadomości wdrzeć się do ciepłego pólśnu, który zaatakował ją dobroczynnie nad ranem. Wyplątała się z niego – jak z przyjaznej, gęstej pajęczyny – do szarawego, brudnego światła żarówki palącej się pod sufitem. Znowu dopadło ją to piekące uczucie winy, że nie potrafiła, nie miała siły niczego zmienić... Pchała tylko to co bieżące przed sobą, jak wielki wór ziemniaków – byle szybciej do celu, tylko jakiego?

Najgorszy był pierwszy moment – kiedy trzeba było przyjąć pozycję siedzącą, odrzucić kołdrę i obnażyć ciało w zimnej czeluści pokoju, przezwyciężyć zmęczenie narosłe od poprzednich dni, ba, lat... Wtedy miała tylko jedno marzenie, żeby mogła kiedyś w życiu wyspać się do woli, obudzić statecznie, poprzeciagać się w pościeli, pomyśleć... Ale Joaśka dobrze wie, że nie ma czasu na takie rozważania. Opanowując drżenie ciała, zabiera się do rozpalania kaflowego pieca, a potem pędzi do kuchni. Na jedno mgnienie przypomina sobie tamto zdarzenie, kiedy zasnęła na zielonych kafelkach sali operacyjnej, które właśnie zmywała na kłęczkach. Na jedną sekundę przyłożyła do nich głowę, chociaż odpychały zimnym, nieczułym na jej znużenie blaskiem. Obudziło ją zamieszanie wokół jej osoby jakie wszczął sanitariusz, najpierw szarpiąc ją za ramię, a później przyprowadzając w popłochu pielęgniarkę. – „Pani Ziółkowska, pani się obudzi – szarpał ją ktoś za ramię. Zobaczyła nad sobą wystraszone oczy młodzieutkiej pielęgniarki Oleńki. – Nie trzeba, już dobrze – westchnęła gramoląc się niezgrabnie po śliskiej podłodze – „już dobrze, ja tylko tak, ze zmęczenia – tłumaczyła się potem niezręcznie w dyżurce, gdzie postawiono jej przed nosem filiżankę z kawą. Siorbnęła parę razy przez grzeczność – bo nie lubiła, ani nie miała pieniędzy na takie fanaberie.

Nawet chcieli jej dać skierowanie na wyniki i jakieś badania, ale ona przecież wiedziała swoje. Czasu na chorowanie nie miała. Przecież tak naprawdę nikogo nie obchodzi jej los. Ot, tak dali jej to skierowanie, żeby mieć czyste sumienie. Nie potępiła ich. Na pewno nie. Sami przecież

mieli tyle problemów. Doktor buduje dom siódmy rok, ciągle brak gotówki. Ciągnie dyżur za dyżurem biedaczek, aż czasem żal, tak się nosem podciera. Joaśka przecież, jak nikt inny rozumiała potrzebę snu...

Przypomina sobie teraz, nie wiadomo po co, tamto wydarzenie. Może dlatego, że tak jak wtedy skłania się jej głowa, w przemożnej chęci przytulenia się do czegokolwiek... Odpędza jednak te resztki senności. Zwłaszcza że z drugiego – jeszcze zasnutego mrokiem – kąta pokoju, gdzie mieści się coś na kształt legowiska ogrodzonego drewnianymi szczeblami jak płótem odgradzającym tamten jego świat od reszty pokoju, dają się słyszeć jakieś dźwięki, nieartykułowane i bezładne. – Aha – mruczy do siebie Joaśka – już się toto obudziło. Myśli o nim bez złości, ale i bez czułości. Jak o czymś, danym jej na zawsze, niejako przypisanym Joaścynemu istnieniu. Ma tylko do siebie pretensje o imię, które mu dała, nie wiedząc jeszcze, że będzie taki, jaki jest. Imię to miało ucieleśniać wszystko, co piękne na tym świecie – całą jej miłość do tego małego, skoro miała już zostać sama. Tamto niefortunne zauroczenie wspomina z rzadka tylko i niechętnie.

#### - Drugi poranek -

W niedzielny poranek ulice miasteczka przemierzali ludzie niepotrzebni, nie należący do nikogo. Za oknami wrzało gorączkowe przygotowanie do obiadu, za chwilę miał się „wylać” tłum z kościoła – po mszy. Dlatego oni na pustych ulicach byli tak widoczni. Maria знаła ich na pamięć. Upośledzony syn aptekarza jak zwykle podskakując co krok mruczał coś do siebie śliniąc się przy tym obficie. Tamten starszy, dobrze ubrany pan, owdowiały mecenas, wolno posuwał się wzdłuż fasad domów – miał mocno zaawansowaną miażdżycę. Nikogo nie poznawał, nic nie rozumiał. Ktoś pewnie pod wieczór odprowadzi go do domu, na ulicę Kamionkową, do mrocznego, zapuszczonego mieszkania, gdzie zaglądała tylko czasami stara Julka, znająca niegdyś panią mecenasową. Zakochani to osobny rozdział – im jest wszystko jedno, po jakich ulicach krążą, byle czuć dotyk własnych ciał i bliskość. Maria nie liczyła ich, był to zupełnie osobny gatunek. Zastygłe od dostojeństwa powietrze wisało nad ryneczkiem. Dzień toczył przed sobą wielką, puchatą kulę czasu. Maria siedziała na ławeczce, czując jak swojska znajomość przestrzeni, w której istniała, powoli zdrapuje z niej skorupę, usiłując dostać się do wnętrza i porusza jakieś inne, utajone, niezależne od niej pokłady wspomnień. Nawet nie jej – innych osób czy też istnień, na których pożywce zbudowała swoje miejsce w przestrzeni. Starła się wniknąć głębiej, w mroczną czeluść tamtych spraw, których nie dotykała od wielu lat, pozwalając się im zasklepić. Naj-

lepiej goi się pod strupem jak słyszała na wykładach medycyny. Pozwalała zatem wyrosnąć chropawej otoczce, stwardniałej i nierównej, ale jakże wygodnej...

Nawet nie zauważyła, kiedy minęło południe, a ulice opustoszały zupełnie. Wiatr zasypywał chodniki puchem mleczu. Jej myśli wróciły z otchłani tamtego, innego czasu, który przecież istniał w niej równolegle, choćby nie wiem jak spychany na boczne tory świadomości. Poczula osamotnienie, wynurzając się na powierzchnię rzeczywistości. Łagodne światło południa rozjaśniało architekturę ryneczku tak bardzo, że nie można było nie dostrzec jej celowości. Ona jednak nie chciała jej widzieć, czuła się zbyt wyobcowana. Drzewa strząsały z siebie plamy zieleni. Pomyślała, że czas wracać – cokolwiek miałyby to oznaczać.

### - trzeci poranek -

Adam otworzył z trudem lepkie od snu powieki. Brudne światło jesiennego poranka sączyło się do pokoju lekarskiego, budząc od razu zniechęcenie i poczucie przegranej. Tych kilka godzin snu nad ranem nie przynosiło wypoczynku. Czuł się równie zmęczony jak poprzedniego dnia, jak wielu poprzednich dni... Pomijając sprawy zawodowe, myślał o Goście i jej humorach, wiecznej szarpaninie i złości nie wiadomo o co. Czuł, że nie jest bez winy, ale do licha, przecież ciężko pracował, nic dziwnego, że nie miał czasu dla dzieci, nie mówiąc już o niej. Większość kobiet była w tej samej sytuacji. Miał żal do niej, całego świata, własnego zmęczenia... Odwlekał jak mógł powrót do domu, wiedział, że coś ucieka mu przez palce – jakiś czas strwoniony na bezsensownych słowach, utarczkach, przepychankach... – „Weź sobie kochankę” – poradził Maciek – „Uszczęśliwisz kobietę, a i do Gośki będziesz miał więcej cierpliwości”. Nie było to jednak takie proste. Adama osaczyły od razu tysiące wątpliwości. No, dobrze, nawet gdyby znalazł sobie kochankę, to przecież mogłaby się w nim zakochać, albo zająć w ciążę z premedytacją, albo też ktoś mógłby o tym donieść Goście. Nie, na takie komplikacje nie miał siły.

W drzwiach pokoju lekarskiego ukazała się głowa pielęgniarki: – „Miałam pana obudzić, już szósta” – wycofała się, widząc, że Adam już nie śpi. Ubrał się i podszedł do lustra wiszącego nad umywalką. Własna twarz wzbudziła w nim niechęć. Szczeciniasty zarost i podkrążone oczy. – Co ty masz z życia chłopie. Oprócz orki na oddziale i w poradni, a po południu na budowie domu. No i te Gościny humory. – „Można?” – ukazuje się w drzwiach twarz salowej Joanny – „posprzątam tu trochę”. – Można – odpowiada machinalnie i dodaje – dzień dobry pani Joasiu. Przypomina sobie, jakie ta dziewczyna ma ciężkie życie i to go podnosi nieznacz-

nie na duchu, chociaż wie, jakie to niskie. To szczęście swoją drogą, że Gosia urodziła mu dwoje zdrowych, normalnych dzieci. Odwraca się i wciska Joannie kawę w rękę, żeby wypita później, jak będzie miała chwilę wolnego. Twarz salowej rozpogadza się na chwilę. No pewnie, chętnie wypiję, ciśnienie dzisiaj niskie. Chowa paczkę w przepastnej kieszeni fartucha.

#### - czwarty poranek -

Wiosna jakoś opóźniła się tego roku. Drzewa nie chciały się zazielenić do końca – trzymały lekko nabrzmiałe pąki w niejasnym zawieszaniu. Może z powodu zimna, a może z jakichś sobie wiadomych przyczyn. Było wietrznie i nieprzyjemnie. Małgośka krążyła od okna do okna niepokojna i podenerwowana. – Co się ze mną dzieje – mówiła do siebie, nerwowo zaciskając ręce. Targał nią wewnętrzny niepokój. Nie potrafiła sobie z tym poradzić. Miała 44 lata i do tej pory była przekonana, że jej prawdziwe życie dopiero się zacznie. Wygodnie było trwać w takim błędzie, nie robiąc nic albo prawie nic, przeżywając byle jak to „zamiast”. Czekając jutra. Kolejna wiosna, włamująca się przez okna zbyt jaskrawym światłem, bezlitośnie obnażyła jej twarz, która, o ile potrafiła się zasłonić miękkim mrokiem jesiennych wieczorów, kiedy zbawienna ciemność przychodziła zaraz po południu, o tyle teraz naga w oślepiającym czuła się pozbawiona możliwości ucieczki. Zdemaskowana i odkryta. Usłyszała w swoim wnętrzu ostrzegawczy dzwonek – jakby posunęła się za linię, przekroczyła granicę...

Usłyszała chrobotanie klucza w zamku... – Dzień dobry pani doktorowej – Joanna w przedpokoju zsuwała z nóg wykoślawione pantofle. Małgorzata wzdrygnęła się wewnętrznie – jak w ogóle w czymś takim można chodzić? Jak można wyglądać tak w jej wieku i do tego stopnia o siebie nie dbać? Adam tłumaczył jej, że salowa ma niedorozwiniętego kilkusetletniego syna i zupełnie nie ma głowy do zajmowania się sobą...

## DOM

Dom Krauzów rozbudowywał się powoli, z mozolem, rzec by można – w miarę potrzeb. Zaczęło się od niewielkich dwóch pokoi z kuchnią, które wydawały się być i tak szczytem szczęścia, po tamtym starym, butwiejącym i obumierającym na wszystkie możliwe sposoby.

Jakoś koło października mogli się wprowadzić. Wszystko pachniało świeżym drewnem, podłogi były trochę krzywe, wiało z nieszczelnych okien, ale i tak Felicja zawiesiła firanki, szczęśliwa do szaleństwa, że wreszcie na swoim. Boże Narodzenie też było jak trzeba: i choinka, i Mikołaj. Tyle że Antoś, znaczy jej mąż, jakby ochłonał w zapale. Siedział jakiś markotny przy wigilijnym stole, nie odzywał się do nikogo tak jak gdyby rodzina i dzieci, i nowy dom niewiele go obchodziły. Składała to na karb zmęczenia i trosk, które brzemieniem przywały go przez ostatnie dwa lata. Tak jak zresztą i ją. Patrzyła na swoją twarz w skrawku lustra, zawieszonym byle jak w ich przyszłej sypialni i widziała pomarszczoną twarz kobiety, jakże inną niż tamta, sprzed lat... Wcierała naprędce krem, już nie patrząc dłużej i kładła się spać od ściany w wielkim małżeńskim łóżu.

Antoni tymczasem krążył po ogrodzie, pełnym starych jabłoni, pamiętających jeszcze jego ojca Jacentego, rodzących małe cierpkie jabłka, rozłożystych jak biodra Agaty i cierpiał...

Miał swoje lata, Felicję i dwoje dzieci na utrzymaniu. Teraz ten dom już go nie cieszył, bo przypominał więzienie, w którym on i jego żona zamknięci, skuci ścianami będą trwać po choroby i śmierć.

Z tymi niewesołymi myślami zapalał kolejnego papierosa, potem znowu następnego, aż poczuł, że podniebienie i język ścierpły mu i zdrętwiały.

W nocy śnił o czarnobrewej sklepikarce do bólu łędwii, ale bardziej bolało go uczucie niemożności i rezygnacji, wynikające z nadmiaru obowiązków, które musiał dźwigać dzień po dniu, noc po nocy...

Emilka miała siedem lat, kiedy wprowadzili się do nowego domu. Tamten stary, z zapadającym się w ziemię gankiem ozdobionym mnóstwem kolorowych szybek – pozostałością jedyną chyba dawnej urody – przytłaczał ją

i odpychał. Był jak stara kobieta – wiecznie stękający i chorujący na rozliczne dolegliwości. Ciągłe w nim przeciekało, skrzypiało, podłogi butwiały, a w nocy za ścianą coś przerażająco chrobotalo. Nie sypiała nocami. Zresztą nie tylko z tego powodu. Matka kołysała Andrzejka, jej młodszego brata, który kaprysił bez ustanku... Najweselszy był rano, kiedy miało się poczucie całego dnia przed sobą i jakkolwiek nadzieję, że coś się zmieni i wydarzy. Wkładała szybko bawełniane rajtuzy w prążki i wypłowieła flanelową sukienkę. Drzwi sieni skrzypiały przeraźliwie, kiedy starała się cicho wydostać na podwórze. Wszystko jeszcze skrzyło się w pozostałościach nocnej wilgoci, świeże i nie skażone upałem. Przyszło jej do głowy, że to ostatnia wiosna. Za rok o tej porze będzie siedziała w szkole, w ławce, między innymi dziećmi, przeprowadzą się do nowego domu i zaczną inne, lepsze życie. Matka też będzie inna, mniej zdenerwowana robotnikami, późnymi powrotami ojca – wiecznie niezadowolonego. Gdzieś przypadnie ten kwaśny odór gnijących podłóg i ciężkiej, nie do zniesienia atmosfery panującej w domu... Patrzyła, jak rosną ściany, jak kładą podłogi, upajała się ich blaskiem w słońcu, dotykała szorstkiej powierzchni i serce łomotało jej na myśl, jakie to będzie nowe i wspaniałe życie.

Wprowadzili się jeszcze przed Bożym Narodzeniem, do byle jak wykończonych pomieszczeń – byle szybciej, naprędce... Można powiedzieć ukradkiem wdarli się w ściany jeszcze nie ostygłe w swoim kształcie, niegotowe na przyjęcie lokatorów, niechętnie. Matka karmiła Andrzejka, siedząc pod obrazem przedstawiającym Chrystusa na krzyżu i płakała... Ojca jak zwykle nie było. Podłogi skrzypiały przy każdym poruszeniu, piec dymił. Wtedy zrozumiała, że tak naprawdę nic się nie zmieni.

Andrzejek rósł w nieświadomości otaczającego świata. Jako niemowlę dawał się we znaki Felicji, ale później stał się spokojniejszy. Po roku przybrał znacznie na wadze i leżał całymi dniami w łóżeczku ssąc własny kciuk. Niepokoiła się o niego, że będzie inny, może niedorozwinięty. Okazało się, że jej niepokój był przedwczesny. Rozwijał się prawidłowo. Felicja postanowiła pójść do pracy. Nadarzała się takowa w urzędzie, ale trzeba było nająć niankę do dziecka. Ktoś ze znajomych polecił jej Zenobię i przyjęła ją, bo czasu miała niewiele. Hoża dziewczucha prędko zawiadnęła gospodarstwem, tyle że wkrótce potem postanowiła wstąpić do klasztoru, czego nie dało się jej wyperswadować ani rodzicom, ani Felicji. Następna – Olga – wydawała się być osobą odpowiedzialną, w starszym wieku, ale przy okazji jakiejś uroczystości upiła się i zaczęła wyprawiać dziwne rzeczy na podłozie kuchni, aż ojciec był zmuszony wyrzucić Emilię za drzwi, a później i Olgę. Tymczasem Andrzejek podrosł i spędzał całe dni w ogrodzie na trawie w towarzystwie kozy Meli, która przywiązana do palika spokojnie skubała trawę cały dzień.

Emilia nie lubiła tamtej ulicy pełnej małych, brudnych sklepików, do których wchodziło się, pokonując najwyżej jeden, zdeptany do granic wytrzymałości, drewniany schodek. Wnętrze wysało od razu mrokiem i przywierało do skóry konglomeratem najróżniejszych zapachów – lepkich i natrętnych. Połyskiwały w beczce tłuste grzbiety śledzi, na które padał promień słońca przez wiecznie otwarte drzwi. Przekroczenie owego progu stanowiło dla Emilii ogromny wysiłek o którym zwykle myślała całą drogę mnąc w jednej ręce pieniądze, w drugiej karteczkę z wypisaną listą zakupów. Na plecach czuła jeszcze palące promienie sobotniego południa i już za chwilę pochłaniała ją czeluść zawieszonych woni. Wszystkie twarze stojących w kolejce kobiet odwracały się ku niej. W powietrzu zastygały zawiesziste, brzemienne niezrozumiałe słowa, które przerzucane nad brudną i wiecznie wilgotną ladą nieruchomiały – nie dopowiedziane, odłożone na później... Ciska, która zapadała, przeznaczona była tylko dla niej, uderzała ją fala kwaśnego zapachu potu. Podchodziła i podawał sprzedawczyni to, co miała w obu rękach – pieniądze i karteczkę starając się nie patrzeć powyżej jej lekko wypukłego brzucha obciągniętego wybrudzonym, białym fartuchem.

– No proszę, czego to dzisiaj potrzebujemy – pytała z fałszywą troską w głosie Agata, sprzedawczyni, rozciągając w uśmiechu nazbyt uczerwienione usta i przy okazji odsłaniając złoty ząb, który tak fascynował Emilkę. Na pozostałych zębach widać było szminkę... Kobiety skłębione w czeluściach sklepiku szemrały i chichotały. Emilia wiedziała, że ma to jakiś związek z nią i jej matką. Czuła się winna i szczerze teraz matki nienawidziła. Pot ściekał jej po plecach ginąc, gdzieś w okolicy zbyt ciasnej gumy spódniczki. Agata z pasją wrzucała produkty do dziurawej siatki. Trwało to wieki. Emilia w duchu modliła się do anioła stróża, żeby wreszcie skończył z tą udręką. Ale widocznie był gdzieś daleko, zajęty swoimi sprawami. Chichoty ciągnęły się jeszcze długo za nią, kiedy już wyszła w nagłą jasność ulicy, w upał, który ścinał z nóg, ale dla niej był jak powiew rześkiego wiatru po bezdusznej i zatęchłej atmosferze sklepiku.

Z ulgą uwalniała się od nie wypowiedzianych słów, które po jej wejściu zawisły w powietrzu niby nabrzmiałe słońcem muchy, pęczniejąc z minuty na minutę. Wyobrażała sobie ten gwar, to szemranie, którego posmak czuła, stawiając stopę na wytartym, drewnianym schodku, a który wybuchł, kiedy objęły ją z powrotem ramiona brukowanej, rozpalonej upałem ulicy. Przemierzała ją szybko, wykręcając stopy w świątecznych bucikach na nierównościach chodnika. Byle szybciej tam gdzie zaczynał się las, który zabierał cały brud, zdierał powłokę tamtych spojrzeń, niemitych i niezrozumiałych rozmów, którym nic nie była winna. Tam było już jej królestwo. Ścieżki, znajome zakola drogi, polanki, przyjazne jak



własna chusteczka do nosa.

Felicja z dnia na dzień stała się starą kobietą. Sama nie wiedziała, jak do tego doszło. Kiedy jednak spojrzała pewnego dnia w krzywo zawieszzone na ścianie lustro, zrozumiała, że to już koniec. Najpierw ogarnęło ją uczucie rezygnacji, później nienawiści do Antoniego o zmarnowane życie, przez niego przecież, a nie przez kogoś innego. Do siebie nie miała pretensji o nic. Wypełniała swoje obowiązki jak należy – urodziła mu dwoje dzieci, pilnowała gospodarstwa i ogrodu zrezygnowała nawet z pracy, żeby być bliżej wszystkiego. I tak na nic się to nie zdało. Antoniego coś dręczyło. Wracał późno do domu, pił na umór, jakby świat miał się skończyć nazajutrz. Czasem potrafił uderzyć. Potem przeproszał i znowu pił. Brała go na różne sposoby – szykowała kolacje, wkładała nową sukienkę. Na próżno. Nie widział ani jej, ani nakrytego stołu. Patrzył gdzieś na ścianę, za nią czy przez nią. Na jakieś swoje chimery, dalekie światy, w których dla niej Felicji nie było miejsca. Czasem tylko zauważał Emilkę czy Andrzejka, ale też jakoś tak mimochodem, przez przypadek... – Potworze, bandyto – przeklinała, przewracając się na dużym małżeńskim łóżku, kiedy on szedł spać do starego domu przez ganek pobrzękujący resztką szymbek... Tam się wszystko zaczęło. Tam skończyło. Nowy dom nie przyniósł szczęścia ani jemu, ani jej. Obwiniali się o to nawzajem bez słów, w milczeniu.

Czas działał na niekorzyść domu Krauzów. Pękały ściany, w kuchni na kominie pojawiła się długa rysa, wypaczały się drzwi, które z trudem można było zamknąć, zwłaszcza jesienią, kiedy napęczniały wilgocią. Piec wymagał wielu zabiegów i dużych ilości węgla, żeby ugotować obiad. Wszystko potrzebowało napraw i męskiej ręki. Emilka pucowała i myła podłogi, czyściła do połysku wielki, mosiężny czajnik, dający poczucie ciepła i bezpieczeństwa, ale nawet ona wiedziała, że to są zabiegi, które mają chorego upiększyć, a nie dojść do źródła jego prawdziwej choroby. I czuła się nieszczęśliwa. Właściwie to uczucie nie opuszczało jej przez całe dzieciństwo. Nawet teraz, kiedy już chodziła do szkoły, kiedy nudziła się na lekcjach, ze zdumieniem przyglądając się, z jakim mozołem koleżdy i koleżanki przyswajają rzeczy, znane jej wcześniej, przyswajane tak naturalnie i bez trudu. Najmilsze chwile spędzała w bibliotece między wybrudzonymi grzbietami książek. Wybierała tytuły według nastroju, potem siadała w kuchni na podłodze i zaczytywała się, zapominając, że przerwa przecież już się skończyła i czas iść na lekcje. – Kto jej pozwala czytać takie książki – denerwowała się wychowawczyni. Bibliotekarka wznosiła oczy do nieba. W końcu ona nie jest w stanie upilnować wszystkich dzieciaków. Obie karcity Emilię, lecz po jakimś czasie wszystko zostawało po staremu. Do domu wracała niechętnie, starając się jak najdłużej iść przez

las okalający dzielnicę...

Antoni zapadał się w sobie coraz bardziej. Dni, godziny przesuwwały się przed nim czy obok niego niepostrzeżenie. Czekał tylko chwili, kiedy będzie mógł spokojnie wypić piwo. Najpierw jedno, potem drugie i trzecie zapadając się w niby – sen, miękki jak obłok, a zawsze w tym wszystkim pojawiała się ona – Agata, czarnobrewa z uszmkowanymi na czerwono ustami, śmiejąc się tym swoim rozpustnym, pozbawiającym tchu śmiechem. Pił jeszcze więcej, żeby uciszyć udręki. Kiedy wracał do domu było mu już wszystko jedno.

Babcia Jadwinia pojawiła się w ich domu niespodziewanie, po śmierci dziadka, która nastąpiła z dnia na dzień. Nawet nie było czasu na wysłanie depeszy, jak tłumaczyła, upał był wielki, trzeba było nieboszczyka co rychlej złożyć do grobu. Kierowca, który przywiózł ją z całym dobytkiem kufrów, zajeżdżających pleśnią, i chimerycznym psem Anastazym, musiał przenocować w starym domu, żeby nazajutrz ruszyć w powrotną drogę. Felicji ręce się trzęsły, kiedy przygotowywała kolację, płacząc co chwila i ocierając czerwony nos. Podawała nawet wódkę; nie tyle, żeby uczcić pamięć ojca, ale żeby uspokoić własne stargane nerwy. Jadwinia zamieszkała na razie w kuchni, ale trzeba było pomyśleć o jakimś pokoju dla niej i na wiosnę Antoni najął sąsiadów. Zbudowano coś w rodzaju przybudówki z osobnym wejściem. Tak zaczął się czas Jadwini w domu Krauzów.

Początkowo Emilia była szczęśliwa – nie musiała pędem wracać do domu po lekcjach, żeby pomóc matce w obiedzie i skrobaniu ziemniaków. Babcia wprowadziła nowe rzędy, gdzie ona czuła się niepotrzebna i wręcz niechciana. Przypatrywała się tylko ogromnym garom zupy, które bulgotały i parowały na rozgrzanym do czerwoności piecu. – Mamo – pytała ze strachem – kto to będzie jadł. Matka wzruszała ramionami. Było jej wszystko jedno. Cierpiała na rozliczne dolegliwości i nie było jej w głowie... Jadwinia czuła się w swoim żywiole. Doglądała grządek, opychała Antoniego smakołykami, ignorując Felicję zupełnie tak, jakby ta nie była jej córką, a tylko niepotrzebną służącą, która pęta się po domu nie wiadomo po co.

Pies Anastazy, rozrośnięty wzdłuż i wszerz, królował na kanapie w pokoju, gubiąc niezliczone ilości sierści. Emilia cierpliwie zwijala je w kłębki i odnosiła do wiadra na odpadki. Próbowwała porozumieć się z nim, ale był mrukliwy i niechętny, rzadko wychodził na dwór, warczał, kiedy chciała go pogłaskać, nie przepadał nawet za babcią Jadwinią. Któregoś

dnia zaginął bez wieści i mimo poszukiwań nie udało się go odnaleźć. – Poszedł zdechnąć – zakończyła dyskusję babcia.

Razem z jego odejściem sama zaczęła zapadać na zdrowiu. Parzyło się herbatki ziołowe na piecu, robiło się okłady, zanim nie okazało się, że to postępująca skleroza, na którą nie ma ratunku. Zaczęły się owe przedziwne wędrówki po nocy, wychodzenie z domu, wylewanie zupy do zlewu, mieszanie soli z pieprzem i cukrem. Potem zaczęło się siusianie do łóżka, majaki, jakieś krzyki po nocy...

W domu śmierdziało środkiem dezynfekcyjnym, którym Felicja myła podłogę, a który miał zagłuszyć ten jeszcze gorszy – zapach moczu. Emilia czuła, jak przenika on jej sukienki i fartuszki szkolne. Nienawidziła go. Postanowiła, że nigdy nie będzie miała własnej rodziny...

Andrzejek dorastał niefrasobliwie, uganiając się z chłopakami z dzielnicy. Emilia czasami dziwiła się, że nie przeżywa spraw domowych tak jak ona, nie spędza bezsennych nocy słysząc zza ściany kłótnie rodziców. Nie wstaje po nocy, od drzwi zawracając babcie Jadwinie, która spakowana, z tobołkiem w ręku właśnie wybierała się w długą podróż. Nic go nie obchodziło. Zmęczony zabawą z rówieśnikami zasypiał kamiennym snem, budząc się rano rześki i radosny, nie wiedząc o koszmarach nocy. Pożerał śniadanie i znikał. Za to też go nienawidziła. Czasami chciała z nimi porozmawiać, ale zbywał ją śmiechem, że to babskie sprawy.

W końcu umarła Jadwinia, oddana przed śmiercią do szpitala, kiedy już nie można było wytrzymać jej szaleństwa... Wydawała się taka małeńka i krucha po śmierci. Nikt chyba nie mógłby uwierzyć, ile mogła zniszczyć i spustoszyć w czasie choroby... Felicja nawet nie płakała na jej pogrzebie; tak była osłabiona z powodu ostatnich przeżyć. Emilia stała jak w transie, ale gdzieś tam świeciła jej w głowie, że może nadejdą lepsze czasy, może coś się zmieni. Pokój Jadwini przez miesiąc stał pusty... Potem Felicja z Emilią wysprzątały go do czysta pozbawiając zapachu moczu i choroby. Zamieszkał w nim Antoni, któremu odpowiadało osobne wejście i spokój.

Felicja już od dawna nie patrzyła do lustra krzywo zawieszonego w sypialni. Jej czas mierzył się wybuchami Antoniego, obiadem, kolacją i własnym, skrywanym cierpieniem.

– Mam raka – powiedziała w czasie obiadu, dokładając mu drugie danie.

– No i co z tego – odburknął znad talerza. Wiedział, że tak się to skończy. On czy ona to było bez różnicy. Od dawna na to czekał. Dla niego i tak nie było już życia. Twarz Felicji skurczyła się i zmalęła. On pochylił głowę nad talerzem...

Śmierć Felicji przeciągała się ponad miarę. – Chorej potrzebna jest opieka – mówił lekarz. Emilia była w kresu wytrzymałości. Ojca nie było w domu. Brat miał swoje sprawy, bliżej. Zostawały same. Napęczniały brzuch matki pulsował własnym życiem i bólem nie do opisania. Zastrzyki nie pomagały. Noce trwały wieczność. – Mamo, nie umieraj – błagała, trzymając ją za rękę. W duchu powtarzała: umieraj i odejdz, przestań cierpieć. – Pani matka nie nadaje się do szpitala, to jest stan agonalny – powiedział lekarz – przecież chce umrzeć w domu. To prawda. Chciała umrzeć w domu. Chorą wypisano na własne żądanie.

– Tato, nie wyjeżdżaj – prosiła. Antoni oganiał się od niej jak od upartej muchy. – Zostaw mnie w spokoju, te wasze babskie sprawy. Wrócił po trzech dniach... – Fela, przecież ja ciebie zawsze... Ale i tak nie słyszała...

Wtedy Emilia przyrzekła sobie po raz wtóry, że nigdy nie będzie miała rodziny.

Antoni umierał. Wiedział to od dawna, ale dopiero teraz stało się to jasne dla wszystkich. Ciało miał jeszcze sprawne, ale umysł oddał się od niego, nieposłuszny, niepokorny... Był nawet z tego zadowolony. To uwolniło go od poczucia odpowiedzialności za śmierć Felicji, od utraty dzieci, od tego, że oddaliły się od niego. Czasami, wstyd powiedzieć, nie pamiętał, jak mają na imię. Córka przynosiła mu obiad, a on patrzył na nią jak na obcą, nieznaną osobę... Potem dopiero przypominał sobie, że to przecież Emilia, jego pierworodna. – Jak mama – pytał. Przecież umarła rok temu – odpowiadała.

Teraz dopiero przypominał sobie tamto uczucie bezsilności, nie tylko dotyczące jej śmierci, ale całego poprzedniego okresu, kiedy nie umiał, nie potrafił nic zrobić. Łzy toczyły się po jego twarzy, Emilia ocierała je bez współczucia.

## KRECHA

Chłopiec obudził się wcześniej, zaledwie świt brudnym światłem przesączał się przez firankę. Mógł jeszcze chwilę poleżeć, ale wytarta kołdra nie dawała zbyt wiele ciepła. Na tapczanie obok chrapał ojciec. – Znowu się napił – pomyślał – tylko skąd wziął pieniądze na piwo, renta przecież dawno wyszła? Nie dawało mu to spokoju. Po namyśle wstał i poszedł przeszukać swoją kryjówkę, w której trzymał rzeczy wartościowe i pieniądze. Na szczęście niczego nie brakowało. Przerzucił jeszcze parę drobiazgów: zdjęcie matki, spławik, monety, koralik w dziwnym kształcie. Tak to nazywał – „rzeczy wartościowe”. Niewiele tego było. Westchnął głęboko, z troską. Widział, że tak robią starsi w chwilach zafrasowania.

Był już przecież dorosły. Tak mu powiedziała matka przed śmiercią. I jeszcze, że musi o siebie dbać. Wiedziała, że na ojca nie ma co liczyć. A teraz miał dodatkowo na utrzymaniu Krechę. – Takie jest życie – mruknął, powtarzając ulubione słowa Amelii Paścikowej – dozorczyńi, z którą łączyły go interesy. Starannie zamaskował deskę w podłodze, która przykrywała jego schowek i wrócił do pokoju. Naciągnął na siebie gruby sweter, zabrał leżącą na stole reklamówkę i wyszedł na ulicę. Miasteczko budziło się wydając znajome odgłosy, a jednocześnie pozostając w stanie półsnu, porannego letargu. Pnące się w górę i w dół uliczki, obudowane ciasno wąskimi kamieniczkami, ożywiały się w okolicach rynku zaledwie paroma sklepikami, ale wystarczyło wyjść za róg, żeby znowu popaść w niczym nie zmacony spokój, zatracić się w czasie, uwikłać w sieci rozgałęzionych drzew, uwieszonych nad łąką, która staczała się w chłodną rzekę. Chłopiec nie miał na to czasu, chociaż ciągnęło go nieodparcie w przestrzenie pełne szelestów liści, chłodnej jędrności traw, tak mile uginających się pod bosymi stopami. – To dobre dla smarkaczy – mówił do siebie, rozpoczynając obchód pojemników na śmieci. Znał każdy zaułek, każdy fragment muru w okolicach sklepów monopolowych, gdzie mogły znajdować się butelki. Przeszukiwał okolicę tym staranniej, im głośniejsze czuł burczenie w brzuchu. Potem następował jeden z miłszych momentów jego pracy – wizyta w sklepie pana Zbycha. Z wypełnionymi reklamówka-

mi czekał cierpliwie, na skwerku, kiedy właściciel sklepu krzątał się, przyjmując towar – wielkie, pachnące bochny chleba, mleko w butelkach i te inne rzeczy, od których widoku wnętrzości skręcały się w niepokojącym oczekiwaniu. Pan Zbych – otyły człowiek o dobroduszej, nalanej twarzy – krzątał się nieśpiesznie, chociaż dzień już wybudził się na dobre. Chłopiec pełen oczekiwania pogrązał się w przed południe blade od nudy i białe od żaru lipcowego dnia.

Stukot butelek z mlekiem był magicznym sygnałem. I chłopiec parzył zafascynowany, jak z bram kamienic wynurzają się postacie kobiet, o twarzach zmęczonych, znękanych, włosach rozluźnionych nocą... Czekał cierpliwie...

Kiedy przetoczyła się pierwsza fala, wchodził do sklepu. Pan Zbych, rozlany na krześle za ladą, leniwie przerzucał strony starych tygodników. – Ach, to ty... – mówił, nie podnosząc wzroku – ile dzisiaj przyniosłeś? Chłopiec podawał liczbę butelek, a potem dokonywali transakcji wymiennej – on podawał reklamówki ze swoim towarem, a z drugiej strony lady dostawał siatkę z bułkami i mlekiem. Zwykle właściciel sklepu dorzucał jakiś słodki drobiazg od siebie, ceniąc w duchu rzetelność chłopca. Jeśli utarg był niewystarczający, dostawał jedzenie „na krechę”.

Tamtego dnia wszystko odbyło się jak zwykle. Wszedł do pomieszczenia kipiącego zapachem ciepłego chleba i pociągnął z lubością nosem. – No jak tam, mały – zapytał pan Zbych i jak zwykle nie podniósł na niego oczu. – Marnie – odpowiedział chłopiec i dodał – dzisiaj na krechę. W tym momencie coś niesłychanie burego i kudłatego wynurzyło się z kąta zza worków ziemniaków. To coś zbliżyło się do chłopca i spojrzało na niego przyjaźnie. – O rany, to pies – zawołał chłopiec ze zdumieniem. – A pójdziesz paskudo – rzucił w stronę zwierzęcia pan Zbych, ale było to stwierdzenie pozbawione agresji i raczej wyglądało na propozycję. Pies pominął ją bez reakcji. – Siedzi tu od kilku dni – kontynuował właściciel – ale trzeba przyznać, że cichy nie przeszkadza, nawet nie wiem, skąd się tu wziął. Zabieraj się stąd – zaproponował znowu psu – klientów mi wystraszysz. Zwierzak znowu zlekceważył jego uwagi, cały czas nie spuszczać wzroku z chłopca. Merdał przy tym lekko i przyjaźnie ogonem. – Pewnie jesteś głodny? – zapytał mały ochryplym ze wzruszenia głosem. – Dałem mu wczoraj resztki kiełbasy i mleko – odburknął znad gazety pan Zbych. – Zabierajcie się stąd oboje.

Wyszli na ulicę. Rynek był prawie pusty. Oblepione słońcem okna trwały w milczeniu... Chłopiec intensywnie nad czymś rozmyślał, o czym świadczyła głęboka zmarszczka przecinająca czoło i zupełna obojętność na resztę świata. Pies postępował powoli i z uwagą kilka kroków za nim. Poruszał się niezgrabnie, kolebiąc na boki. Sierść była skołtuniona i nie-

określonego koloru. Widać było, że najlepsze lata miał już za sobą. Ten rzucający się w oczy brak urody łagodził ufny i nieco marzycielski pysk. Tak jak gdyby jego właściciel wierzył, mimo przeciwności losu, w nadejście lepszych czasów. Chłopiec bardzo pragnął odwrócić się i chociaż na chwilę zanurzyć dłoń w kudłach zwierzęcia. Poczuć jego dotyk, zapach... ale wahał się. Zbyt dobrze znał życie. Co na to powie ojciec – przecież pies potrzebuje jeść. Co będzie, jeśli nie nabieram tylu butelek, żeby kupić jedzenie dla obu? Dodatkowa gęba do żywienia – jak mawiała jego matka. Sam zresztą znał uczucie głodu. Odwrócił się jednak – to było silniejsze od niego. Przykucnął i znalazł się na poziomie psich oczu. – Widzisz Krecha – powiedział (tak go już nazwał w myślach od pierwszej chwili) wyobrażając, że oboje przemierzają w dzikim pędzie okoliczne łąki. – Nie mam stałej pracy, a mój stary nienawidzi psów. On nie kocha nikogo, no, może tylko wódkę. Po śmierci mamy tak go napadło i trzyma do dzisiaj. Nic na to nie można poradzić. Czasem daje mi parę groszy z renty, ale rzadko... Krecha patrzył ze zrozumieniem i wydawało się, że podziela jego zdanie. Jednocześnie przysuwał się prawie niepostrzeżenie bliżej chłopca, żeby w końcu wtulić się w niego zupełnie, zanurzając nos w zagłębieniu ramienia.

Siłą rzeczy dalsze wywody utknęły chłopcu w gardle, nastąpiło to, co i tak miało nastąpić. Bez zbędnych słów ruszyli dalej. Krecha szedł jakoś rażno bez powłóczenia łapami i kolebania na boki... Obejrzeni jeszcze kilka koszy na śmieci, a w jednym z nich udało się nawet znaleźć apetycznie wyglądającą bułkę, którą ktoś ugryzł tylko jeden raz i chłopiec, nie mogąc się temu nadziwić, podał ją psu, który delikatnie wziął ją w zęby, odniósł na pobliski trawnik, żeby z należnym szacunkiem zjeść do ostatniego okruska.

Ojciec leżał jeszcze w łóżku, kiedy wrócili. Stanęli w progu, a mrok i zaduch pokoju podpełzły do gardła nieprzyjemną falą. Krecha przysiadł niepewnie, blisko drzwi. – Co za paskuda – wycharczał stary siadając na posłaniu, obudzony czyjąś obecnością. Nie ogolony, wychudzony człowiek i zwierzę spojrzeli na siebie z niechęcią. Ten pierwszy odkaszlnął, pozbywając się porannej flegmy. – Pytam, co to za zwierzę? – powtórzył. – To Krecha – wykrztusił z wysiłkiem chłopiec. – Tato, pozwól mu zostać... Ale wiedział, że prosi na próżno. – Będzie na moim utrzymaniu – dorzucił jeszcze w rozpaczliwej nadziei, że szalał przechylił się na jego korzyść. – Wynoś się razem z tym psem, w domu nie ma co do garnka włożyć, a ten tu przyprawdza jeszcze jedną gębę do żywienia! – wychudzony człowiek otulił się znowu kołdrą i odwrócił do ściany. – Nienawidzę cię – mruknął chłopiec. Otworzył drzwi i wyszedł razem z Krechą na odrapaną klatkę schodową. Drewniane schody trzymały się w pionie tylko siłą wo-

li – trzeszcząc niemożliwie i wzdychając przy każdym kroku. Na parterze, po lewej stronie od komórki zatrzymali się. Były to drzwi starej Paścikowej. Jak zwykle zdziwił chłopca ich kolor – wesoty niebieski, poobdzierany tu i ówdzie, i wyblakły, ale zawsze zdumiewający. Zapukał głośno. Nie było odpowiedzi, mimo to nacisnął klamkę i wszedł. Krecha podązał wytrwale za nim. Uderzył go ten sam zapach – naftaliny i zjełczałego masła – przyjazny, chociaż agresywny. Z małego przedpokoju widać było jak na dłoni resztę mieszkania. Pokój zagracony do granic wytrzymałości, obwieszony obrazkami Matki Boskiej, makatkami z jeleniem i łabędziem, oraz królującym nad łóżkiem portretem ślubnym właścicielki, która jak zwykle siedziała na krześle pod oknem, bacznie obserwując życie na ulicy. – Pani Paścikowa, mam do pani interes – zaczął chłopiec. Kobieta nieśpiesznie odwróciła się. Obejrzała uważnie gości, zwłaszcza psa, który poruszył się niespokojnie pod jej spojrzeniem, jak gdyby wiedząc, że ważą się jego losy. W samej rzeczy tak było. – A co, stary wyrzucił – raczej potwierdziła, niż zapytała. – Widziałam, jak prowadziłeś toto do domu. Też bym nie wzięła – sparszywały jakiś i stary...

Kobieta zamyśliła się. Wiedziała, jaka będzie prośba chłopca i ważyła wszystkie za i przeciw. Po swoim mężu, Walerianie Paściku, przejęła obowiązki gospodyni domu, które sprowadzały się tylko do wścibiania nosa w życie wewnętrzne lokatorów, co czyniła z pasją. A ponieważ cierpiała na reumatyzm, jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym było okno i chłopiec. Poza tym miała inne rozliczne obowiązki, jak karmienie królików na zapleczu kamienicy i przynoszenie węgla do kaflowego pieca. Pozbycie się zatem tak cennego współpracownika nie leżało w jej interesie. Nie pałali do siebie wzajemną sympatią, ale łączyły ich wspólne interesy i byli od siebie w pewien sposób zależni, a to zobowiązywało. Dlatego też Paścikowa – wyrażając niechęć do psa – nie zajęła decydującego stanowiska. Chłopiec ze swojej strony wiedział, że ma spore szanse na przeforsowanie pomysłu z komórką. Oboje to wiedzieli... Amelia Paścikowa udawała głębokie zastanowienie, ale faktem było, że nieboszczyk Walerian, który zerkał na nią filuternie znad łóżka, zostawił ją samą jak palec, nie licząc za towarzyszy takich przypadłości, jak otyłość i reumatyzm. Chłopiec był jej rękoma, uszami i oczami. Taka była prawda. Spojrzała jeszcze raz na psa. Tym razem przychylniej. – Najważniejsze, że nie ma wrednej mordy – rzuciła – jak się go dopasie, będzie niczego sobie, ale w domu trzymać go nie będę, wyporządkuj komórkę koło schodów... – Och, dzięki pani Paścikowa, dzięki – chłopiec nie mógł ukryć ogromnej radości i przez chwilę miał ochotę rzucić się starej na szyję, ale powstrzymała go myśl uciepiona, że przecież ona nie robi tego za darmo, z samej miłości do Krechy ani do niego. Czuł, że będzie musiał za to zapłacić. I był na to goto-



wy. – Zrobię wszystko, co pani zechce, no prawie wszystko – dorzucił po chwili wahania. – Mam nadzieję – odburknęła Amelia, ale humor poprawił się jej w sposób znaczny. Otwierały się przed nią nowe możliwości. I to nieograniczone. Dopóty, dopóki żyje ten parszywy kundel... Ale dobre i to.

Nastaly nowe czasy dla całej trójki. Pies przywykł do postania w komórce, nawet je polubił. Ale nie to było najważniejsze. Miał swoje miejsce i swego pana. Miał o kim myśleć i myślał o nim bezustannie. Nawet kiedy spał. W snach przebierał łapami ile sił, biegnąc razem za nim po urojonych łąkach... Rano, kiedy cała kamienica pogrążona była w ciszy, wynurzał się z komórki, prostując zdrętwiałe łapy i gramolił się po schodach na piętro. Siadał przed drzwiami chłopca i czekając podrzemywał lekko, co chwila czujnie zerkając naokoło, nasłuchując jakiegokolwiek hałasu... Paścikowa, kręcąc się w pościeli uwierającej ze wszystkich możliwych stron, wracała myślami do czasów młodości, złorzecząc losowi, który ją, Amelię, taką hożą i rosłą dziewczuchę, przykuł teraz do krzesła tuszą i reumatyzmem. Wzdychała ciężko i rozdzierająco, przewracając się z boku na bok. Mieszała jawę ze snem, prawdę z marzeniami w niedobry koktajl, który krążył w jej żyłach przez cały dzień jak trucizna. Wspomnienia wczorajszego dnia przydawały trochę nadziei jej egzystencji. Chłopiec budził się nagle siadając w postaniu – od razu świadomy swoich obowiązków, które zwalżyły się na niego od tamtej rozmowy z niebieskimi drzwiami. Ale też na dnie drzemających obaw kryła się nieokiełznana radość, zapierająca dech w piersiach, wobec której wszystko inne nie miało znaczenia. Tak też było. Ochoczo spełniał wymyślne polecenia Paścikowej. Pies uważnie obserwował wszystkie jego poczynania. Wynoszenie śmieci i ciężkie kubły węgla były przyczynkiem do świetnej zabawy, pieszczot, tarmoszenia za kudły przyjaciela, pretekstem do rozmów, głaskania, przytulania, zakochanych spojrzeń, dotknięcia na policzku szorstkiego języka... Czas letni – od różowego poranka po gorące, ciężkie od zapachów i poszeptywań noce – był zbyt krótki. Dni uciekały w oszalałym pędzie za linię horyzontu; – lipiec podstępnie oddawał swoje sprawy w ręce sierpnia, a ten zaprowadził swoje porządki. Skrócił dzień, zamieniając go w suchą puszystość, zwiędłą nudę, usypiając perfidnie przed kolorowym delirium jesieni.

Był to jeden z ostatnich dni lata, takich dni, które nie mają zmierzchu. Nim się obejrzy, zapada noc. Nawet nie zauważyli tej ciężarówki, która wynurzyła się zza zakrętu, cicha i szybka jak wysłannik ciemności.

## TRZY KOBIETY

Zwykle strumień wspomnień wywoływany jest w świadomości jakimś wydarzeniem, które dociera do nas zupełnie niespodziewanie, burząc naszą rzeczywistość. Czasem bywa to zawiadomienie o śmierci. Przeważnie zresztą tak jest. Zatrzymujemy się wtedy w pół kroku, bo gdzieś w głębi poruszyły się pokłady tamtej pamięci, jakieś głosy, twarze, zapachy... Zanurzamy się w tunel pełen duchów, na oślep i dobrowolnie. Poza czasem i rzeczywistością...

Tak właśnie czuję się, idąc tamtą ulicą. Główną ulicą miasteczka, pełną w opowiadaniach matki przysadzistych domków ocienionych lipami. Teraz domy wydają się być kościste, wysokie, pozbawione wszelkiej indywidualności. Upał wlecze się za mną jak zbyt ciężki płaszcz. Co mnie właściwie obchodzi śmierć tamtego starego człowieka, którego prawie nie znałam? Tyle że obiecałam, a obietnic należy dotrzymywać. Jestem tu zamiast mojej matki, z głową napchaną wiadomościami z przeszłości. Nie zdążyłam ich jeszcze poukładać i posegregować według własnego porządku. Czuję się przytłoczona, oszołomiona i nie na miejscu. Tak daleka od własnej, przygnębiającej rzeczywistości. Przypominam sobie jej opowieść o tym, jak pierwszy raz usłyszała grę Sary. Dźwięki pianina, płynące przez okno i rozlewające się po tamtym ryneczku, pełnym sennego, zachodzącego słońca. Wchodzę w cudzy świat jak złodziej, zakradam się w zakamarki innej, nie mojej pamięci. Senne miasteczko na kresach, pełne swoich własnych dramatów. No właśnie. Uporządkujmy wszystko od początku. Jest Sara. Jest aptekarz, który był w niej zakochany, chociaż ona miała już najlepsze czasy za sobą. Kto zresztą o nich wiedział dokładnie? Właściwie nikt. Krążyły jakieś plotki o koncertach, miłości do pewnego muzyka. Potem i one ucichły. Została tylko sama Sara Blumenstein i jej ojciec, stary, schorowany, niedołężny, dożywający swoich dni w małym pokoiku na tyłach domu. Nie działo się nic oprócz plotek o wojnie, takich czy innych niechęci, ale wszystko szło swoim własnym trybem. Ogród obłąkanej Maryni zawsze przepojony był zapachem kwitnących floksów, pietruszki, cebuli i kopru. Wszędzie ta sama wstydliva bieda i strach przed wojną, i te same ciche sprzysiężenie pnących róż i wiciokrzewu, które osłaniało ogród przed złem tamtych czasów. Tak myślę, ale może tak nie było? Prze-

siąknięta jestem przecież wspomnieniami mojej matki, a nie moimi własnymi. Ona żyła nimi całe życie. – Tacy jak ona, pozbawieni korzeni, spędzają resztę swego życia w obłączonym mieście ze stanem wyjątkowym – mawiała moja koleżanka. Wracam myślami do opowieści o pięknej Sarze, która wzgardziła afektem aptekarza, człowieka dobrego ponoć, ale bez żadnych powabów zewnętrznych, dodatkowo pozbawionego jednej ręki. Trzeba pamiętać, że przecież Sara, jako artystka, była estetką. Aptekarz nie mając zatem nadziei na zdobycie miejscowej piękności, udał się do Lwowa, skąd przywiózł sobie żonę prosto z tamtejszego burdelu, o czym cicho sobie opowiadano po mszy w miejscowym kościele. Waleria, bo tak jej było na imię, miała urodę i pewien wdzięk, który po czasie zjednał miejscową społeczność. Zwłaszcza wtedy, kiedy jej niespotykana energia kazała otworzyć jedyną przy rynku kawiarnię, w której nawet później, w czasie wojny, podawano niezrównany tort czekoladowy. W tym czasie zmarł ojciec Sary, a ona sama utrzymywała się z lekcji muzyki. Moja matka była jej uczennicą, kiedy nadszedł list z agencji, aby zgłosiła się na próbę... Po tylu latach oczekiwania, wbrew wszelkiej nadziei, stało się rzeczywistością coś, na co już ona nie miała siły. To było za dużo dla Sary, która mieściła się w swoich rozczarowaniach jak w możliwym do wytrzymania piekle. Nie chciała się z niego wydostać. To, na co zbyt długo czekała, było już samo przez się zbyt dużym ciosem. Szukała więc nieodpartych powodów odrzucenia propozycji. Użyła najmniej przekonującej i najbardziej kobiecej wymówki: – Nie mam co na siebie włożyć. W sumie nie pojechała na przesłuchanie. Zresztą czasy były już niespokojne. Sara powiedziała wtedy do mojej matki słowa, które brzmiały mniej więcej tak: – Pragnę jakiegos losu, jakiejś katastrofy, czegoś strasznego, aby to miasto zapadło się razem ze mną. Tyle że wtedy jeszcze nic się nie wydarzyło i wyznanie Sary mogłoby zabrzmieć groteskowo, gdyby nie dalsze wydarzenia... Ale to nastąpiło trochę później. Sara nadal dawała lekcje i życie toczyło się w pozornej beztrosce, ploteczkach przynoszonych przez Jadwinię z kuchni, omotanych zachodzącym słońcem podwieczorków z malin i jagód, wieczornym pobrzękiwaniem konwi z mlekiem... Czas mojej matki związany z czasem owego Bernarda, który właśnie zmarł i wzywał mnie na swój pogrzeb... Nie pamiętałam go dokładnie. Kiedyś odwiedził nas ze swoją żoną Teresą. Tyle tylko, że wypełnił nasze mieszkanie zbyt wielkim hałasem, dużą ilością niezrozumiałych dla mnie słów, dymem papierosów... Patrzyłam na jego żonę, o której matka mówiła, że była najpiękniejszą panią w miasteczku. Patrzyłam z politowaniem nastolatki na ową utykającą panią z zawiniętą od kostki po kolano nogą. – To była wielka miłość – wzdychała moja matka. Nie mogłam sobie tego wyobrazić. Podstarzały Bernard i owa pani... Przysłuchiwałam się na wpół senna długim, nie kończącym

się rozmowom, w czasie których padały coraz to inne imiona, wydarzenia, oplatające bohaterów dramatu niewidzialną siecią pamięci, pełną supłów.

Kawiarnia prosperowała świetnie. Była miejscem spotkań miejscowej elity, kiedy już darowano właścicielce jej podejrzaną przeszłość. Ich dwie córki, które bawiły się z moją matką, Bernardem i Teresą, nie różniły się niczym od innych dzieci. Jedna z nich – Zofia – miała niewielki garb. Trzeba przyznać, że matka dziewczynek niewiele im poświęcała uwagi. Chodziły samopas, gdzie i kiedy chciały, co oczywiście budziło zazdrość innych dzieci. One też najwcześniej z nich wszystkich zaczęły spotykać się z chłopakami. Zwłaszcza Amelia. Zabierała na randki siostrę jako osobę towarzyszącą, coś w rodzaju przyzwoitki, Zosia była pogodną, pogodzoną z losem dziewczynką, mądrą i czytana, poza tym dobrego serca, co później okazało się sprawą niemałej wagi... Na razie w pozornej beztrosce zawiązywały się pierwsze sympatie, chodziło się na potańcówki, a później w ciepłe noce nad rzekę, żeby zaznać gorączkowych pocałunków smakujących cierpko jak przydrożne jeżyny. Popołudniami na ryneček miasta spadały z okien Sary dźwięki Chopina i Brahmsa. W karczmie u ślepego Joska zbierało się podejrzanе towarzystwo młodych mężczyzn, którzy trudnili się przemysłem. Wtedy zaczął znikać Bernard, w którym Teresa była już zakochana na całe życie. To u niej w domu przechowywał sól i ubranie przemycane z Łotwy, a później naftę i benzynę. Matka dziewczynki, zatroskana kobiecina, wznosiła tylko oczy do nieba i napomykała o rychłej zgubie, ale Terenia, zapatrzona w ciemne oczy Bernarda, przystawała na wszystko. Chciałaby jak każda dziewczyna, żeby był przy niej częściej, ale jego nosiło po świecie. Odziedziczył to po swoim ojcu, który był bogatym człowiekiem i miał na obrzeżach miasta młyn opalany drewnem. Później, kiedy zabrakło mu pieniędzy na opał, wyciął swój piękny sad, aż wreszcie postanowił sprzedać młyn Żydowi nazwiskiem Abramowicz. Za te pieniądze kupił w sąsiedztwie od starowiera spory mająteczek, który niebawem sprzedał i otworzył restaurację przy głównej ulicy. Wkrótce i ten interes zaczął podupadać. Nie do końca jednak, bo przecież i Rosjani, i Niemcy musieli coś jeść i pić. O ile na tort czekoladowy mogli pójść do kawiarni Walerii, to takich sznycli i piwa u niej dostać nie mogli. Po przyjsciu Rosjan młyn upaństwowiono, a później, kiedy Niemcy zaatakowali Rosjan, przez kilka tygodni panowało całkowite zamieszanie; brak jakiegokolwiek władzy sprzyjał rabunkom i rozbojom. Kiedy miasto zajęli Niemcy, przy młynie utworzono mocno strzeżone getto. Można było się tam dostać przez szparę między domami. Tamtędy właśnie przymykała się garbata Zosia, Bernard i rudy Mejer, syn pani Szymanowej, której mąż miał składy zboża. Zastrzelono go w jego własnym biurze. Jego żonę zamknęli wraz z synem w getcie. Mejer i moja matka pobierali lekcje muzy-

ki u Sary, która teraz musiała opuścić swoje mieszkanie i ukrywać się w baraku nad rzeką. Tam też Zosia i Teresa przynosiły jej jedzenie. Ale było później...

Zresztą wtedy wszystko toczyło się zbyt szybko, wydarzenia następowały jedno po drugim. Kogoś aresztowano, po nocach słychać było strzały, a strach i dezorientacja zatruwały życie do reszty. Chowano co lepsze rzeczy, pieczono i suszono całe worki chleba, a w beczkach solono słoninę. Po ryneczku przetaczały się wieczorem gromady pijanych rosyjskich żołnierzy. Z nimi prowadziła się piękna Amelia, na co przez palce patrzyła Waleria, która jako osoba niezwykle przytomna wiedziała, że z każdym wrogiem należy się dogadać. Ona też pierwsza wiedziała o mających nastąpić niebawem wywózkach. Nie ruszyła jednak palcem w sprawie Lidii – ulubionej nauczycielki ze szkoły. Tamtego poranka wszystkie dzieciaki patrzyły bezradnie, jak wsiada na wóz z trzymiesięcznym dzieckiem na rękę... – Co tak stoicie? – garbata Zośka roztrzęsła wtedy tłumek, ciągnąc za sobą wielki plecak, jak się okazało pełen sucharów i słoniny. Rzuciła to na wóz obok Lidii. Zawróciła jeszcze raz do domu i za kilka minut na kolanach nauczycielki obok jej synka wylądowało sobolowe futro Walerii. – Oberwiesz w domu – syknęła Amelia. Zośka wzruszyła ramionami i splunęła w naszą stronę. Tchórze!

Ktoś podał komuś parę ciepłych rękawic, potem coś tam jeszcze... ale niewiele tego było. Każdy wstydliwie ukrywał malującą się na twarzy ulgę, że to jeszcze nie jego kolej.

\* \* \*

Do pogrzebu został jeszcze dwie godziny. Postanawiam spędzić je w kawiarni naprzeciwko ratusza. Miałam pójść do domu zmarłego, ale uświadomiłam sobie w panice, że przecież ja nikogo tam nie znam. To obcy ludzie, nie związani ze mną żadną nicią pamięci. Jestem jak przybysz z obcej planety, będą oglądać mnie podejrzliwie i nieufnie, obmacywać spojrzeniami, w których będzie tylko jedno pytanie – czego tu szukasz? Owszem, przecież mogę im opowiedzieć co mnie tu przywiodło ale nie mam na to siły, opętana wspomnieniami mojej matki, a wręcz zmęczona nimi. Siadam przy kawiarnianym stoliku. Małe senne miasteczko na Ziemiach Odzyskanych. W końcu tu się spotkali – Bernard i Teresa. Prawie cudem czy też przypadkiem. Tak bardzo za nimi tęskniła. Nie mogła przecież wiedzieć, że wielkie pragnienie miłości czasem nie ma z nią nic wspólnego. To było trudne życie. Z roku na rok traciła urodę, rodząc kolejnych synów. A mąż. Cóż, jego awanturnicza żyłka nadal nie pozwala mu siedzieć w jednym miejscu. Były też inne kobiety. Czasem przeklinała

los, ale już nie było odwrotu. Na swój sposób byli jednak razem... Tylko ją chciałabym zobaczyć, tylko to ratuje mnie przed paniczną ucieczką. Obiecałam przecież matce...

Kelnerka przynosi mi czarną kawę i kawałek ciasta. Znowu natrętnie wraca wspomnienie czekoladowego tortu Walerii. Kiedy przyszli Niemcy, zaczęły się rozstrzeliwania komunistów i tych, którzy z nimi sympatyzowali, wywózki do obozów i na roboty. No i getto, które nie przetrwało długo. Zlikwidowano je z różnych powodów. Żydzi sami wykopali rowy, nad którymi ich rozstrzelano. Przysypano płytko ziemią. Nocą spod sterty trupów wygrzebywali się ci, którzy przeżyli. Między innymi pani Szerman z synkiem Mejerem, oraz stary Rosenthal, właściciel kilku hoteli. Uciekali w stronę wsi, dalej od miasta. Tam znaleźli schronienie. Szermanowa, jeszcze przed zamknięciem w getcie rozdała na przechowanie różnym ludziom swoje liczne kosztowności, między innymi mojemu dziadkowi. Moja matka twierdzi, że wszystko zostało jej zwrócone. Zginął bezpowrotnie krawiec Chaim, jego żona Sara, Jankiel z Jankielowa – miejscowa biedota i wielu innych Żydów. Już nic nie miało być takie samo. A jednak następny dzień był słoneczny, ktoś kupował chleb w piekarni, jak gdyby ludzie mogli jeszcze cokolwiek przełknąć. Tort czekoladowy też miał powodzenie. Garbata Zosia życzyła ludziom wszystkiego najgorszego. Wieczorem przemyciała do baraku nad rzeką z koszem jedzenia wykradzonego Walerii. Amelia prezentowała swoją niewiarygodną urodę przedwcześnie rozwiniętego podlotka w gronie niemieckich mundurów. – Dostaniesz za swoje, ty gestapowska kurwo – powiedział jej kiedyś Bernard. Spojrzała na niego z wyższością. Dostała za swoje, ale jeszcze nie teraz, musiał upłynąć jakiś czas... Tamtego wieczoru wywleczono z baraku Sarę i rozstrzelano na łące za ogrodem Maryni. Trup Sary poniewierał się w trawie i nikt nie miał odwagi go pochować. Dopiero któreś ciemnej nocy dwie postacie zakradły się na łąkę. Rano była cicha i uprzątnięta, pokazując światu lśniąca od porannej rosy twarz, – nieświadomą tragedii. – Mówię wam – gorączkowała się Teresa – że to sprawka Amelii, to ona wydała... – Jak nie masz dowodów, to milcz – odparowała jej Zosia. Prawda była jak zwykle pośrodku. Reszta miasta trwała we wrogim milczeniu, sprzyśnięta przeciwko aptekarzównie. Na jej widok dziewczynki przechodziły demonstracyjnie na drugą stronę ulicy. Nikt z miejscowych nie jadał już czekoladowego tortu Walerii, a mimo to interesy szły dobrze. Tylko aptekarz odizolował się od reszty świata. Daleko, na tyłach kawiarni w małym pokoiku, był coraz mniej rozmowny i coraz bardziej zdziwaczały. Całymi dniami przekładał jakieś stare rachunki, a inne darł na kawałki, żeby później układać z nich przedziwne, bezsensowne układanki... Jego żona mówiąc o nim rysowała wymowne kółko na czole. Ale Zosia wiedziała, że to

jego łagodne wariactwo jest celowe i zamierzone. Wyszedł ze swojego odosobnienia dopiero wtedy, kiedy nadeszli Rosjanie i spalili klasztor ojców marianów. Tamtej nocy Amelia wpadła do kawiarni, płonąca jak żywa pochodnia. Zdarło z niej ubranie, oderwano tłące się włosy razem ze skórą. Jej ojciec za kontuarem w aptece próbował przyrządzić w pośpiechu jakąś maść, ale już nic nie było w stanie jej pomóc. Głowa pokryta wielkim strupem miała pozostać bezpłodna, nie wydając na świat ani jednego włosa do końca życia. Teraz ona zajęła miejsce ojca w pokoju od podwórka, zanim partyzanci nie wywlekli jej stamtąd, żeby, o ironio, ogolić jej głowę. Wydał ją Bernard, który uciekł do lasu. Ktoś zerwał jej chustkę z głowy... – O, kurwa... – wyrwało się jakiemuś chłopakowi, niewiele od nas starszemu, – Ktoś był lepszy od nas. Zostawili ją klęczącą na środku podwórza. Od tej pory przestała się ukrywać, jak gdyby już nic gorszego nie mogło jej spotkać. Chodziła, patrząc na wszystkich niewidzącym wzrokiem. Ludzie ustępowali jej z drogi. Wydawało się, że straciła rozum. Ale to też była połowa prawdy. Tylko Zosia wiedziała, dlaczego owej fatalnej nocy Amelia była w pobliżu klasztoru. I za to zapłaciła taką wysoką cenę. Co wieczór, co noc kogoś aresztowano, ktoś ginął bez wieści. Do dziadka ciągle zaglądali niemieccy żołnierze żądający słoniny i bimbru, za który płacili benzyną i naftą. Po jakimś czasie wpadali, inni robiąc rewizję w poszukiwaniu łupów i odchodzili ukojeni alkoholem. Strach sparaliżował wszystkich, gdy podczas jednego z najść omal nie doszło do tragedii. Niedaleko, na końcu sadu, w łaźni kąpali się partyzanci. Teresa pobiadła na twarzy, bo był wśród nich Bernard, siłą woli utrzymywała się na nogach. Zośka, która jak zwykle przyszła po swoją konewkę mleka, nagle zachichotała, i wybiegła na środek kuchni, krzycząc – Kto dotknie mojego garbu, będzie miał szczęście do końca życia – i okręciła się przy tym wesoło. Żołnierze spojrzeli po sobie zdezorientowani, a później wybuchnęli gromkim rechotem. Każdy poklepywał ją po plecach i po kolei wychodzili z domu... Kiedy wyszedł ostatni, zapadła cisza, która trwała w nieskończoność. – Co macie takie gamoniowate miny, garbatej nie widzieliście czy co? – Zosia wzruszyła ramionami – lepiej niech któreś poleci do łaźni. Zachodziłyśmy w głowę, skąd ona to wszystko wie? Ale nikt nie odważył się zadać jej tego pytania.

\* \* \*

Przetoczył się front. Po okolicznych polach puchły zwłoki niemieckich żołnierzy, którymi nikt się już nie przejmował. Rosjanie zaczęli swoje

porządki od rozstrzelania wszystkich tych, którzy sympatyzowali z poprzednikami. Waleria zamknęła kawiarnię, ale za kilka dni otworzyła szeroko drzwi, przez które było słychać dźwięki walca „Na wzgórzach Mandżurii”. Na kolację serwowała bliny z kawiozem i ogromne ilości samogonu. Kawę po wiedeńsku wykreśliła z menu. Aptekarz skrył się na tyłach. Tylko po ulicach, podśpiewując pod nosem „Lili Marlen”, chodziła Amelia z głową obwiązaną chustą. Była w zaawansowanej ciąży.

Już od dawna nie mieszkała w rodzinnym domu, tylko w baraku nad rzeką, który o dziwo przetrwał. Zosia co wieczór przynosiła jej ukradzione z kuchni matki jedzenie. Dziecko urodziło się sine, z szją trzykrotnie okreconą pępownią. Stara Jakimowa nie dobiegła na czas, a zresztą i tak było wiadomo, że jest „na zmarnowanie” – jak powiedziała. Noworodek był płci męskiej i naprędce nadano mu imię Jan, po ojcu, jak powiedziała osłabiona porodem Amelia. Zwłoki w pośpiechu zakopano przy cmentarnym murze. Nikt o dziecko nie pytał. Zresztą od dawna jego matka żyła własną obłąkaną rzeczywistością na obrzeżach czasu... Tylko Zosia wiedziała o tamtej wielkiej miłości i dlatego przestała potępiać siostrę.

Wiedziała też o innych sprawach, które dopiero później miały ujrzeć światło dzienne. Tymczasem wróciła pani Szermanowa z synem Mejerem. Przyszła prosto do dziadka, u którego zostawiła część mebli do przechowania. Prawie wszystko było w dobrym stanie, z wyjątkiem pięknej komody. – No cóż, był front, sami uciekaliśmy na wieś – dziadek wzruszył ramionami – któżby martwił się o komodę. Po powrocie dom był zaśmiecony, walały się sterty bandaży, zwłoki lisa i kurze pióra. Dziwne, że w ogóle cokolwiek ocalało. Szermanowa kiwała głową ze zrozumieniem, ale nie była do końca zadowolona. Starła się jednak nie pokazać tego po sobie. – A ja, Wincenty, nauczyłam się prac polowych i wszystkich waszych pacierzy i pieśni religijnych. Zobacz, jakie mam zniszczone ręce – wyciągnęła przed siebie dłonie z połamanymi paznokciami. Dziadek wzruszył ramionami. Wtedy pani Szermanowa, przymykając piękne oczy, zaśpiewała „Kiedy ranne wstają zorze”. Dziadek zapatrzył się w okno.

Jadwinia przytomnie podała kolację, bo widok pani Szermanowej śpiewającej taką pieśń przerastał jej wyobraźnię. Ale i tak weszano Wincentego do siedziby NKWD. Tyle że wszystko skończyło się na niczym.

– Zośka, o co w tym wszystkim chodzi – pytała, pełna niepokoju o los ojca, moja matka. – Spokojnie – powiedziała wtedy Zosia – Michaił Michajłowicz Rostow po prostu kocha się w Szermanowej i jest zazdrosny o twojego ojca, bo przecież ona wiecznie u was przesiaduje. Matka odechnęła z ulgą.



Tymczasem słońce opadło za wierzę ratusza. Kawa wystygła, a tort zakrzepł w beznadziejnym oczekiwaniu. Zastanawiałam się, czy oprócz Teresy, będzie na pogrzebie jeszcze ktoś z tamtych ludzi. Wolnym krokiem idę w stronę cmentarza. Pomimo upału w kaplicy panuje dojmujący chłód. Przesuwam się wzdłuż szpaleru czarnych postaci, bliżej trumny... Chcę położyć kwiaty w nie swoim imieniu. I nagle widzę postać na wózku z nogą owiniętą bandażami od kostki po kolano okryte czarną suknią. Teresa! Piękna stara kobieta z węzłem siwych włosów splecionych w kok. Tylko głupota nastolatki nie mogła wtedy ocenić niezwykłego piękna jej twarzy. Tylko głupota... A ta z garbem to przecież Zosia, tak, na pewno i jeszcze następna obok z omotaną chustą głową – Amelia! Okrążają mnie kołem. – Maria, to ty? Czyjeś dłonie ściskają moje ręce. Jestem córką Marii. Wiem, że podobieństwo jest uderzające. – Nie szkodzi – to tak jakby ona była z nami. Oczy Amelii patrzą na mnie spod chusty, jej ręce wykonują oddzielny taniec, niezależny od woli, we własnym, chorym rytmie. Może w rytmie tamtego walca „Na wzgórzach Mandzurii” czy „Lili Marlen”? Nikt tego nie wie. – Nie zwracaj na nią uwagi – mówi Zosia – ona wiele przeszła, może to i dobrze, że nic nie pamięta. Zaczyna się nabożeństwo. Twarz Teresy jest nieprzenikniona, nie płacze. Nie widziałam nawet jednej łzy ani podczas mszy, ani później. – Pójdiesz do nas na kolację i przenocujesz, pociąg masz dopiero rano – mówi Zosia tonem nie znoszącym sprzeciwu. Amelia podąża za nami, wykonując owe przedziwne ruchy rąk. – To od leków – usprawiedliwia ją Teresa, nawet nie oglądając się za siebie. Mieszkają niedaleko. W jadalnym, nad kredensem wisi portret Bernarda, który w tym wszystkim wydaje się być postacią marginesową, przynajmniej teraz, w obecności tych trzech kobiet, z którymi dzieli mnie różnica pokoleń, a do których zaczynam bezwiednie mówić po imieniu, jak gdyby nie dzieliły nas czas i przestrzeń. Zofia nalewa kawę. Amelii trzeba pomóc, nie potrafi utrzymać filiżanki. – Dlaczego nie płakałaś – pytam Teresę. Wtedy ona mówi te straszne słowa. – Cieszę się, że nie żyje. Dopiero teraz jest naprawdę ze mną. Leży tam, w jednym miejscu, które mogą odnaleźć. Jest tylko mój. Patrzę pytająco na Zosię. Ta wrusza ramionami – Zmarnował jej życie, nie ma nic gorszego niż czekanie na mężczyznę, który nie przychodzi, a jeśli już, to zupełnie nie w porę. – Zresztą spójrz na Amelię, ta też czekała, a jak się wreszcie królówicz zjawiał, to podpalił klasztor i spłonął z całymi jej włosami i rozumem. – A te jej kontakty z Niemcami? – pytam. – To sprawka Walerii, to ona jej kazała. To ona wydała Sarę. Dzięki Amelii zastrzelili ją na łące Maryni, oszczędzając całej tej gehenny w bydlęcych wagonach do Oświęcimia. Tyle mogła

dla niej zrobić. A Waleria wydała ją z prostej przyczyny: tort czekoladowy. Wiesz przecież, jak trudno było o mąkę, cukier i jaja w tamtych czasach. Nie wspominając o czekoladzie. – Tylko dlatego? – nie potrafię pojąć. – No wiesz, wtedy to był wystarczający powód. – Skąd o tym wiedziałas – pytałam. – Ojciec mi powiedział; wtedy zaczął te swoje układanki ze starych rachunków. Wszyscy myśleli, że zwariował. Ale ja wiedziałam swoje. Dlatego też Waleria wyrzuciła ciężarną Amelię do baraku. Żeby nie psuć sobie klienteli – przecież wiedziała, kim był ojciec dziecka. Ten paniczek po konserwatorium, który ukrywał się w klasztorze i miał podobno znane hrabiowskie nazwisko. Cieszyła się, kiedy spłonął i kiedy dziecko zmarło. Zosia nalewa sobie bez emocji następną filiżankę kawy. – Co mogłam zrobić – odpowiada nie pytana. – Był przecież jeszcze ojciec i Amelia. Zresztą Walerię spotkał los, na jaki zasłużyła. W dzień naszego wyjazdu znaleziono ją na podwórzu przebitą bagnetem. Ktoś tam mówił, że to z miłości, ale nieprawda. To był zwykły rabunek. Zginęły wszystkie jej oszczędności i biżuteria... Nic nie zostało po Walerii, nawet dobre słowo – dodaje z satysfakcją, jakby to nie była jej matka.

– Wiesz, nawet ojciec nigdy o niej nie mówił – dodaje. Zapada cisza.

– Mieszkacie razem? – pytam. – Nie – odpowiada Teresa. – To jest moje mieszkanie. Zosia mieszka w przytułku, Amelia w Zakładzie Psychiatrycznym. Ale dzisiaj wszystkie zostaniemy razem. – Cieszę się – odpowiadam spontanicznie, jak gdybym była jedną z nich. – I my cieszymy się, Mario – mówi Zofia, nazywając mnie imieniem mojej matki. Dawno już przestałam się temu dziwić. Pytam o Amelię. – Cóż, ona do tej pory nie uwierzyła w śmierć Jana. Jej czas zatrzymał się na spalonych włosach. Każdy ma swoją rzeczywistość i każdy tę swoją uważa za prawdziwą – Zosia mówi te słowa w zamyśleniu. – Myślę, że ona jest najszczęśliwsza z nas trzech. Bo odebrano jej pamięć tego wszystkiego, co nastąpiło później. Zresztą czasem ją coś nachodzi i wtedy zachowuje się jak ranny, który musi własnymi zębami wyciągać szwy z rany, nawet jeśli to bardzo boli. Potem one się znowu rozchodzą i znowu nie goją – Zofia wrzusza ramionami – Dobrze, że dają jej leki. Ma po nich te dziwne ruch rąk, ale to tylko tyle... Inaczej rozpacz by ją zżarła. Ta taka rozpacz, na którą nie ma ratunku. Pamiętasz ten jej obłąd? On był pozorny, tak jak u ojca. Chciała chronić siebie i dziecko. Kiedyś, już po przyjeździe tutaj, mówiła mi, że ja też powinnam tak żyć – bez czasu; że to tak, jakby się żyło na dnie morza, nie już wtedy człowieka nie obchodzi. Ale ja tego nie umiem, za wiele jest we mnie życia... – Zosia zawiesza głos. – Od dziecka taka jestem. Uśmiecham się. – Pamiętasz to sobolowe futro Walerii – pytam i obie chichoczymy jak podlotki.

Rano nikt nie odprowadza mnie na dworzec. Nawet tego nie chcę. Przecież Amelia i Teresa wymagają pomocy. Odchodzę cichutko, na palcach, przez zarośnięty ogródek do furtki. Miasto dopiero przeciera oczy. Hałasują dostawcze wozy, nieliczni przechodnie biegną, starając się nie patrzeć sobie w twarz. Machina nowego dnia rozpoczyna swój rytm, podczas którego każdy przegrywa, wciąż przegrywa...

## ŚMIETNIK

Stary przychodził zwykle przed zapadnięciem zmierzchu. Wiedział, że wcześniej się nie opłaca – ludzie jeszcze raz wynoszą śmieci przed kolacją. Zresztą nauczył się pracować przy świetle latarki, chociaż na początku sprawiało mu to niejaką trudność. Najpierw robił ogólny wywiad, potem zabierał się za duże pudła, układając równiutko tekturę na wózku, tak żeby zabierała jak najmniej miejsca. Potem segregował inne rzeczy – osobno szmaty, osobno butelki. Musiał być porządek. Tak był nauczony od dziecka. A i praca przez trzydzieści lat w fabryce zrobiła swoje. Stary zasmucił się na chwilę – dobrze, że jego syn nie doczekał, bo i po co? Czego mógł go nauczyć, co przekazać, skoro sam krąży po śmietnikach, żeby te parę groszy dorobić, czując się zresztą jak jeden z wielu odpadów. Chociaż ponoć mówią, że żadna praca nie hańbi. On jednak wolał być w fabryce tam było jego miejsce, tam zaczynał pracę jego ojciec i dziadek, a teraz tak wyszło, że jak stary, to i niepotrzebny, won na bruk. Dobrze, że syn nie doczekał...

Poprawił czapkę na głowie i rozejrzał się dookoła. Wtedy zobaczył stojące w rogu śmietnika pudełko, stało schowane za wielkim pojemnikiem i pewnie dlatego wcześniej go nie zauważył... Zrobiło mu się ciemno przed oczami, kiedy przez nie domknięte wieko zauważył coś na kształt małej, dziecinnej rączki. Zmartwił w półkroku – Jezu Chryste – pomyślał, ale nie było już wyjścia – może przecież jeszcze żyje? Zerwał zdecydowanym ruchem wieczko... – Tfu, na psa urok, a niech cię diabli, cholera nadała... – memlał w ustach przekleństwa. Puste oczy wielkiej lalki patrzyły na niego bezmyślnie. Kopnął pudełko i wyszedł na zewnątrz. Zapalił papierosa i głęboko odetchnął; czuł, jak fala napięcia opada z niego jak niepotrzebny łachman. – „Czego to ludzie na śmietnik nie wyrzuca, patrzcie państwo, żeby taką drogą zabawkę... Rozpuszczone teraz te bachory – myślał. Wypuszczał kłęby dymu, które ulatniały się w listopadowym zmierzchu. Skończył wreszcie i poszedł umocować tekturę do wózka – w kieszeniach nosił całe zwoje sznurka. Już miał odjechać, kiedy przystanął i po chwili namysłu wrócił po pudełko z lalką. Uchylił jeszcze raz wieko i ponownie przebiegł mu przez plecy nieprzyjemny dreszcz. Zamknął je szybko i przewiązał, żeby nie otworzyło się po drodze. Przyszła mu bo-

wiem na myśl Monisia – jego jedyna wnuczka. Owszem, udane i zdolne dziecko, tyle że „beżowa”. Stary znowu zaklął w duchu. Nie, żeby miał coś przeciwko innym kolorom skóry. Ale dlaczego akurat w jego rodzinie? Córkę wychowali w bojaźni bożej. Prawda, że czasem i zbyt surowy bywał, ale matka zawsze za nią obstawała murem, krzywdy dzieciakowi większej nie dała zrobić. Do kościoła co niedziela całą rodziną. I komunia, i bierzmowanie. Wszystko jak należy. Do szkoły krawieckiej poszła, bo dryg od maleńkości do tego miała. Ciągłiem zbierała jakieś skrawki i szła lalkom. Tyle że potem w jakieś niedobre towarzystwo wpadła. A zaczęło się wszystko od tej gumy do żucia. Strach, jak tego nienawidził – tych poruszających się szczęk na pusto, bez żadnego sensu. Zwłaszcza kiedy z nim rozmawiała, memląc to świństwo między zębami. – Wyrzuć mi to z gęby, jak do mnie mówisz – wrzeszczał. Od tego się zaczęło... Robiła się coraz bardziej harda i nieprzystępna, uciekała na całe popołudnia z domu, wracała późno. Na nic były krzyki ani też to, że przyłożył jej parę razy. Chyba tylko jeszcze gorzej. W końcu spiknęła się z taką jedną flądą, co na Zachodzie pracowała. Konkretnie w Belgii. Alusia akurat skończyła szkołę. – Roboty tu i tak nie znajduję – tłumaczyła – a za tych parę baniek tyrać nie będę. Papiery w mig załatwiła i tyle ją widzieli. Po dwóch latach wróciła. Owszem, na mieszkanie było ją stać, ale później urodziła się Monisia. Stary aż się zachnął, przypominając zdumione spojrzenia sąsiadów, wyrzwał ku nim śniady pyszczek, okraszony smolistym spojrzeniem dużych oczu. Cóż, dziecko to dziecko. Jakoś przywykli.

Zresztą nie mieli do tego głowy, takie przyszło na nich wtedy nieszczęście z najmłodszym. Dziuniem go w rodzinie pieściotliwie nazywali, ale na chrzcie dano mu Edward. Dowództwo jednostki napisało, że z nie wyjaśnionych powodów szeregowiec taki to a taki pozbawił się życia, używając broni palnej i że komisja bada przyczyny... O rezultacie badań powiadomią rodzinę, kondolencje itd. Ceśka, jego żona, zmartwiła, trzymając list w ręku. Cała krew odpłynęła jej z twarzy i stary, choć znał ją tyle lat, nigdy nie widział takiego u niej spojrzenia...

Tak, tak... Minęło parę ładnych lat od tamtego czasu. Nie zapomnieli o Dziuniu, ale ból jakby mniejszy, stępiały, utopiony w codziennych troskach. Zawsze po mszy niedzielnej kierowali się na cmentarz i z czasem stary zaczął zazdrościć synowi, że tak sobie leży w cieniu wielkiego drzewa, spokojny, obojętny na wszystkie okropności życia. Wzdychał ciężko, przysiadając na ławeczce, którą sam zrobił i zatapiał się w niewesołych rozmyślaniach.

Ale później, kiedy go zredukowali, przestał chodzić na grób Dziunka. Wstyd mu było, chociaż nie powiedział o tym żonie. Zakładał, że ona tego i tak w swoim babskim rozumie nie ogarnie. Klótnie były o to i swa-

ry, ale postawił na swoim. Wychodził z domu na całe dni, początkowo szukając pracy, a po kilku miesiącach już tylko po to, żeby wyjść i nie dawać powodów do ustawicznych nieporozumień z Ceśką, która od rana miotła się po domu jak zła, naburmuszona mucha. Jakoś koło Wielkanocy odwiedziła ich Alusia z małą.

Powodziło jej się znośnie – zaczęła pracę w hurtowni, wyglądało, że wyjdzie na ludzi, ustatkuje się wreszcie, ale gdzie tam. Zaczęła marudzić, że za taką ciężką pracę za mało dostaje i plecy ją bolą od dźwignia ciężarów i że w domu nie ma siły później nic przy małej zrobić. Jednym słowem nie dla niej taka praca bo w końcu jest jeszcze młoda, a życie tylko jedno. Ma więc zamiar za miesiąc wyjechać do Włoch z jedną taką koleżanką i co oni na to powiedzą, jeśli Monika na ten czas zamieszkałaby tutaj z dziadkami...

Ceśka znieruchomiła przy stole, a starego mała szlag nie trafił. Czuł, jak krew uderza mu do mózgu. – A tym razem w jakim kolorze braciszka tej małej przywieziesz – wycharczał. Po czym wyszedł, odtrącając wszystko, co mu się nawinęło pod rękę. Wiedział, że to i tak bez sensu. Dziewucha jest uparta i postawi na swoim. To jedno było pewne jak w banku. Tak też się stało. Wyjechała. Monisia została z nimi. On zaczął dorabiać na śmietnikach za namową swojego kumpla, który po wylewie dostał rentę zbyt śmieszną, żeby żyć. Nawet nie najgorzej na tym wychodził. Tyle że na początku brzydził się siebie i porównywał do tych szczurów, które bezczelnie grasowały przed nim, po nim, a także w trakcie. Po prostu przywykli do siebie...

Zwłaszcza jeden. Najbardziej okazały i najśmielszy z nich. Za to go polubił. Był hardy i chociaż bał się, starał się nie okazywać tego. Stary cenił go za to i dawał mu pewne fory. W końcu jakoś się dogadali i każdy buszował w tym, co go najbardziej interesowało. Doszło do tego, że wynajdywał resztki jedzenia i odkładał na bok, żeby tamtemu było łatwiej. Czasem rozmawiał z nim, ale oczywiście był to monolog. Szczur patrzył na niego błyszczącymi ślepiami – uważnie, jak mu się zdawało, niekiedy z troską w oku. Później każdy zajmował się swoimi sprawami. Takie to były ich układy. Stary wiedział, że to inteligentne zwierzęta – chytre, niebezpieczne, ale swój rozum mają. Może nawet tyle co baba. Tego nie był pewien. Ale i tak wolał się zwierzyć jemu niż Ceśce. Przynajmniej obywało się bez wzajemnej wymiany zdań.

Z dnia na dzień stary miał coraz więcej serca dla swojej pracy, a ubywało wstrętu do własnej osoby. Bo też i każdy dzień obfitował w nowe niespodzianki, można powiedzieć – codziennie zyskiwał nowego przyjaciela. Tydzień temu, na przykład, przyszedł jak zwykle o zmierzchu przeglądając swój rewir, a tu – proszę, zabłąkał się jeź. Widocznie znęcony za-

pachem wyrzuconych, nie dojeżdżonych jabłek. Jakieś wypieszczone psisko z sąsiedniego bloku, którego pan chwilowo zagadał się z sąsiadem, obszczekiwało nieboraka zaciekle, aż skulił się w drobną, najeżoną kulkę, drżąc prawdopodobnie ze strachu. Stary wziął go na rękę i dosłownie czuł, jak małe ciało pulsuje w rytm bijącego w oszalałym strachu serca. – Paszół won – krzyknął do psa i przytulił kolczaste stworzenie. Długo trwało, zanim zwierzątko uspokoiło się i wysunęło wilgotny czarny ryjek. Wtedy przemówił do niego jak do dziecka i odniósł hen daleko w zarośla, których na szczęście tu nie brakowało. A szczur już na niego czekał. – Ot, widzisz jakie bydłátko wygodne – mamrotał stary, wyszukując w zbiorniku odpadki. Mówił to jednak bez cienia wyrzutu czy złości. A potem, nawet nie wie kiedy, po raz pierwszy powiedział do niego – Dziunięk. Cicho i nieśmiało. Wiedział, że gdyby Ceśka to słyszała, odsądziłaby go od czci i wiary. I tak już zostało. Chciał nawet pójść z tym do spowiedzi, ale nie przypuszczał, że ksiądz go zrozumie. To była sprawa między nim i Dziuniękiem. Ponieważ wierzył święcie, że jego syn zszedł na ziemię w postaci tego stworzenia żeby być blisko niego. Przestał chodzić na cmentarz – więc jego syn znalazł inny sposób porozumiewania się z nim. Doszło do tego, że zaczął przygotowywać sobie posłanie na śmietniku. Noce były ciepłe... Ceśka początkowo zrobiła karczemną awanturę, ale dała sobie spokój. Ostatnio od starego niemożliwie śmierdziało... może to i lepiej, że ma darmozjada z głowy. I tak nastąpił w życiu starego jeden z najlepszych okresów. Noce są ciepłe – tak sobie wmawiał okrywając się coraz większą ilością tektury i szmat. W końcu zimno nie było takie istotne. Dziunięk czekał na niego codziennie, a potem spędzali czas na długich rozmowach. Stary palił skręta. Szczur patrzył mu w oczy z takim zrozumieniem, jakiego nigdy nie widział u Ceśki ani Alusi. Ani u nikogo na świecie...

## ŻYCIORYS

Nikt nie lubi poniedziałku. Marianna zasapana wbiega do pokoju lekarskiego. Jak zwykle, od lat, dziwi ją brak własnej kondycji. – Przecież to tylko trzy piętra – myśli – trzy marne piętra, a ty zasapałaś się jak staruszka. Od przyszłego miesiąca postanawia zapisać się na aerobik i z góry wie, że nic z tego nie będzie. Ot, takie tam poranne postanowienia... Rozrzucone, nieliczne drobiazgi świadczą o obecności dyżurnego lekarza, a właściwie lekarki. Marianna przebiera się z niechęcią. Dopiero teraz na dworze robi się naprawdę jasno.

Wchodzi Basia; widać, że wyszła spod prysznic – włosy w nieładzie, twarz bez makijażu. – Nic nie mów o moim wyglądzie – mówi nie pytana – dyżur był okropny. Dzieciaki po sobotnio-niedzielnej wizycie rodziców wymiotują i mają biegunkę. Marcinek zwymiotował, wyobraź sobie, śliwkami łącznie z pestką... Trzeba nie mieć głowy, żeby dzieciaka po operacji karmić takim czymś – mówi rozszalona. Schodzą się pozostali... Wreszcie przychodzi szef. Zaczyna się odprawa, potem jest oglądanie pacjentów i ustalanie kolejności zabiegów operacyjnych, wypisy i wreszcie chwila na kawę. Nikt nie lubi poniedziałku. – Ile waży ten zez – pyta przez telefon anestezjolog o pacjenta, którego znieczula jutro na okulistyce. Waga dziecka potrzebna jest do premedykacji przed zabiegiem.

Ustała dawkę leku. Potem wraca do nas. – Daj herbatę z rumianku – mówi. Ustaliliśmy, że pijemy zioła, przynajmniej raz dziennie. – W ramach odtrutki na życie – żartuje Basia. Codzienny kołowrotek wciąga nas w swoje tryby. Telefon dzwoni bezustannie. – Teraz jest odprawa, proszę później – tłumaczymy. Ktoś chce zasięgnąć informacji o stanie dziecka, ktoś ustalić kolejkę na zabieg. Normalka... Koszmar wypisów. Wystukiwanie na maszynie wyników badań... – Dziecko przygotowane do zabiegu – melduje pielęgniarka operacyjna. Ktoś podrywa się i wbiega w zieleń kafelków sali operacyjnej. Migocze aparatura wykresy... – Pożycz mi sto złotych do końca tygodnia – szepcze mi spod maski operacyjnej koleżanka, prosto w ucho. – Co tak rozrzutnie żyjesz – rzucam jej w odpowiedzi, co samo w sobie jest nonsensem. Nie mogę pożyczyć, bo sama tonę w długach u matki emerytki. Wiem, że zrozumie i wybaczy. Nie lubię poniedziałku...



Telefon. Basia podaje mi słuchawkę. Marcin. Znowu ta sama kwestia okien. – Jeśli nie kupimy w tym roku, to w przyszłym nie będzie nas stać – kontynuuje wczorajszą całodniową dyskusję. – Nigdy nie będzie nas stać, ani w tym, ani w przyszłym roku – syczę do słuchawki. Mam dosyć okien i drzwi. – Te balkonowe zaczną się domykać, jak kaloryfery będą grzać – rzucam mu uspokajająco.

– Idiotka – słyszę w odpowiedzi. Odkładam słuchawkę. Koleżanki patrzą na mnie współczująco. Rozglądam się bezradnie po pokoju, jakby mnie to miało natchnąć do jakiegoś działania. Ale ani zaciek w kącie, ani te same od lat reprodukcje nie przynoszą niczego więcej oprócz uczucia przygnębienia. Psiakrew, dlaczego prawdziwe życie jest zawsze gdzie indziej – to lepsze, ładniejsze i bardziej kolorowe. Stuka maszyna do pisania, gotuje się woda na herbatę... Nie wzięłam parasolki, a znowu pada. Spoglądam przez okno w dół, gdzie przemykają jakieś postacie. Pod Izbę Przyjęć podjeżdża karetka. Za chwilę muszę zejść do poradni. Na korytarzu, bliżej kuchni, owiewa mnie zapach smażonej ryby. – Przecież to nie piątek – myślę niemrawo. Na dole, w poczekalni, pełno ludzi, paruje namoknięte ubranie. Marta, moja pielęgniarka, podaje mi stos kart i prosi pierwszego pacjenta. Kończę około trzeciej. Na górze jest już lekarz dyżurny, czyli nasza starsza koleżanka Leokadia. Leokadia jest matką trzech córek i babcią trojga wnucząt. To dla nich, jak mówi, traci ostatnie zdrowie na dyżurach. Poza tym jest pełna werwy i istnieje poza upływającym czasem, również tym, który dyktuje modę. Ma swój specyficzny styl ubierania, który z łatwością toleruje kwiciaste spódnice do kamizelek w kratkę, okraszonych biskupim kolorem bluzki, okrytej na koniec wściekle fioletową kurtką. Kolorystykę ową gasi jej rumiana twarz i ciepła serdeczność prawdziwej babuni, kiedy zaczyna opowieści o wnukach. Leokadia wyjmuje z niezliczonych reklamówek kłębki wełny, druty, kobiece pisma z wzorami robótek ręcznych, czyli jest przygotowana do dyżuru – żartuję. – Nie zapeszaj – mówi poważnie – pewnie ich dzisiaj nie tknę. Naza jutrz okazuje się, że miała rację – całą noc na nogach: trzy duszności i ciało obce. Chyba wystarczy... Chowa nietknięte robótki do torby i marudzi, że jest za stara na takie noce. Wtorek, dzień nieoperacyjny. Można uzupełnić historie chorób, spokojnie obejrzeć pacjentów, przygotować wypisy na następny dzień. Ktoś wchodzi, inni wychodzą – potracamy się nawzajem w drzwiach. Zapach jedzenia na korytarzu. Boże! To już po trzeciej. Myślę gorączkowo, co zrobić na obiad. Byle nakarmić dzieci, ja mogę nie jeść i tak nic mi nie przechodzi przez gardło od kilku dni – znowu kłótnia z Maćkiem i znowu nie wiadomo o co. Oboje jesteśmy przemęczeni, skaczymy sobie do oczu o byle głupstwo, dzieci, widząc to, stają się agresywne w stosunku do siebie. Zastanawiam się, do czego nas zaprowadzi to

oblędne koło, ale nie mam ochoty wyciągać ręki jako pierwsza, dla dobra rodziny i dla świętego spokoju. Ile razy można... Czasami mam wrażenie, że nie podołam, że nie przebrnę następnego dnia – takie wszystko wydaje się być beznadziejne... – Dziękuj losowi, że jesteś zdrowa i masz zdrowe dzieci – mówi Basia. Wzdycham ciężko. Po pracy wlokę się z zakupami do najbliższego przystanku. Starannie omijam wzrokiem wystawy sklepów, nie tylko dlatego, że w tym miesiącu nie stać mnie na kupienie czegośkolwiek dla siebie. Widok mojej własnej osoby obciążonej ciężkimi siatkami pewnie zepsułby mi dodatkowo humor na resztę wieczoru. Zastanawiam się, co powiem Maćkowi, jak przepchnę resztę dnia, jak ułożę resztę życia... – Masz dzieci – mówi moja matka przy niedzielnym obiedzie. – Mam też siebie – buntuję się w myślach. – Dlaczego, zamiast wspierać się w ciężkich chwilach, każde z nas staje okoniem i zaczyna działać na własny rachunek? Brak zrozumienia czy w ogóle uczucia? A może Maciek ma kogoś? Boże! Co za stereotyp – zaniedbana żona, młoda kochanka, wspólne dyżury, szepty po kątach, pewnie dowiem się ostatnia... Autobus ochlapuje mi brzeg płaszcza, jak to dobrze, że włożyłam ten stary prochowiec! Wyglądam w nim jak kuchta, ale wszystko mi jedno. – Jesienna depresja – powiada Basia. Może i tak.

## EMILIA

Emilia niewiele rzeczy pamiętała. Jej świadomość sączyła się bardzo wąskim strumykiem, który co chwila zawadzał o liczne przeszkody – stwarzał boczne odnogi, przepychał się z trudem, żeby jednak w końcu wyjść na światło dzienne. Zadziwiające było to, że wiele spraw widziała niesłychanie jasno, jak na bardzo wyraźnej fotografii. Natomiast ostatnie tygodnie, ba, nawet godziny tonęły w jakimś przedziwnym mroku, burym i nieprzyjaznym. Pamiętała to, co istniało w niej poza czasem. A poza nim istniały tylko uczucia. Nie podlegające żadnej chronologicznej klasyfikacji – wałęsały się po życiu Emilii jak bezpańskie psy po wiejskiej drodze, mając za pożywienie nieliczne kąski przypomnienia tych krótkich chwil, w których ich obecność znajdowała uzasadnienie istnienia.

Emilia spoglądała na napierające wielką ciżbą bibeloty, zalegające wszystkie płaszczyzny poziome jej małego mieszkania, ale w jej oczach nie było śladów zrozumienia. Patrzyła gdzieś poza nie, a nawet przez ścianę za nimi, daleko w jakieś przestrzenie, w których nie istnieje już nic oprócz samego trwania. Czasami w mrokach otulających jej mózg pojawiał się obraz. A właściwie wizerunek twarzy tamtego mężczyzny – ciemnej i wyrazistej. Twarzy człowieka, którego w dawnych czasach odepchnęła od siebie z całą premedytacją. Nie towarzyszył temu jednak ani ból, ani wyrzuty sumienia. Po prostu obraz pojawiał się i trwał, bez żadnych ubocznych emocji. Trwał...

Kiedyś Emilia była jak kot. Pełna wdzięku i precyzji - na zewnątrz gładka i puszysta – łagodna i ciepła, przeciągająca się z gracją, pod którą tkwiły całe pokłady nudy i rozczarowań... Mężczyźni zwabieni pozorem, łatwej zdobyczy, szybko odchodzili zmrozeni chwilami, kiedy odchodziła w głąb, na dno swojej istoty i nieruchomiła w miękkim futrze, poważniała, a jej oczy zaokrąglały się, olbrzymiały chłonąc ich. Czuli się wtedy pozabawieni męskości, bezsilni, niemrawi, czego żaden z nich nie lubił oczywiście.

Otwieram szufladę i grzebię w rzeczach Emilii. Rozchodzi się zapach pudru i perfum. Trzymam w ręku jej nie zniszczony pantofelek, nie utrudzony chodzeniem. Tak niesłychanie trafny w linii, rzecz by można – perfekcyjny. Bładoróżowy, nazbyt anielski do zwykłego, ziemskiego ży-

cia. Przywieziony gdzieś z Paryża, Wiednia. Zapomniany. Ot, sztuka dla sztuki... Z powiewną jedwabną kokardą, zżartą przez mole. Emilia siedzi obok w fotelu, jak zwykle nieobecna... Jej twarz jest właściwie piękna, a raczej była by piękna; szpeci ją strużka śliny – wąska połyskliwa nic sięgająca kołnierza bluzki. Boże, Emilio – myślę w panice – przecież wszystko zawsze robiłaś dobrze, dlaczego musiałaś spartaczyć własną śmierć?

## MOTEL

Pociąg powoli nabierał rozpędu. Marcin przesuwał się wolno korytarzem, mijając zimne przedziały – puste i mające w sobie coś przerażającego opuszczonego. Przenosił się z wagonu do wagonu, poszukując czegoś bardziej przytulnego. Wszędzie wiało i przeciągi torowały sobie drogę przez korytarze, a lepkie od brudu i starości ceratowe siedzenia odstraszały podróżnych tu i ówdzie siedzieli jacyś ludzie o kamiennych, wykrzywionych zimnem twarzach, milczący i pogrążeni we własnych rojeniach. Wreszcie utrudzony wędrownką postanowił zająć miejsce byle gdzie, na chybił trafił. W przedziale siedział tylko jeden człowiek w zniszczonej kurtce, z małą walizką przewiazaną sznurkiem. Zajął miejsce naprzeciwko, przybierając możliwie najbardziej odpychający wyraz twarzy, usiłując jednocześnie skupić się na krajobrazie przemykającym za brudną szybą. Dzień był szary i bezbarwny, otumaniony spokojną abnegacją, zanurzony w jakimś ostatecznym odrętwieniu, tak ostatecznym, że nie potrzebującym już pociechy barw. Płynne pasy lasów wiły się jakąś samoistną melodią, monotonna usypiająca. Marcin utonął w niej na chwilę... – Panie młody – usłyszał nagle chrypliwy głos – stacja, pan zasnął... Pociąg rzeczywiście zwalniał. Poderwał się nerwowo. Na peronie nie było nikogo. Tylko on i starzec z naprzeciwka. Dopiero teraz zauważył dziwne, nakreślone niebieskim szlakiem rysunki na jego szyi, zmarszczoną, nienaturalnie brązową o tej porze roku skórę. Stary podciągnął wyżej szalik. – To po naświetlaniach – powiedział nie patrząc w jego kierunku. Marcin zawstydził się swojej ciekawości. – Nie pan jeden – dodał stary, wzruszając ramionami ni to z rezygnacją, ni to z niechęcią.

Stali obok siebie, złączeni w przedziwny sposób nie tyle pustką, która ich otaczała, ale brakiem przeświadczenia, że cel podróży jest na pewno tym, co chcieli osiągnąć. – Niedaleko stąd jest knajpa czy motel, jak to teraz nazywają, herbaty można się napić – wycharczał stary – odpocząć...

– Tak, tak – pochwyił skwapliwie Marcin – cholernie zimno w tym pociągu było. Poszli wolno... Wieczór zapadał wcześniej o tej porze roku. Jasne światła zajazdu czy też motelu kusiły zachęcająco, obiecując odrobinę ciepła.

Już w drzwiach owionął ich gorący zaduch i muzyka. – Tam, w kącie jest miejsce – powiedział stary. Usiedli. Marcin zdjął kurtkę i powiesił ją na poręczy krzesła, a jego współpasażer postawił pod ścianą walizkę. Położył na stoliku swoje spękane i pokryte zasterzałym brudem ręce. Marcin zapatrzył się w nie z niejakim rozczerwieniem. Takie ręce miał jego dziadek. Takie same, popękane od pracy, obrzęknięte w okolicach stawów, z czającym się czarnym obrąbkiem pod paznokciami, budzącym odwieczne narzekania babki. – Mógłbyś je wreszcie doprowadzić do porządku – marudziła przy kolacji. – To na nic, Agata, to na nic – odpowiadał bez cienia złości – jutro ziemia wejdzie w nie z powrotem. Stary miał takie same dłonie – z wżartą w nie ziemią, nie do odmycia, nie do odczyszczenia... – Ziemia, panie młody, wchodzi w człowieka – powiedział stary widząc jego wzrok. Marcin po raz drugi zawstydził się. Zapadło niezręczne milczenie. Na szczęście podeszła kelnerka i postawiła bez pytania przed starym herbatę, a przed Marcinem piwo. Spojrzyła na nią. Wzruszyła ramionami odchodząc. – To moja córka – powiedział tamten. Pod sufitem kłębiły się zwały dymu papierosowego, pomieszane ze strzępkami cudzych rozmów. Na niewielkiej estradzie przy barze wszczął się ruch. Do instrumentu stojącego na czarnym, metalowym stojaku podszedł mężczyzna, przygaszył światła, tylko jeden punktowy reflektor rzucał natrętny snop, w którego zasięg weszła ta dziewczyna. Marcin z trudem rozpoznał w niej kelnerkę. – Suka, dziwka – wycharczał stary. Dalszy ciąg zagłuszyła muzyka. Najbardziej znane kawałki country w okropnej aranżacji i jeszcze gorszym wykonaniu. Aż się wstrząsnął z obrzydzenia. Przyniósł sobie jeszcze jedno piwo z baru. Dziewczyna w kręgu światła poruszała się bez wdzięku i niemrawo jak we śnie. Twarz pokryta skorupą makijażu pozbawiona była jakichkolwiek ludzkich rysów, a zmęczone nieustanną trwałą włosy zwisały martwo.

Po kilku utworach skinęła głową w kierunku publiczności i nie oczekując aplauzu, którego z resztą nie było, zniknęła za kotarą. Muzyk podszedł do baru... – Latawica, jak matka, mieszka za barem w małej klitce, razem z tym bachorem – mówił stary ni to do siebie, ni to do szklanek. – Rzuciła szkołę i pojechała do miasta na zmarnowanie. Ja już długo nie pociągnę, a chata stoi pusta...

Nawet wracać się nie chce. Dzieciakowi osobny pokój wyrychtowałem. Ale ta dziwka mi mów, że ma swój honor – głos starego zakrzuszył się własnym oburzeniem i ugrzązł gdzieś w środku. Popił łykiem herbaty. – Wiadomo, gdzie taka ma honor, panie młody... Na zmarnowanie wszystko, na zmarnowanie... Opuścił nisko głowę; zdawało się, że zasnął nagle, przybity ogromem trosk. Zwalony nieszczęściem ponad siły... Marcina na moment ogarnęło przemożne uczucie rezygnacji i beznadziei, du-

szące i nieprzyjemne, dławiące w zarodku wszelkie poczynania w tym i jego własne. Ugrzązł w smutku starego, popartego odrażającą scenografią przydrożnego motelu. Zdał sobie sprawę, że musi wyjść. Kiedy otworzył drzwi, strumień ostrego powietrza prawie zranił mu twarz; z wysiłkiem uświadomił sobie, kim jest...

Dopiero później, leżąc na wznak w ciszy, poczuł noc. Gdzieś daleko jakiś dźwięk dziurawił ciemność, rozszerzając przestrzeń wiodącą do – nikąd. – Jak ziarno piasku w niczyjej dłoni – zacytował ironicznie w myślach własny wiersz.

Uśmiechnął się. Jeszcze wtedy nie wiedział o tej nieubłaganej prawdzie – że nikt go nie wysłucha.

## ROZMOWA

Emilię zdumiewał fenomen Czasu. A raczej sam Czas – zmienny i kapryśny. Niszczący jednych w postępie geometrycznym, o innych zdawał się zapominać na całe wieki. Fascynowała ją obserwacja znajomych jej i matki. Zwłaszcza kobiet, o których niegdysiejszej urodzie i sukcesach słyszała tysiące ploteczek. Widziała ich zabiegi, które przypominały jej wysiłki topielca usiłującego wychylić się jeszcze i jeszcze raz ponad powierzchnię wody, zanim posiadzie go ona do reszty. Tak jak i one zanurzają się wreszcie w mroczną otchłań Czasu i zapomnienia. Nie musiała szukać daleko... Widziała przecież własną twarz i ciało – te drobne, podstępne zmiany, niewidoczne przy codziennym spotkaniu z lustrem. Tyle że później, przy jakiejś okazji, przy zbyt jasnym oświetleniu, nachodziło ją ogromne zdumienie – czemu ja tak wyglądam, co się stało, że już nie jest mi dobrze w tym kolorze ani w tamtym kapeluszu?

Potem, na jakiś czas przestawało być to ważne z takich, czy innych powodów. A może po prostu ugłaskana jednostajnością powleczonego deszczem, jesiennych dni, zasypiała gdzieś jej czujność...

Przypomniała sobie nagle tamto spotkanie z Jerzym. Przyjechał właśnie na kilka tygodni z Australii – przyjaźnili się mimo znacznej różnicy wieku. Był znakomitym specjalistą w swojej dziedzinie i ceniła jego rady. Poza tym reszta jego skomplikowanego życia rodzinnego zupełnie jej nie interesowała. Zresztą z wzajemnością. Zapalała właśnie papierosa, kiedy weszła tamta kobieta. Rozejrzała się po sali i widocznie dostrzegła kogoś znajomego, bo podniosła do góry rękę i zamachała radośnie. Emilia obserwowała ją uważnie. Niewątpliwie widać była ślady dawnej urody na jej twarzy. Może zbyt jaskrawość ubrania mająca zasłonić, czy też odciągnąć uwagę od jej zmarszczek, nadmierna gwałtowność ruchów mająca obronić zwiótkzenie mięśni i niedoskonałości figury, – czyniły jej postać nieco śmieszna, przerysowana i w efekcie dosyć żalosa. – Taka będę za dwadzieścia lat – przemknęło przez głowę Emilii. Tak samo z politowaniem popatrzą na mnie młode dziewczyny. Jerzy obejrzał się za nieznajomą. – Chyba uczyła się ze mną w ogólniaku, a potem na studiach – powiedział. – Jedna z tych, do których bałem się podejść – taka była niedostępna i piękna. – Chcesz, zaprosimy ją do stolika – podesunęła mu pomysł. Spoj-



rzał na mnie z niechęcią. – Nie lubię wracać do wspomnień, zresztą, przy takiej kobiecie jak ty...

– Och, Jerzy – zachnęła się – przecież myślałam, że to ci sprawi przyjemność... Wspomnienia i te rzeczy... – Jakie rzeczy – Jerzy był jak zwykle dokładny. – No, ta kobieta, do której bałeś się zbliżyć. Teraz, po latach pewnie już nie jest taka niedostępna. Widziałam jak zerkała w twoją stronę. Wyglądasz świetnie. Rzeczywiście. Jej przyjaciel z upływem czasu nic nie tracił. Przeciwnie, tyle że wyraźnie nie miał ochoty na rozmowę z Przeszłością, co łatwo mu wybaczyła. – Wolę ciebie – powiedział niespodziewanie po dłuższej chwili milczenia – bo możesz być moją ostatnią kobietą, a dla mężczyzn one są najważniejsze. Pierwsze to już zgrzybiałe staruszki, omotane pajęczyną zapomnienia. Może jakieś jedno, dwa jaśniejsze wspomnienia kołaczą się w moim uszkodzonym miążdżycą mózgu. Ale ty, to zupełnie co innego... mój przyjaciel uśmiecha się figlarnie. – Jesteś okrutny – Emilia zapaliła papierosa i nagle zrobiło jej się żal tamtej ładnej pani, skazanej na zagładę w oczach Jerzego. Nagle nieważnej, mimo gasnącej urody i całego bagażu doświadczeń. Za parę lat i ona, Emilia wejdzie w taką „smugę cienia”, a właściwie nieistnienia dla tamtych Andrzejów i Marków, którzy tracili głowę, wydzwaniali. – Jerzy, jak ja wyglądam – zapytała? – Emilko, nie masz innych problemów? – zapytał ją łagodnie.

## ZDRADA

Ogród, pozostawiony sobie, zaczął prowadzić własny, niedyscyplinowany żywot, który kiedyś, trzymany z pewnym trudem w ryzach, dzięki nieustannej uprawie, troskliwości i regulacji był korygowany w nieustannych wybrykach rozbujających chwastów. Teraz, pozbawiony opieki, skłonił się natychmiast do dzikich wykroczeń nieobliczalnych figlów, prowadzących do bezkształtu. Jego czas i mój przestały zupełnie do siebie przystawać. Zataczał się rozwiązły i pijany wolnością od jednej pory roku do drugiej, tylko w trzeźwiejszych chwilach przypominając sobie o należnej daninie w postaci rachitycznych kwiatów, pomniejszonych dzikością, cierpkich owoców, których i tak nikt nie zrywał... Stosunki między nami z każdym rokiem były coraz bardziej nieznośne. Pod pozorami gościnności, zapraszając świeżo rozbuchaną, wiosenną zielenią, oferował ścieżki prowadzące donikąd, zarosłe nieprzystępnie i złowieszczo, zaciskające się splotem nie do przebycia... Wdzierałam się w nie przemocą, demaskując te intrzygi w które mnie wplątywał. Staralam się ratować oślepe od pokrzywy krzaki porzeczek, ale nie mogłam sprostać zadaniu. Wydaliliśmy sobie wojnę nie poprzedzoną pociągnięciami dyplomatycznymi. Cofałam się w najdalszy kąt, instynktownie szukając jakiegoś ukrycia, które zwykle znajdowałam w małej altance, gdzie się chroniłam z przeświadczeniem daremności moich wysiłków. Kudłata bestia zdziczałych ostów zbliżała się nawet tu, zaglądając do wejścia, usiłując zamknąć mnie w pułapce...

Rozumiałam jego wściekłość i zapiekły żal o to zapomnienie, oddalające nas całymi połaciami czasu, który on musiał zapewniać sobie trwaniem pełnym nudy i żaru, dławiąc się rozpasanym kłębowiskiem najtańszych odmian trawy i perzu.

Odchodziłam, kiedy słońce chowało się za wierzchołek topoli, a kąty grodu pokazywały ciemniejszą od gniewu twarz, zostawiając go w bujnym pogmatwaniu kwitnienia, bez zrozumienia jego wielkiej tragedii.



## Spis treści

STRYCH .....	5
POWROTY .....	7
AKTORKA .....	22
MOJA CIOTKA FELICJA.....	26
SZKLANA KULA .....	30
KOSTKA CUKRU .....	35
PENSJONAT „POD RÓŻĄ” .....	37
MADAME KRZESIŃSKA .....	41
MOJŻESZ, SYN ABRAMKA .....	45
NIKT NIE KOCHA JULII .....	48
CAFÉ „KAPLICA” .....	52
ESTERA.....	56
OSZUSTKA .....	63
CZTERY PORANKI .....	73
DOM .....	77
KRECHA .....	84
TRZY KOBIETY .....	89
ŚMIETNIK .....	99
ŻYCIORYS .....	103
EMILIA.....	106
MOTEL .....	108
ROZMOWA .....	111
ZDRADA .....	113

Gniewkowska  
Epizody

E0



*Anna Gniewkowska, urodzona w Białymstoku, z zawodu laryngolog, debiutowała w 1995 roku tomem prozy "Szary odcień bieli". W 1996 roku ukazał się kolejny tom "Posmak Czasu", zaś w 1997 roku "Dotyk motyla". Zbiór opowiadań "Epizody" opublikowany przez Książnicę Podlaska w Białymstoku jest czwartą pozycją w dorobku Autorki.*



108700

ISBN 83-88248-06-5